

MARGO MAGUIRE

Celtycka narzeczona

PROLOG

Wczesną zimą w zachodnim Cheshire, Anglia, Roku Pańskiego 1428

Noc była ciężka, długa i nie przyniosła ukojenia. Keelin O'Shea przypomniała sobie na wpół zatarte w pamięci wydarzenia. Kierowana przedziwną intuicją, wyczuwała, że grozi jej niebezpieczeństwo. Nie tylko jej. Podobna groźba wisiała nad stryjem Tiarnanem. Gdzieś w pobliżu czaili się żołdacy Mageeana. Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko wyjąć ze schowka starodawną włócznię i pod jej dotknięciem spytać: co dalej? Traktowała ją niby świętość. Przez chwilę stała w zamyśleniu. Zastanawiała się, jak wybrnąć z tej trudnej sytuacji.

Kiedyś się skończy moja tułaczka, rozmyślała. To już niedługo. Spokojnie wrócę do Irlandii i poślubię tego, którego wybrał mi przed laty ojciec mój, Eocaidh O'Shea, naczelnik klanu Ui Sheaghda. Wnet znikną troski, gdy u mego boku stanie mąż silny, krzepki i zdrowy. Będzie mnie chronił od wszelkiego zła. Z radością wejdę do dawnego domu, który zawsze był drogi memu sercu.

Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy pomyślała o swoim klanie. Od czterech lat pędziła nędzny żywot na wygnaniu, sama - jeśli nie liczyć Tiarnana. Miała już tego dość. Ani dnia dłużej, postanowiła.

Podróż we wczesnych miesiącach zimy nie należała do najbezpieczniejszych. Na szczęście Tiarnan wciąż miał ze sobą kilka cennych monet z zapasu, który zabrali z sobą tuż przed ucieczką z Irlandii. Mogliby nimi zapłacić za morską przeprawę, tyle że wtedy pewnie nic by im nie zostało.

Keelin zdawała sobie sprawę, że oszaleje, jeśli choć jedną zimę dłużej przyjdzie jej spędzić poza domem. Chciała przynajmniej wiedzieć, co się stało z klanem po krwawej bitwie, w której zginął jej ojciec. Keelin uciekła, zabierając ze sobą włócznię Sheaghda, ale tęskniła do swoich kuzynów i młodych dziewcząt ze wsi Carrauntoohil.

Stryj Tiarnan nie budził w niej niechęci. Wręcz przeciwnie - kochała go tak mocno, jak tylko można kochać pokrewną duszę. Lecz w starym ciele nic już nie zostało z młodzieńczego wigoru. To ona głównie troszczyła się o to, by przeżyli, lecz ta rola okazała się ciężkim brzemieniem dla niedoświadczonej dziewczyny.

Keelin zwinnie ześlizgnęła się z wąskiej pryczy i popatrzyła na Tiarnana. Starzec spał snem sprawiedliwego. Oczy miał zamknięte. Mocno zaciśnięte usta rysowały się wąską szczeliną w jego śnieżnobiałej brodzie. Dobrze, że spał. Niedawno zachorował na płuca, gorączkował i jeszcze nie całkiem wydobrzył. Ciągłe był słaby. Keelin nie chciała go budzić. W obecnym stanie tylko by marudził i pewnie jej przeszkadzał. Na moment przymknęła powieki. Już nieraz uratowała życie wyłącznie dzięki intuicji.

Niezmiernie rzadko się myliła. Teraz także nie miała czasu do stracenia. Wyczuła, że Mageeanowie są bardzo blisko. Nieważne, dokąd zmierzali, byle tylko ominęli tę niewielką, opuszczoną chatę, która stała się jej schronieniem. Wiele pracy włożyła w to, by urządzić tutaj choć trochę przytulne siedlisko.

Zarzuciła szal na ramiona, dołożyła kilka polan do ognia i po cichu wyszła na zewnątrz, w chłodną ciszę poranka. Błada poświata wstającego dnia oświetlała wąską ścieżkę. Z łatwością doszła na tyły chaty, do grubo ciosanej zagrody dla muła. Za schronienie przed zimnem i deszczem służył zwierzęciu tylko przedłużony kawałek dachu, podparty grubymi drągami.

Keelin podeszła do krytego wozu i po omacku przesunęła ręką po chropowatym drewnie, szukając wąskiego zagłębienia. Sama zrobiła tę kryjówkę. Miała nadzieję, że deska wytrzyma jeszcze jedną próbę. Kto by pomyślał, że skarb rodu - włócznia z grotem z obsydianu - mógłby być ukryty w tak widocznym miejscu?

Palce dziewczyny trafiły na metalowy haczyk. Odsunęła go, włożyła rękę do schowka i poczuła owiniętą w skóry włócznię. Włócznię, której niegdyś dotykały dłonie pogańskiej bogini. Wśród członków klanu znana była pod nazwą Ga Buidhe an Lamhaigh, a wodzowie otrzymali ją w niepamiętnych czasach, przed najazdem wikingów, zanim jeszcze druidowie zaczęli odprawiać czary. Przez całe wieki piękna czarna włócznia była symbolem panowania Sheaghdy w Kerry.

Utrata włóczni równałaby się zagładzie klanu O'Shea. To dlatego polował na nią ich zaciekły wróg, Ruairc Mageean.

Dotykając Ga Buidhe an Lamhaigh, za każdym razem Keelin czuła magię czarnego ostrza. Także i teraz owionął ją chłodny powiew, silniejszy od poprzedniego, trwalszy i wysysający z niej wszystkie siły.

To był zarazem jej przywilej i przekleństwo. Poza nią nikt nie miał w sobie dostatecznej mocy, by na stałe obcować z włócznieą.

Keelin głęboko zaczerpnęła tchu, usiadła na podściółce z sosnowych szpilek, przymknęła oczy i powoli wyjęła włócznieę ze skórzanej pochwy.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Południowa część Chester, Anglia, początek zimy 1428 roku

Grube gałęzie drzew tworzyły w górze coś na kształt baldachimu. Słabe promienie słońca z trudem przebijały się przez gęstwinę i jasnymi plamkami kładły się na ciemnych pniach i konarach. Było już późne popołudnie. Grupa jeźdźców popędzała zmęczone konie, chcąc przed zmierzchem dotrzeć do zamku Wrexton. Marcus de Grant jechał u boku ojca. Skrzywił się, kiedy Eldred z uporem wrócił do rozmowy o ślubie.

Małżeństwo. Sam dźwięk tego słowa wywoływał ciarki na skórze.

- W Haverston było wiele panien na wydaniu, synu - powiedział Eldred de Grant. - Młodych i powabnych.

- Ojczy.

- Starzeję się, mój drogi chłopczy. Ty też nie jesteś coraz młodszy - ciągnął Eldred. - Pewnego dnia zajmiesz moje miejsce jako earl Wrexton. Chciałbym, żebyś miał towarzyszkę życia. Przyjaciółkę, żonę. Kogoś, kto będzie równie dzielny jak twoja matka, Rhianwen.

Akurat pod tym względem Marcus w pełni podzielał zdanie ojca. Niestety, dotąd nie spotkał niewiasty, która by mu się spodobała. Owszem, znał kilka, które były ładne, miłe i z polotem, ale były to żony przyjaciół. Przy pannach - zwłaszcza szlacheckiego rodu - od razu tracił cały rezon. Peszyły go ich wykwintne stroje, szelest jedwabiu, melodyjne głosy, wydęte usta i trzepotanie powiek. A do tego ta cała służba, fraucymer, zamieszanie.

Krucze istotki, myślał o nich. Delikatne i tajemnicze. Marcus był wojownikiem, a nie paziem, i nie bardzo wiedział, jak z nimi rozmawiać. Nie miał w sobie nic z bawidamka. Wysoki, potężnie zbudowany, bał się, że zgniecie każdą dziewczynę, gdy tylko mocniej ściśnie ją w objęciach.

- Żonę, wuju Eldredzie? - spytał młodociany kuzynek Marcusa, jadący wraz ze starszymi. Liczył sobie jedenaście wiosen, nazywał się Adam Fayrchild i od kilku lat był sierotą. Poczciwy Eldred przygarnął chłopca, choć ich pokrewieństwo było raczej dalekie. - A po co nam jakaś żona w zamku Wrexton? Przecież tam panuje porządek i zgoda. Mamy kuzynkę Isolde, zbrojnych, kucharzy, pokojówki...

- Prawy mąż godzien jest następcy, Adamie - ze śmiechem odpowiedział Eldred. - Pewnego dnia sam to zrozumiesz, kiedy już znajdziesz odpowiednią Ewę.

- Odpowiednie co? - Chłopiec zmarszczył piegowaty nos. Nie rozumiał żartu rycerza. - Powiem ci szczerze, wuju, że w Haverston nie spotkałem ani jednej dziewczyny, z którą chciałbym spędzić chociaż dzionek, a co dopiero miesiąc lub rok, nie daj Boże!

Marcus uśmiechnął się, choć słowa Adama poruszyły czułą strunę w jego sercu. Owszem, wysoko cenił sobie miłość ojca, lecz na weselu w zamku Haverston czuł w duszy dziwną pustkę. Jego druhowie coraz liczniej garnęli się do małżeństwa i rodziny.

On sam pozostawał wciąż w bezzennym stanie. Po części winił za to swoją nieśmiałość. Obawiał się, że już do końca życia przyjdzie mu zostać kawalerem. Owszem, podobał się niewiastom, lecz one chciały być adorowane. Czekały.

Głośny krzyk wyrwał go z zamyślenia. Zaraz potem rozległy się wojenne zawołania. Z drzew zeskakiwali rudowłosi barbarzyńcy, z mieczami w rękach. Celtowie! Koń Marcusa od dawna odwykł od bitewnego zgiełku i zapachu krwi, teraz więc stanął dęba, omal nie zrzucając jeźdźca. Zgrzytnęła stal, gdy pierwsi z napastników starli się ze zbrojnymi. Zapanowało straszliwe zamieszanie. Kilku z eskorty zostało rannych i spadło z koni, zanim zdążyli dobyć mieczy.

Celtowie górowali nad nimi liczebnością. Marcus z przerażeniem patrzył, jak jego ojciec spada z siodła, pociągnięty przez rudego draba. Marcus nie wyobrażał sobie, jak mógłby dalej żyć bez ojca. Eldred po prostu nie mógł zginąć!

- Marcus! Twój ojciec! - krzyknął Adam. Chłopak miał dość rozsądku, żeby ukryć się za zbrojnymi, lecz napastnicy stali się bardziej agresywni. Ludzie z Wrexton padali coraz częściej.

Marcus zeskoczył z konia, chwycił Adama wpół i przeniósł go w bezpieczniejsze miejsce, za gruby pień starego, zwalonego drzewa. Potem z mieczem w krzepkiej prawicy przebijał się przez zwartą tłuszcę wrogów w stronę nieruchomo leżącego na ziemi Eldreda.

- Paniczu! Za tobą! - krzyknął jeden ze zbrojnych, zanim Marcus zdołał dotrzeć do ojca. Młodzieniec odwrócił się błyskawicznie i szerokim cięciem rozplątał głowę nadbiegającemu przeciwnikowi, ale na miejscu zabitego zaraz pojawił się następny. Marcus zacisnął zęby i podjął walkę.

Bój trwał nadal. Szala zwycięstwa wyraźnie przechylała się na stronę Celtów. Marcus wciąż nie mógł dotrzeć do Eldreda, ponieważ musiał walczyć z napastnikami. Nie zamierzał jednak ustępować. Chciał przynajmniej zginąć jak mężczyzna, z mieczem w garści.

- Panie! Ktoś nadjeżdża! - zawołał jeden z jego podkomendnych.

- To Anglicy!

- Markiz Kirkham i jego ludzie!

Barbarzyńcy także zobaczyli uzbrojony oddział i czym prędzej pierzchli do kniei. Potyczka dobiegła końca.

Marcus uporał się z ostatnim napastnikiem, wyrwał miecz z zakrwawionego ciała i podbiegł do Eldreda. Zbrojni już zdążyli przenieść rannego rycerza na skraj drogi. W serce Marcusa wstąpiła nadzieja, kiedy ujrzał, że ojciec otwiera oczy.

- Synu... - wyszeptał Eldred.

Marcus nie mógł wykrztusić ani słowa, pociemniało mu w oczach, gdy odruchowo zliczył wszystkie rany Eldreda.

- Nie szlochaj po mnie - szepnął ojciec. - Idę... do twojej matki. Wiedz tylko... że przez całe życie... byłem z ciebie... ogromnie dumny. Byłem i będę.

Głowa mu opadła i wydał ostatnie tchnienie.

Zapadła cisza. Nawet ptaki umilkły wśród listowia, a wiatr przestał szumieć w konarach.

Rycerze i zbrojni ukłękli na ziemi i przeżegnali się zamasyście, z powagą. Kilku z nich półgłosem wyraziło współczucie dla Marcusa. Nowy kasztelan na zamku Wrexton ledwie słyszał ich słowa. Kilka chwil temu rozmawiał z ojcem o białogłowach i małżeństwie. A teraz... wszystko się zmieniło. Jak to możliwe?

- Panie! - zawołał ktoś z oddali. - Prędko! Marcus odwrócił się i zobaczył jednego ze swoich ludzi, stojącego przy zwalonym pniu, za którym ukrył Adama. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Zerwał się na równe nogi i popędził w stronę kryjówki.

Adam musiał chyba wychylić się zza drzewa. A może ktoś go tam zobaczył? Teraz leżał na miękkim mchu, ze strzałą sterczącą z pleców.

Marcus ukląkł przy nim. Chłopiec wydawał mu się jeszcze mniejszy niż zazwyczaj.

- Jeszcze oddycha - rzekł półgłosem.

- Tak, milordzie - powiedział sir Robert Barry - ale pewnikiem wykrwawi się na śmierć, jeżeli teraz wyciągniemy strzałę.

- Minie co najmniej kilka godzin, zanim dotrzemy do Wrexton! - zawołał sir William Cole. - Chłopak umrze, nim...

- Jeśli dobrze pamiętam, w pobliżu znajduje się samotna chata - ponuro wtrącił Marcus. - Tam, pod tym wzgórzem, przy strumieniu. - Popatrzył na rycerzy. - Poniosę go - dodał po chwili i wziął chłopca na rękę. - Zajmijcie się moim ojcem.

- Spokojnie, stryju - cicho powiedziała Keelin O'Shea do Tiarnana. Czułym, delikatnym ruchem położyła mu rękę na czole. Kaszał już coraz rzadziej, lecz konwulsje ciągle wstrząsały jego wychudzonym ciałem. - Nie dam nikomu świętej włóczni. Żaden Mageean jej nie dostanie.

Czuła się tak, jakby ogromny ciężar leżał jej na piersiach. Wciąż jeszcze nie mogła przyjść do siebie po straszliwej wizji, którą miała dziś z samego rana. I tak, jak to podejrzewała wcześniej, znów na nich przyszedł czas ucieczki. Nie mogli tu pozostać dłużej, skoro w lesie aż się roilo od Mageeanów.

Zdawało jej się, że od czasu pospiesznej ucieczki z Irlandii minęły już całe wieki. Wiedziała, że utrata włóczni na zawsze zepchnie klan O'Shea w pomrokę zapomnienia. Władza przeszłaby w ręce krwiożerczych i okrutnych Mageeanów.

Keelin nie mogła na to pozwolić. Za często była mimowolnym świadkiem ohydnych czynów Ruairca Mageeana.

Dla zmylenia pościgu, od przybycia do Anglii, już czterokrotnie zmieniali z stryjem Tiarnanem miejsce swojego pobytu. Za każdym razem myśl, że są bezpieczni, okazywała się zwykłą ułudą. Żołdacy Mageeana ciągle deptali im po piętach.

Swe ocalenie Keelin zawdzięczała tylko przedziwnej intuicji i snom, wzmocnionym poprzez czary włóczni.

- Unieś się, stryju - poprosiła cicho, pomogła, mu podnieść głowę i przytknęła do jego ust glinianą miskę. - Wypij trochę.

- Och, dziewczeczko - wychrypiął Tiarnan. - Odpocznij. Rano rozmawiałaś z włócznią. Wiem, ile cię to kosztowało.

- Nic mi nie będzie - odparła Keelin, choć wiedziała, że kłamie. Po każdej wizji całymi godzinami nie mogła dojść do siebie. Nie powinna jednak mówić o tym Tiarnanowi, bo denerwował się nie mniej od niej. A przecież dosyć już wycierpiał.

- Powiedz mi, co widziałaś - poprosił. Popatrzył na nią zasnutymi bielmem oczami. Już dawno oślepl ze starości, lecz wciąż ją widział oczami duszy, piękną i zgrabną jak zawsze. Płeć miała białą jak jej matka, z lekkimi rumieńcami na policzkach. Oczy zielone niczym trawa na ojczystych łąkach, włosy czarne jak noc i lśniące jakby skrzydło kruk. Wysoka, wzrostem równa mężom, silna i wytrzymała.

Biedna. Nawet nie przypuszczała, że Ruairc Mageean pożądał nie tylko włóczni. Chciał na swoim dworze mieć dwie zdobycze: Ga Buidhe an Lamhaigh i młodą konkubinę. Łotr, pałał do niej nieprzystojną żądzą od dnia, w którym ujrzał ją po raz pierwszy, choć była wtedy zaledwie dziewczynką.

Gdyby porwał Keelin i zatrzymał włócznie, łatwo przejąłby rządy nad ziemiami Kerry. Stary Tiarnan nie miał co do tego złudzeń.

Mageean nie był jedynym, który gubił oczy za dziewczyną. Tiarnan z goryczą przypominał sobie, że dawno ją już obiecano wodzowi sąsiedniego klanu, niejakiemu Fenowi McClancy'emu. Co gorsza, obietnicę złożył jej rodzony ojciec, zanim - Panie świeć nad jego niegodną duszą - zginął w podstępnej zasadzce. Tiarnan westchnął i pokręcił głową.

Fen był nie tylko stary - niemal tak stary jak Tiarnan - ale do tego sprośny i lubieżny. Co prawda, władał wielkim obszarem na wschód od ziem klanu O'Shea, ale przecież istniały jeszcze inne sposoby utrzymania sojuszu niż ofiara z niewinnej duszyczki.

Niestety, brat Tiarnana, Eocaidh O'Shea, zawsze przedkładał dobro klanu nad swoje i najbliższej rodziny. Bez zmrżenia oka poświęcił własną córkę, chociaż pewnie wiedział, że postąpił niesłusznie, bo do śmierci nie wspominał jej o zaręczynach.

Tiarnan użył swoich wpływów, by przekonać starszyznę klanu, aby Keelin wyjechała do Anglii wraz z włócznią. Nie chciał, aby została w Kerry i wyszła za McClancy'ego. Powierzył jej opiekę nad Ga Buidhe an Lamhaigh z nadzieją, że stary Fen odejdzie z tego świata, zanim dziewczyna wróci do Irlandii. Nie żebym mu życzył nagłej śmierci, pomyślał teraz. Niech sobie umrze w spokoju, byle umarł.

Miał nadzieję, że Keelin nigdy nie dowie się o planach ojca. Nie zniosłaby takiego ciosu. Eocaidh był dla niej niedościgłym wzorem. Zabawne, myślał Tiarnan, choć jest niemal wróżką, nic nie wie o intencjach najbliższych jej osób. W tych sprawach zawsze się myliła.

Co prawda, była jeszcze młoda. Ma czas, żeby lepiej poznać ludzką podłość.

- Nic nie mów, stryju - poprosiła Keelin. - Po prostu leż i odpoczywaj. Porozmawiamy później. Na razie nic nam...

- Nieprawda - wpadł jej w słowo Tiarnan, kładąc głowę na miękkiej poduszce, którą zrobiła dlań dziewczyna. - Jest kilka ważnych spraw, maleńka, tym bardziej że czas ucieka. Posłuchaj mnie.

- Co mi chcesz powiedzieć na tyle ważnego, żeby nie mogło poczekać? - spytała nadąsanym tonem, ale posłusznie przysunęła stołek bliżej łóżka i usiadła. Na zewnątrz panował chłód, ale w chacie było przyjemnie ciepło, a ogień wesoło trzaskał w palenisku. W powietrzu unosiła się silna woń ziół, które Keelin rozwiesiła do suszenia. Czekwała, aby Tiarnan zasnął, żeby je pokruszyć i spakować przed czekającą ich wędrownką.

- Znowu nadchodzą Mageeanowie - zaczął stryj bez niepotrzebnych wstępów. - Wiem o tym, choć nie miewam wizji.

Keelin zmarszczyła brwi. Tiarnan był mądry, ale skąd mógł wiedzieć, co wydarzyło się dzisiaj o poranku? Przypomniała sobie rozedrgane obrazy. Celtyccy najemnicy w walce z Anglikami. Szczęk mieczy, kwik przestraszonych koni, słodkawy zapach świeżej krwi. Nie wiedziała, kiedy to się stanie. Na pewno niedługo.

- Są bardzo blisko - chrapliwie szeptał stary. - Nie zaprzeczysz. Siedzieliśmy tutaj zbyt długo. Musimy poszukać innego schronienia.

Keelin rozejrzała się po ciasnej izbie. Dobytku było niewiele, ale jak miała się spakować, zabrać włócznię i chorego stryja i uciec stąd przed przyjsciem żołdaków Ruairca? Dokąd miała uciekać? Może jednak spróbować powrotu do Irlandii?

Poprzednim razem Tiarnan jeszcze trochę widział. Teraz wydał jej się stary i słaby, przygnieciony brzemieniem zmartwień i sędziwego wieku. Nie przetrzymałby długiej wędrownki przez całą Walię i za morze.

Wizje. Coś - nie wiedziała, co - działo się w okolicach strażnicy Carrauntoohil. Chęć powrotu nie była podyktowana tylko tęsknotą za domem. Coś ją tam przyzywało. Keelin przeczuwała, że nie zazna spokoju, dopóki z włócznią w dłoni nie stanie na ojcowskim progu.

- Posłuchaj mnie, Keely. - Tiarnan mówił spokojnie, jakby wyczuwając zdenerwowanie bratanicy. Była młoda, miała zaledwie

dziewiętnaście lat i nie bardzo umiała sobie radzić z darem widzenia. - Zabierz Ga Buidhe an Lamhaigh i uciekaj, zanim...

- Nie, stryju! - żywo krzyknęła Keelin. - Nigdy cię nie opuszczę!

- Keelin...

- Tak prędko nas tu nie znajdą. Nie odejdę bez ciebie. Spakuję rzeczy - dodała szybko - i wyjedziemy w odpowiedniej porze.

- Keely - powtórzył Tiarnan i zamknął zmęczone oczy. Żał mu było zostawiać dziewczynę samą jedną wśród zła tego świata, wiedział jednak, że jego czas nieuchronnie się zbliża i nie pomogą na to żadne modły. Czuł przeokropny ból w piersiach, a ten kaszel...

Zielone oczy Keelin były pełne łez. Delikatnie wzięła stryja za rękę i przycisnęła ją do policzka.

- Znajdę o wiele bezpieczniejsze miejsce. Tam się skryjemy.

- Nic nie rozumiesz, moja maleńka? - cicho spytał Tiarnan. Poczul jej łzy na swojej dłoni. - Nie dam rady wyruszyć w podróż. Jestem za słaby. Dobrze ci radzę, uciekaj zaraz, bo potem będzie za późno.

- Nie, stryju! - odpowiedziała z uporem. - Jeszcze jest sporo czasu.

- Keelin, bez względu na okoliczności będę dla ciebie tylko ciężarem. Nie kłopotuj się mną. Lepiej od razu zacznij zbierać rzeczy.

- Urwał i odwrócił głowę, jakby coś usłyszał.

- Co się stało?! - zapytała Keelin, zaalarmowana jego zachowaniem. Nadstawiła ucha.

- Ktoś nadchodzi - odparł starzec. - Ludzie... konie.

- Och, wszyscy święci! - zawołała, zrywając się ze stołka. - Jak mogłam się tak pomylić?! Już są tutaj? Tak szybko?

- To chyba jeszcze nie oni, dziecko - uspokoił ją Tiarnan z rozwagą nabytą dzięki życiowemu doświadczeniu. - Nie mamy zatem innego wyboru, jak tylko siedzieć i czekać.

Jak dotąd, Keelin zawsze udawało się w porę wyczuć Mageeanów. Teraz jednak czekała w najwyższym napięciu. Stała nieruchomo, niezdolna myśleć o ucieczce lub o tym, aby chociaż ukryć słabującego stryja. Córka Eocaidha nie powinna zachowywać się w taki sposób, pomyślała z przekąsem. Wstydziła się swojej słabości.

- Słyszysz już głosy, moja droga?

W milczeniu skinęła głową. Z przestachu całkiem zapomniała, że Tiarnan przecież jest ślepy.

Nie znajdują włóczni, przemknęło jej przez głowę. Była dobrze schowana. Siłą nie wydobędą ze mnie, gdzie ją ukryłam! - pomyślała. Lepiej nie wiedzieć, co by się stało, gdyby Ga Buidhe an Lamhaigh naprawdę wpadła w chciwe łapy Mageeanów.

Marcus zdawał sobie sprawę, że nie pora teraz na gniew i żalobę. Owszem, miał chęć pogonić z Kirkhamem i jego ludźmi za umykającymi przez las barbarzyńcami, lecz ważniejszy był Adam. Wszak w tej grze szło o życie chłopca:

Ostrożnie niósł rannego przez rzadniejącą knieję. Droga do chatki okazała się o wiele dłuższa, niż pamiętał. Szedł energicznym i zdecydowanym krokiem, lecz nie za szybko, żeby Adam nie doznał przypadkowo dalszych obrażeń. Starał się nie myśleć o tym, co wydarzyło się przed chwilą - o potyczce i o śmierci ojca.

Czterech zbrojnych nie żyło, dwóch było ciężko rannych. Inni odnieśli niewielkie skaleczenia. Część z nich poszła za nim, do chaty, część została, by podnieść z placu boju ciało kasztelana i swoich towarzyszy.

Marcus nie miał pojęcia, co było przyczyną nagłej napaści. Co robił tak duży oddział najemników na angielskiej ziemi? Dlaczego uderzyli na spokojnych wędrowców? Aż w głowie się to nie mieści.

Zapewne wszyscy byśmy sromotnie zginęli, gdyby nie Nicholas Hawken, markiz Kirkham, pomyślał Marcus. To wprawdzie raptus i hulaka, lecz zawsze pali się do walki. W potrzebie nigdy nie zawodził, zwłaszcza gdy miał widoki na jakąś porządniejszą bitwę. Bez Hawkena wszyscy ludzie z Wrexton leżeliby teraz martwi.

Jeden ze zbrojnych zapukał do drzwi nędznej chaty. Otworzyła mu młoda kobieta. Marcus nie widział jej zbyt wyraźnie, bo nie wyszła z ciemnego wnętrza. Wniósł Adama do środka i powoli, z pomocą któregoś z rycerzy, złożył go na wąskiej pryczy. Na drugim łóżku, w przeciwnym kącie izby, spoczywał siwobrody starzec.

- Potrzeba mi gorącej wody - oschle rzucił Marcus i wyjął nóż zza pasa. Rozciął kaftan chłopca. - I nieco czystych szarpi. Edwardzie, bądź tak łaskaw i chwyć go za ramiona. Roger przytrzyma go za nogi. Teraz wyjmę strzałę.

Keelin współczująco patrzyła na chłopca, lecz w sercu czuła ogromną ulgę, że przybysze nie okazali się Mageeanami. Pomodliła

się w duchu z wdzięcznością. Mimo to wciąż wyczuwała silną obecność barbarzyńców. Ci ludzie, którzy tutaj przyszli, niedawno mieli z nimi do czynienia.

Stała cicho obok łóżka Tiarnana i spod oka spoglądała na angielskiego rycerza. Był wysoki. Tak wysoki, że musiał się pochylić, wchodząc do chaty. Nawet teraz, gdy klęczał obok rannego chłopca, zdawał się sobą wypełniać co najmniej połowę izby.

Miał złote włosy. Keelin pierwszy raz w życiu widziała taką czuprynę, jasną niczym łan dojrzałego zboża. Młody rycerz wprawnie zrzucił kolczugę i był teraz odziany tylko w skórzane nogawice i białą, pięknie haftowaną, lnianą koszulę. Rękawy podwinął aż po łokcie, ukazując potężne przedramiona. Pochylił się nad półprzytomnym chłopcem, uczynił znak krzyża i zaczął się modlić w milczeniu.

- Wybacz mi to, co zaraz zrobię - powiedział po chwili spokojnym i zrównoważonym głosem. - Nie mam wyboru. Postaraj się być dzielny. - Westchnął z głębi piersi. - Ja też się postaram - dodał o wiele ciszej.

Keelin przyjrzała mu się uważnie. Widać było, że jest wzruszony. Chociaż nie rozpoznawała twarzy, dobrze wiedziała, że to Anglicy z jej porannej wizji. Teraz już lepiej rozumiała ich przeogromny smutek i powagę. W niedawnym boju stracili kilku towarzyszy. Jeden z zabitych był dla nich kimś ogromnie ważnym.

Musiała im jakoś pomóc.

Przeszła na drugą stronę izby i otworzyła niewielki kuferek, w którym trzymała swoje rzeczy. Miała tam kilka lnianych koszul i starą, ale czystą halkę, mogącą posłużyć za szarpie. Szybko wyjęła wszystko, co potrzebne, i przygotowała świeże opatrunki.

Potem przejrzała skórzane sakwy z suszonymi ziołami. Stryj długo uczył ją sztuki leczenia, a ona okazała się pojętną uczennicą. Nie potrzebowała już jego pomocy, aby wybrać potrzebne ziele. Jedno na szybsze zatamowanie krwotoku, drugie przeciwko infekcji.

Podeszła do Anglików. Młody rycerz zdążył już wyszarpnąć strzałę. Krew szeroką strugą płynęła z pleców rannego chłopca. Keelin zakryła ranę kawałkiem białego płótna. Chłopiec jęknął, czując dotyk jej dłoni.

- Adamie - szepnął rycerz nie mniej zbolalym głosem.

Keelin czuła jego obecność. Spod oka zerknęła na wyrazisty profil. Miał prosty nos, mocno zarysowaną szczękę i jasne, niebieskie oczy. Potężny mężczyzna, ale gdy trzeba, potrafi być troskliwy. Wątpię, czy ktoś taki znalazłby się w Irlandii.

Aleś ty głupia, pomyślała zaraz. Przecież był tam jej narzeczony. Czuły, dorodny i krzepki. Już Eocaidh o to zadbał. Wiele razy pytała Tiarnana, jak wygląda ów nieznany kandydat na męża, ale stryj zawsze wykręcał się od odpowiedzi. Po pewnym czasie Keelin zaniechała pytań. I tak decyzja spoczywała w rękach starszyny klanu. Tiarnan - chociaż był bratem wodza - do niej nie należał. W tej sprawie pewnie niewiele wiedział.

- To, że jęknął, to dobry znak, milordzie - powiedziała półgłosem do rycerza.

Spojrzał na nią, jakby zobaczył ją po raz pierwszy. A może w istocie tak było? Spiekł raka i szybko odwrócił głowę.

- E... Edwardzie - bąknął do rycerza stojącego beczynnie przy drzwiach chaty. Całkiem świadomie omijał wzrokiem Keelin. Chrząknął głośno. - Idź i zobacz, czy... czy w... wiosce, którą mijaliśmy, nie ma jakiegoś medyka.

- Jestem zielarką, milordzie - wtrąciła Keelin i rozłożyła na posłaniu swoje woreczki i sakiewki. - Mam tutaj wszystko, żeby zaraz rozpocząć leczenie.

Otworzyła jedną z sakiewek, wyjęła z niej szczyptę ciemnego proszku, wsypała ją do miseczki i zalała wodą. Ukręciła z tego jakieś lepkie mazidło, a potem poprosiła Anglika, żeby uniósł płótno zakrywające ranę chłopca.

- Miał wiele szczęścia - powiedziała, smarując maścią głęboką dziurę w plecach rannego. - Strzała utkwiała obok kręgosłupa.

Zmilczała wszakże, że w pobliżu była nerka. Miała nadzieję, że chłopiec nie doznał wewnętrznych obrażeń.

Marcus stał i w milczeniu patrzył na jej zręczne ruchy. W ciągu godziny jego całe życie uległo gruntownej przemianie. Ojciec zginął na polu walki, a biedny Adam leżał w ubogiej chacie jakiegoś starca, pod opieką pięknej młodej zielarki, która na pewno nie była zwykłą chłopką.

Ani Angielką.

Skąd się tu wzięła? A może jej obecność miała jakiś związek z hordą uzbrojonych po zęby barbarzyńców? Może to była jej straż

przyboczna? To przynajmniej po części tłumaczyłoby powód ataku. Chcieli jej bronić.

Co najdziwniejsze, wcale nie była zaskoczona widokiem zbrojnych i rycerzy, którzy nagle znaleźli się przed jej chatą. Często miewała takie wizyty?

Nie, pomyślał Marcus. To niemożliwe. Do Wrexton było stąd niedaleko i ktoś by słyszał o groźnej bandzie włóczącej się po lasach albo broniącej samotnej chaty.

Zatem kim była ta dziewczyna?

Miała na sobie prostą, lecz schludną suknię z barwionej na zielono wełny. Długie włosy luźno spływały na ramiona. Poruszała się z gracją i pewnym dostojeństwem. Coś powiedziała cicho do Adama, stłumionym, melodyjnym głosem, choć przecież nawet nie wiedziała, czy chłopiec ją słyszy.

Zachowywała się jak królowa - a mieszkała w chacie niegodnej najędźniejszego chłopca. Dziesiątki pytań cisnęły się na usta Marcusa, lecz on jak zwykle przy kobiecie nie umiał wykrztusić słowa.

- Milordzie - wychrypiał siwowłosy starzec, leżący na drugim łóżku.

Marcus odwrócił się i podszedł do niego. Starzec wciąż kiwał na niego dłonią. Dopiero teraz rycerz zauważył jego zasnutę bielmem oczy.

- Nie powstrzymuj mej bratanicy - powiedział starzec, z dziwnym akcentem wymawiając angielskie słowa. - Niech robi wszystko, co uważa za stosowne. Nie znajdziesz lepszej zielarki niż Keelin O'Shea, choćbyś przeszukał całą Anglię i Irlandię.

- To twoja bratanica? - zapytał Marcus. - Tak się nazywa?

Z dala od dziewczyny po trochu odzyskiwał rezon. Ostrożnie obejrzał się przez ramię. Keelin zszywała ranę Adama.

- Keelin O'Shea z Kerry - powtórzył starzec. - Ja zaś jestem jej stryjem. Tiarnan O'Shea, do usług, milordzie. Albo raczej, będę do usług, jeśli tylko znów stanę na nogi.

- Kerry? To jakaś prowincja w Irlandii? - zapytał Marcus, bardziej dla podtrzymania rozmowy niż z rzeczywistej ciekawości. Wciąż dokuczała mu świadomość, że gdzieś na zewnątrz ojciec leży martwy, przykryty zaledwie derką, pod strażą kilku rycerzy.

Był niemal otepiały z bólu i wściekłości. Sam nie wiedział, jak ma przejąć rolę earla i władzę na zamku. Jakie wydać rozkazy? Jak

przewieźć ciało ojca do Wrexton i pochować w poświęconej ziemi? A co z Adamem? Chłopak nie nadawał się do dalszej podróży, ale nie mógł zostać sam wśród obcych.

- Kerry to raczej region niż prowincja, młodzieńcze - odparł Tiarnan, nieświadom rozterki rycerza. - Rozległe ziemie w okolicach Munster, w południowo - zachodniej Irlandii, nieco górzyste i z rzadka porośnięte drzewami.

Marcus nie odpowiedział. Stał zatopiony w myślach. Starzec zapewne wziął jego milczenie za wyraz obawy o życie rannego, bo dodał:

- Zaufaj jej. - Umilkł na chwilę. - Ma prawdziwy talent do leczenia.

- A ja z kolei mam nadzieję, że mogę wierzyć twoim słowom - rzekł Marcus, odwrócił się i wyszedł z chaty. Roger i Edward pozostali w środku. Wiedział, że spokojnie może zostawić Adama pod ich czujną strażą.

Spojrzał w niebo i głęboko zaczerpnął tchu. Rozmyślał nad tym, jak to się dzieje, że tak piękny dzień obudził najgorsze koszmary.

Wiele lat już minęło od czasu, kiedy ostatni raz uczestniczył w bitwie. Dokładnie pięć. Przyjechał wtedy z wojny we Francji i zastał matkę chorą, na łożu śmierci. Po jej zgonie na stałe osiadł w Wrexton, przy ojcu. Nie ciągnęło go więcej za morza.

Ojciec z nikim nie wojował. Wojna we Francji nie miała żadnego znaczenia w tym odległym zakątku Walii. Sąsiedzi żyli spokojnie. Walijszczy nie zaczepiali angielskich rycerzy, kto więc mógł się spodziewać nagłej zasadzki na leśnym trakcie?

Kto ich zaatakował?

Nawet Francuzi mieli trochę więcej prawdziwie rycerskiej ogłady. Banda, która ich napadła, nosiła prymitywne zbroje. Byli nie myci, nie goleni, a długie włosy splatali w warkocze. Porozumiewali się w dziwnym narzeczu. Marcus początkowo wziął ich za Celtów, ale teraz, poznawszy mieszkańców samotnej chaty, zaczął podejrzewać, że mogli być to także Irlandczycy. Ciekawe, co ich łączyło? Musiał tu istnieć jakiś związek.

Niech Bóg ma w swojej opiece Tiarnana O'Shea i jego bratanicę, jeśli zdradziecka napaść była dziełem ich ludzi!

Marcus poszedł za róg chaty, tam, gdzie zbrojni z jego oddziału zaczęli już stawiać namioty. Musieli zostać tu na dłużej - przynajmniej

do czasu, aż rany Adama na tyle się zasklepią, by chłopiec mógł ruszyć w dalszą podróż. W rzeczywistości żaden z nich nie wiedział, kiedy wrócą do zamku Wrexton.

Z Marcusem sprawy miały się inaczej. On musiał jechać, i to jak najszybciej, żeby wyprawić ojcu godny pogrzeb.

W pobliżu chaty wartko płynął wąski strumień. Marcus szybkim ruchem ściągnął koszulę przez głowę, klęknął na brzegu i zanurzył twarz w zimnej wodzie. Chciał choć trochę ochłonać i zebrać myśli.

Keelin skończyła opatrywać ranę i odłożyła na bok leki i bandaże. Umyła ręce w misce z czystą wodą i po cichu podeszła do stryja.

- Spróbuj się trochę przespać - powiedziała, wiedząc, że na pewno poczuł się zmęczony po zamieszaniu wywołanym niezwykłą wizytą. - Wychodzę teraz, ale wkrótce wrócę.

Musiała porozmawiać z dowódcą Anglików.

Stała w drzwiach i z niechęcią spojrzała na zbrojnych, uwijających się w pobliżu zagrody dla muła. Wprawdzie nie mieli pojęcia o istnieniu włóczni, ale stanowczo było ich zbyt wielu. Gdyby przypadkiem odkryli schowek, a w nim Ga Buidhe an Lamhaigh...

Lepiej nie myśleć, co by się stało. Keelin przybrała spokojną minę, podeszła do jednego z nich i spytała, gdzie można znaleźć młodego rycerza. Bez ociągania wskazał jej, dokąd poszedł Marcus. Keelin podziękowała mu i wąską ścieżką udała się nad strumień.

Ledwie zdążyła obejść kępę rozłożystych krzewów, gdy ujrzała niezwykle widok.

Stała wpatrzona w półnagą postać, nisko schyloną nad strumieniem. Krew napłynęła jej do twarzy, serce waliło jak oszalałe. Co się, u licha, ze mną dzieje? - pomyślała z nagłym przestraszaniem.

Anglik był ucieleśnieniem zmysłowej męskości. Barczysty, dobrze umięśniony, lecz wąski w biodrach i... po prostu piękny.

Miał mokre włosy, a krople wody ściekały mu po plecach. Wyprostował się i energicznie potrząsnął głową, jakby w ten sposób chciał się wysuszyć. Keelin przesunęła językiem po spierzchniętych wargach. Z przejęcia aż jej dech odjęło.

W pewnym momencie Marcus ją zobaczył.

Zaskoczony, cofnął się gwałtownie i jedną nogą stanął w wodzie. Pośliznął się na mokrym kamieniu, stracił równowagę i jak długi runął do strumienia. Wszyscy święci, pomyślała Keelin, ależ on pięknie się

rumieni! Szybko podeszła do brzegu i wyciągnęła rękę, by pomóc mu się podnieść. Anglik był czerwony po same uszy.

- Bierzesz kąpiel? - spytała żartem.

Wstał bez słowa i - ociekając wodą - odszedł o parę kroków. Najwyraźniej nie było mu do śmiechu. Na dobrą sprawę, miał pełne prawo, by okazywać jej nieufność. Była Irlandką, należała więc do tych, którzy go napadli. Gdyby Anglicy weszli na jej ojcowiznę - cóż, gniew Eocaidha byłby na pewno straszliwy.

- Chłopiec zasnął - powiedziała, żeby przerwać niezręczną ciszę.

Marcus wciąż milczał.

- Trochę potrwa, zanim się okaże, czy wyżyje - dodała.

Anglik bez słowa skinął głową i odszedł w kierunku chaty. Dla Keelin było to wyraźnym znakiem, że nie chciał mieć z nią nic wspólnego.

To się nie uda, westchnęła w duchu. Z początku zamierzała go prosić o pewną przysługę. Chciała, żeby dał jej eskortę złożoną z kilku zbrojnych. A może także wzięłby pod opiekę stryja? Mogłaby wówczas sama pocić do Kerry i sprawdzić, jak się sprawy mają w Carrauntoohil.

- Zaczekaj! - zawołała rozkazującym tonem. Wreszcie udało jej się przyciągnąć jego uwagę.

Zatrzymał się i spojrzał na nią przez ramię.

- Jestem Keelin O'Shea, córka Eocaidha, wielkiego wodza klanu Ui Sheaghda - powiedziała.

Milczał.

- Mam chyba prawo znać imię mego gościa - dodała po chwili.

Chrząknął głośno.

- Marcus de Grant - odparł w końcu, wyraźnie speszony. - Po śmierci ojca w dzisiejszej potyczce jestem... jestem nowym earlem Wrexton.

A zatem dobrze się domyślała. Ponieważ nie był zwykłym rycerzem, postąpiła nad wyraz słusznie, że przedstawiła mu się pełnym imieniem. Marcus de Grant należał do szlacheckiego rodu i mocno bolał nad utratą ojca. Gdyby tak jeszcze zechciał zabrać ją ze sobą...

- Współczuję ci z całego serca, panie - powiedziała, podchodząc bliżej. Był mocno wstrząśnięty tym, co niedawno zaszło. - Bez wątplenia poniosłeś bardzo ciężką stratę.

Marcus czuł się wyjątkowo niezręcznie. Kiedy Keelin zbliżyła się do niego, miał ochotę cisnąć na ziemię przemoczoną koszulę i wziąć nogi za pas. Najchętniej uciekłby od wszystkiego - od zaszczytów, które spadły nań wraz ze śmiercią ojca, od odpowiedzialności za życie Adama. Ale najbardziej chciałby uciec od tej pięknej kruczowłosej damy, której widok wprawiał go w takie pomieszanie.

Wyczuwał, że mówiła z własnego doświadczenia.

Widać sama kiedyś straciła kogoś bardzo bliskiego. Ta świadomość przywróciła mu nieco odwagi.

- To... to prawda - odparł nieswoim głosem.

- A ów chłopiec, milordzie? - spytała. - Ma na imię Adam. Któż to taki?

Pomału ruszyli w stronę chaty.

- Mój kuzyn - odpowiedział Marcus, starając się iść jak najdalej od dziewczyny.

- Nie poczytaj tego za płochą ciekawość, panie - podjęła Keelin - ale co się stało? Jak doszło do tych wszystkich nieszczęść? Kto was zaatakował?

- Spodziewałem się, że to raczej ty mi udzielisz odpowiedzi na te pytania - zauważył Marcus i sam się zdumiał

swoją elokwencją. Że też udało mu się wygłosić tak długie zdanie bez najmniejszego zająknięcia! Co więcej, powiedział to, co miał na myśli, a nie jakiś pusty frazes. Mimo jej obecności, mimo jej spojrzenia i zapachu.

- Ja? - spytała z niedowierzaniem i przystanąła pośrodku ścieżki.

- Na północ stąd, z leśnej gęstwiny wyskoczyli wojownicy - wyjaśnił. - Inny oddział Anglików przybył nam z odsieczą, ale wprawdzie straciliśmy czterech dzielnych ludzi. Kilku innych, poza Adamem, też odniosło rany.

Keelin O'Shea przycisnęła dłoń do piersi. Marcus mimo woli spojrzał na jej zaokrąglone kształty. Wymruczała kilka niezrozumiałych słów, a potem, ku jego zdumieniu, powiedziała:

- Obawiałam się, że prędzej czy później do tego dojdzie.

- Zatem wiedziałaś o tych... wojownikach? - zapytał ze zdziwieniem, chociaż podejrzewał ją już od początku.

Keelin mocno zacisnęła usta i pokiwała głową. Marcus przez chwilę miał wrażenie, że wolałaby uniknąć tego pytania. Rozgniewał się i chwycił ją za ramię.

- Co to za ludzie? - spytał groźnie, nie bacząc na miękki dotyk jej jedwabistej skóry, wyczuwalny nawet przez tkaninę. - Wróć? A może kryją się gdzieś w pobliżu, czekając?

- Nie! - gwałtownie zawołała Keelin i wyrwała mu rękę z uścisku. - Wątpię. Ludzie Mageeana zawsze działają w grupie. Wola być w stadzie niczym wilki.

- Mów dalej.

- To są wojownicy Ruairca Mageeana. Szukają mnie - powiedziała o wiele ciszej. - Mnie i stryja Tiarnana. Od czterech lat przebywamy w Anglii, wciąż zmieniając miejsce pobytu.

Marcus nie miał czasu na próżne żale nad sobą. Keelin O'Shea musiała mu wyznać wszystko, co wiedziała. Chociaż wciąż czuł się niepewnie w rozmowie z kobietą, to przecież jednak nie zamierzał uciec. Wręcz przeciwnie.

- Kim jest ów Ruairc? - zapytał rozkazująco.

- Kim? - powtórzyła Keelin, zakłopotana jego zachowaniem. Byłby naprawdę straszny, gdyby dał upust całej swojej złości, pomyślała. Nie czas teraz na próżne prośby. W ogóle to chyba nie najlepsza chwila na rozmowę.

- Długo by opowiadać - westchnęła. - Na razie powiem tylko, że ród Mageeana od dawna nienawidzi członków mej rodziny. Chętnie sięgnęliby po całe Munster, gdyby...

- Gdyby co? - warknął lord Wrexton, z trudem panując nad zniecierpliwieniem.

- Gdyby mieli na to dość sił i możliwości - dokończyła, obróciła się na pięcie i umknęła do chaty.

Marcus przez chwilę stał, spoglądając za nią, zanim na dobre zniknęła za drzewami. Westchnął z ulgą. Ucieszył się jednak przedwcześnie, bo minutę później dobiegł go krzyk śmiertelnie przerażonej kobiety.

Rzucił koszulę na ziemię i skoczył między zarośla.

ROZDZIAŁ DRUGI

Keelin odeszła zaledwie kilkanaście kroków, kiedy poczuła nagle, że czyjaś brudna ręka zaciska się na jej ustach. Drugą ręką napastnik pochwycił ją w pasie i pociągnął za sobą między drzewa. Włókł ją z dala od chaty i wszelkiej pomocy.

Dziewczyna szarpała się jak oszalała. Próbowwała go nawet kopnąć, ale niewiele to pomogło. Mimo wysiłków nie zdołała się uwolnić. Wreszcie ugryzła go w palec, a gdy na chwilę cofnął rękę, wydała przeraźliwy okrzyk.

Żołdak natychmiast złapał ją za włosy i warknął kilka obraźliwych słów, zmuszając ją do milczenia. Keelin jęknęła z bólu. Szarpnął ją i na poły niosąc pod pachą, znowu zaczął przedzierać się przez krzaki.

Keelin rozpaczliwie szukała możliwości ucieczki. Myśli kłębiły się w jej głowie. Co dalej? Chciał ją zabić? A co się wtedy stanie ze stryjem Tiarnanem? Z Ga Buidhe an Lamhaigh? Czy ktoś usłyszał jej wołanie?

- Puść ją!

Celt zatrzymał się jak wryty. Zasłaniając się Keelin niczym tarczą, stanął twarzą w twarz z Marcusem de Grantem. Złotowłosy rycerz wynurzył się zza drzewa.

- Spokojnie, Keelin - mruknął ostrzegawczym tonem.

Dziewczyna przyglądała mu się z niedowierzaniem. Nagle poczuła zimny dotyk stali na swojej szyi.

- Puszczę cię, jeśli mi oddasz Ga Buidhe an Lamhaigh! - syknął celtycki wojownik.

- Nil! - krzyknęła Keelin.

Lord Wrexton dobył miecza i był gotów rzucić się na Celta, ten jednak wybrał dobrą formę obrony. Jedną ręką trzymał Keelin za włosy, a drugą przytykał nóż do jej białej szyi. Zginęłaby, gdyby tylko de Grant rozpoczął walkę.

Rycerz stał przyczajony, w lekkim rozkroku. Po chwili przesunął się w prawo, jakby chciał szerokim łukiem okrążyć napastnika. Jak on zamierza mnie uwolnić? - zastanawiała się Keelin.

Usłyszała dziwny, zduszony jęk i zrozumiała nagle, że ten głos wydobywa się z jej własnej krtani. Najemnik znowu szarpnął ją za włosy. Stał mniej pewnie niż poprzednio, ale ciągle miał nad nią

przewagę. Dziewczyna bała się poruszyć, żeby przypadkiem się nie zranić.

- Nie wyjdiesz żywy z tego lasu! - wykrzyknął Marcus. - Zostaw ją, a cię oszczędzę! Rzuć...

Z tyłu rozległ się trzask. Irlandczyk szarpnął się jak oparzony. Keelin poleciała głową w przód i upadła ciężko na kolana.

Jak przez mgłę słyszała głośne okrzyki i szczęk stali. Czuła się słabo, zupełnie jak po najsilniejszej wizji. Przez chwilę wydawało jej się, że zaraz zemdleje. Czuła ucisk w skroniach, z trudem łapała oddech, a serce biło jak oszalałe. Ktoś pomógł jej się podnieść, lecz musiał ją podtrzymać, gdyż zaraz by upadła. Naraz zapanowała cisza. De Grant wziął ją w ramiona i zaniósł do chaty.

Szedł w milczeniu i niemal bez wysiłku, jakby Keelin ważyła nie więcej niż piórko. Roztrzęsiona, objęła go mocno za szyję. Pierwszy raz przez te wszystkie lata ktoś przyszedł jej z pomocą. Ba, nawet potrafił zabić w jej obronie. Ogarnęło ją uczucie niewypowiedzianej ulgi.

Ukradkiem spojrzała na rycerza. Lord Wrexton szedł, patrząc przed siebie. Dopiero teraz zauważyła lekki meszek nad jego górną wargą i na szczęce. Nigdy z tak bliska nie przypatrywała się żadnemu mężczyźnie. Zwłaszcza młodemu. Temu zaś przyglądała się niemal ciągle, od chwili gdy się poznali.

Zamknęła oczy, jakby to mogło ją uchronić od dalszych kłopotów. Ów młodzieniec był dla niej prawdziwą zagadką.

Marcus minął chatę i zatrzymał się w obozie zbrojnych. Delikatnie posadził dziewczynę na pniaku pozostałym po olbrzymim dębie i ujął ją pod brodę.

- Krwawisz - powiedział, jakby nieświadomy jej zachwyconych spojrzeń.

Celt rzeczywiście był piekielnie szybki. Zdążył uderzyć. Na szczęście Marcus był jeszcze szybszy, chociaż śmierć napastnika nie sprawiła mu żadnej satysfakcji.

Powoli przesunął palcem po przecięciu na szyi Keelin. Wokół nich zebrał się już tłum zbrojnych.

- Zranił mnie? - spytała z zaskoczeniem. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach, lecz nie wiedziała, czy to z powodu rany, czy pod dotknięciem dłoni rycerza.

- Tak - odparł Marcus. - Zdążył pociągnąć nożem, kiedy upadałaś.

- A... co to był za hałas? - Jeszcze nie mogła zapanować nad drzeniem głosu. - Dlaczego... dlaczego ten łotr mnie puścił?

- Usłyszałem twój krzyk - zaczął Marcus, lecz zaraz przerwał, bo jeden z jego ludzi wręczył mu czysty kawałek tkaniny i maść. Marcus ostrożnie posmarował lekiem szyję dziewczyny. - Pobiegnę za tobą, a z drugiej strony nadciągnął markiz Kirkham. Ten Anglik, który nam dopomógł w pierwszym starciu z Celtami.

Keelin zmarszczyła brwi i lekko pokręciła głową.

- Skąd przybył? Skąd wiedział?

- Nie mam pojęcia, milady - otwarcie przyznał Marcus. - Zjawił się niemal równo ze mną, za waszymi plecami.

- To prawda - wtrącił jeden z przysłuchujących się rycerzy. - Lord Kirkham wjechał do obozu tuż przed wołaniem milady.

- Próbowałem zagadać Celta - ciągnął Marcus - a Kirkham sięgnął go biczem.

- To był ten dziwny trzask? Skinął głową.

- Kirkham lubi używać bicia - uśmiechnął się smutno - lecz równie dobrze radzi sobie z mieczem.

Keelin zrobiła zbolaną minę, bo maść okazała się nieco piekąca.

- Miecz czy bat - powiedziała, gdy opatrywał jej ranę - jestem mu bardzo wdzięczna za pomoc. - Czułym ruchem wzięła Marcusa za rękę i spojrzała mu prosto w oczy. - Tobie też dziękuję, lordzie Wrexton.

Znów poczerwieniał jak piwonia. W takich chwilach naprawdę był uroczy, w niczym nie tracąc swojej męskości.

Keelin już unosiła dłoń, żeby odgarnąć mu z czoła kosmyk, kiedy na polanę wyszedł markiz Kirkham. Był wysoki, silnie zbudowany, śniady i ciemnowłosy. Oczy gorzały mu dziwnym blaskiem; miał iście diabelski wygląd. Keelin skłonna była uwierzyć, że sam jeden pokonał bandę celtyckich najemników.

- Co ty wyprawiasz, Marcusie?! - ryknął. Słowa wymawiał nieco bełkotliwie. Keelin zauważyła nagle, że jest pijany. - Cały dzień dzisiaj wciąż po tobie sprzątam!

Młody rycerz nie odpowiedział na tę pozorną zaczepkę, bowiem już od dawna przywykł do zachowania markiza. Spokojnie skończył wiązać opatrunek na szyi Keelin, która zdenerwowała się nie na żarty.

Jej ojciec nigdy nie puściłby płazem takiego przewinienia. Wstała z pniaka i ostro spojrzała na Kirkhama.

- Czyżbyś nie słyszał o tragedii, jaka tu wcześniej się rozegrała, milordzie? - zapytała oschłym tonem. - Earl de Grant właśnie stracił ojca, a ty pozwalasz sobie na niestosowne żarty.

- To prawda, Marcus? - żywo zapytał markiz. Blask przygasł w jego ciemnych oczach. Przestał się uśmiechać i lekko wyprostował plecy. - Eldred zginął z rąk tych dzikusów?

Marcus krótko skinął głową, odwrócił się i odszedł.

Kirkham natychmiast poszedł za nim. Szybko zniknęli za drzewami.

Keelin wyczuła, że markiz był mocno poruszony tym, co przed chwilą usłyszał. Nie wiedziała tylko, dlaczego lubił zaglądać do dzbana. Tym razem intuicja nic jej nie podpowiadała poza tym, że na pewno miał swoje powody.

Dotknęła opatrunku na szyi. Znow pomyślała, jak mało brakowało, aby zginęła gwałtowną śmiercią. Co wtedy stałoby się z klanem? Kto by odszukał włócznie Ga Buidhe an Lamhaigh? Muszę koniecznie wrócić do Carrauntoohil, orzekła w duchu, chociaż nie była całkiem pewna, co zmusza ją do powrotu. Postanowiła, że zostawi stryja pod opieką na zamku Wrexton, a sama pojedzie do Kerry.

Marcus nawet nie czuł wieczornego chłodu. Nie dlatego, żeby był szczególnie odporny na zimno - po prostu oblało go gorąco.

A wszystko przez tę dziewczynę.

Potrzebował kilku chwil samotności, żeby w spokoju przemyśleć ostatnie wydarzenia. Wciąż jeszcze czuł miękki dotyk kobiecego ciała i pamiętał długą szyję, jedwabiste włosy i błyszczące zielone oczy.

Energicznie potrząsnął głową, żeby odpędzić niestosowne myśli, i zatrzymał się na skraju obozowiska, by poczekać na Nicholasa Hawkena, markiza Kirkham. Chciał mu opowiedzieć o bitwie z celtyckimi najemnikami.

Nicholas z powagą wysłuchał relacji. Ani jeden mięsień nie drgnął mu w twarzy.

- Przepraszam, Marcusie - powiedział wreszcie i nisko pochylił głowę. - Musisz mi wybaczyć moje zachowanie. Eldred był dobrym i dzielnym człowiekiem. Szczerze boleję nad twoją stratą.

Marcus równie poważnie przyjął kondolencje.

- Pchnąłem dwóch ludzi do Chester - oznajmił - by sprowadzili biskupa. Pogrzeb odbędzie się, gdy tylko dotrą do Wrexton.

- Kiedy sam wyruszysz?

- Tego jeszcze nie wiem - odparł. - Adam jest ciężko ranny. Czekam, aż lady Keelin powie, co z nim dalej zrobić.

- Lady Keelin? - znacząco powtórzył Kirkham. Marcus uniósł głowę.

- Przecież sama przyznała, że to z jej powodu wynikły te wszystkie kłopoty, prawda?

Nie mógł zaprzeczyć słowom Nicholasa, lecz z drugiej strony nie winił Keelin za śmierć swojego ojca. Na równi z nim była ofiarą nieszczęśliwego zbiegu wypadków.

- Tym bardziej potrzebuje skutecznej ochrony - powiedział. - Kiedy stan Adama nieco się poprawi, zabierzemy go do Wrexton. Lady Keelin i starego Tiarnana także.

Przez chwilę panowało milczenie, a potem markiz ryknął rubasznym śmiechem i z rozmachem klepnął Marcusa w ramię.

- Zawsze rycerski i wspaniały, co?

Większość rycerzy brała nieśmiałość Marcusa za wygórowane poczucie honoru, zwłaszcza wobec kobiet.

Niektórzy nawet podśmiewali się z niego, lecz on nie miał im tego za złe. Nie próbował się także tłumaczyć. Po cichu przezywali go Marcus Wspaniały, ale więcej w tym było kpiny niż uznania.

Adam rzucał się w gorączce. Keelin pogłaskała go, uspokoiła i podeszła do łóżka Tiarnana. Nie zamierzała mu mówić o przygodzie z celtyckim wojownikiem ani też o tym, jakie uczucia wzbudzał w niej młody angielski rycerz. Dla stryja najważniejszy był teraz spokój. Jak najszybciej musiał wydobrzeć.

Na zewnątrz, między namiotami, błyszczały płomienie ogniska. Jeden ze zbrojnych pochylał się nad kociołkiem. Lord Wrexton stał nieruchomo, z rękoma założonymi na piersiach. Blask ognia migotał w jego złotych włosach.

- Sir Henrie - Keelin wyraźnie słyszała głos młodzieńca - z pierwszym brzaskiem ruszysz do Wrexton. Weź ze sobą Thomasa i Arthura Pratta. Powiedzcie na zamku, że... że mój ojciec zginął. Niech zarządca przygotowuje wszystko do pogrzebu.

Keelin przypatrywała mu się z uwagą. Podziwiała go za to, że umiał powściągnąć ból i przejąć dowództwo nad ludźmi. Mimo woli

przypomniała sobie śmierć własnego ojca. Ten dzień był prawdziwym świętem dla triumfującego Ruairca Mageeana, lecz jej ucieczka i zniknięcie włóczyń uratowały klan przed ostateczną klęską.

Keelin tęskniła za ciepłym schronieniem, jakie zapewniały jej prastare mury twierdzy Carrauntoohil.

Tęskniła za kuzynami. Od czterech lat przebywała z dala od ojczyzny. Choć w tym czasie stała się kobietą, prawie nie знаła żadnego mężczyzny, poza stryjem Tiarnanem. W Anglii mieszkali zawsze tylko we dwójkę, z dala od innych ludzi. Do wsi zaglądali rzadko, najwyżej po prowiant. Tiarnan był mądry i kochany, ale dziewczynie trochę brakowało towarzystwa rówieśników. Chciała wieść normalne życie, być żoną i w przyszłości matką, kasztelanką, a nie wieczną uciekinierką.

- Co to za człowiek, Keelin? - zapytał Tiarnan. Dziewczyna drgnęła, wyrwana z zamyślenia.

- Kto, stryju?

- Ten młody szlachcic - odparł. - De Grant.

- Cóż... - westchnęła Keelin. - Jest wysoki.

- Domyśliłem się. Tyle to sam o nim mógłbym powiedzieć.

- Cichy i milczący - dodała. - Chociaż z drugiej strony potrafi być stanowczy. Właśnie wydał rozkazy.

- Będzie dobrym wodzem.

- Chyba tak. Dotychczas raczej nie miał okazji, by w pełni okazać cechy charakteru - zauważyła z namysłem. - Poprzedni earl zginął zaledwie parę godzin temu.

- Moja droga, człowiek albo rodzi się przywódcą, albo nie - stanowczo stwierdził Tiarnan. - Jak on wygląda?

Keelin przycisnęła ręce do piersi. Marcus de Grant przypominał jej wikinga. Tyle tylko, że się czerwienił - ale to akurat w jej oczach przydawało mu jeszcze więcej uroku. Choć był dorodny i przystojny, nie miał w sobie nic z bawi damka.

- Keelin? - przynaglił ją Tiarnan. - Podoba ci się?

- Chyba ma w sobie wiele męskiego czaru, stryju - przyznała z westchnieniem.

- Co to za „chyba”? - spytał. - Co chcesz przez to powiedzieć? Albo jest przystojny, albo nie.

Zanim Keelin zdobyła się na bardziej zdecydowaną odpowiedź, do jej uszu, z drugiego kąta izby, dobiegł głos Adama.

- Marcus? - zawołał chłopiec słabym głosem. Keelin szybko podeszła do niego i przycupnęła przy łóżku.

- Nigdzie nie odszedł, Adamie - powiedziała cicho. - Jest tutaj, niedaleko. Mam go zawołać? - zapytała, ocierając mu spocone czoło.

- Marcus...

Popatrzyła na sir Rogera i skinieniem głowy dała mu znać, żeby sprowadził earla.

Keelin O'Shea nie mówi całej prawdy. Coś przede mną ukrywa, doszedł do wniosku Marcus. Mimo to, zamiast dowiedzieć się czegoś więcej, szerokim łukiem omijał chatę.

Cała odwaga - która tak cudownie pomogła mu w rozmowie z Keelin - wyparowała zeń bez najmniejszego śladu. Zapewne teraz byłby niezdolny skłecić prostej odpowiedzi. W głębi duszy pocieszał się nadzieją, że Adam i pozostali ranni wkrótce wrócą do domu. Nie chciał tu zostawać na dłużej. Nie chciał spotykać się z dziewczyną.

Szczerze mówiąc, wolałby wiedzieć, czego mu jeszcze nie powiedziała. Nie miał powodów, by ją podejrzewać o wyrachowane kłamstwo. Wierzył w jej opowieść o rodowej waśni, ale czuł, że za tym kryje się coś więcej. Czego szukali Mageeanowie? Dlaczego już cztery lata ścigali Keelin i jej stryja?

Może chodziło im właśnie o dziewczynę? Doprawdy mogła budzić pożądanie. Marcus westchnął i aż się przestraszył własnych myśli.

Lecz tego przecież by nie ukrywała. Wręcz przeciwnie, od razu wyznałaby całą prawdę i poprosiła go o obronę.

Chyba że Mageean był jej narzeczonym, ona zaś przed nim uciekała.

- Milordzie - w ciemnościach rozległ się głos sir Rogera.

Marcus odwrócił się w jego stronę.

- Pani przysłała mnie po ciebie - oznajmił Roger. - Młody Adam właśnie się obudził i zaczął cię przyzywać.

- Jak on się czuje? - posepnie spytał Marcus.

- Lepiej, niż można było się spodziewać, panie - odparł rycerz. - Choć zdaniem lady Keelin na pewno bardzo cierpi z powodu rany i śmierci twojego ojca.

Marcus spuścił głowę. Jak miałby pocieszyć chłopca? Nie dało się odmienić nieszczęsnego losu. Nikt nie przywróci do życia Eldreda.

- Ucieszy się, gdy cię zobaczy, panie - ponaglił go sir Roger.

Marcus szybko skinął głową i poszedł do chaty. Przystanął w progu i przez chwilę patrzył na Keelin pochyloną nad rannym Adamem. Siedząc na stołku koło łóżka, ocierała mu spocone czoło i przemawiała doń łagodnym głosem. W pewnej chwili wyciągnęła rękę i pogładziła go po głowie. Adam leżał zupełnie spokojnie.

Dzielny chłopak, pomyślał Marcus. Gdyby mnie dotknęła, to zapewne zwinąłbym się w kłębek ze strachu.

- Marcus! - zawołał Adam. Głos miał schrypnięty i zbolący.

Rycerz powoli wszedł do chaty i zbliżył się do chłopca. Adam był bardzo blady.

- Nie śpisz - rzekł Marcus, żeby w ogóle coś powiedzieć. Położył dłoń na głowie chłopca.

- Usiądź tutaj, milordzie - odezwała się Keelin i wstała ze stołka. Unosząc się, przelotnie dotknęła ręki Marcusa. Ten drgnął jak oparzony i cofnął się o pół kroku.

- Marcus? - powtórzył Adam. Rycerz delikatnie ujął go za rękę.

- Twój ojciec... wuj Eldred... zginął? - zapytał chłopiec.

- Tak - niemal szeptem potwierdził Marcus.

- Niemożliwe! - zaszlochał Adam. - Tak... tak bardzo go kochałem!

- Ja też - szepnął Marcus. - Ja też, Adamie.

- Nie potrafię spokojnie o tym myśleć - biadolił Adam. - Chce... chce mi się płakać. - Głośno przełknął ślinę.

- Zatem płacz, chłopcze - cicho powiedział Marcus. - To ci przyniesie ulgę.

Adam zamknął oczy i przez chwilę leżał w milczeniu.

- Czy ty kiedyś płakałeś, Marcusie? - zapytał nieoczekiwanie.

Keelin podeszła do łóżka Tiarnana, żeby im nie przeszkadzać. Mimo to dobrze słyszała rozmowę rycerza z chłopcem. W małej izbie nie było miejsca na odosobnienie. Dziewczyna mimo woli nadstawiła ucha, ciekawa odpowiedzi Marcusa.

- Tak, Adamie - powiedział lekko drżącym z emocji głosem. - Płakałem.

Keelin miała ochotę podbiec do niego, chwycić go w ramiona i utulić. Pamiętała jednak z poprzedniej rozmowy, że jej bliska obecność jest mu niemiła. Powstrzymała się zatem przed okazaniem mu serca.

Stryj Tiarnan lekko ścisnął ją za rękę. Keelin spojrzała w jego stronę.

- Lady Keelin - rozległ się głos Marcusa - kiedy Adam będzie mógł ruszyć w podróż? - spytał rycerz, nie odrywając spojrzenia od rannego.

Puściła dłoń stryja i po cichu podeszła do nich.

- Za dwa dni, milordzie - powiedziała. - Do tego czasu nie powinien ruszać się z łóżka.

- Skąd ta pewność?

Wzruszyła ramionami. Po prostu wiedziała.

- Po dwóch dniach można go złożyć na noszach i ostrożnie przewieźć do zamku. Rana się wówczas nie otworzy.

- Dwa dni to bardzo długo w naszej sytuacji. Jeśli wrogowie wrócą...

- Nie wrócą, milordzie - z niezachwianą pewnością oznajmiła Keelin.

Popatrzył na nią z uwagą. W jego jasnych oczach czaił się cień podejrzania. Raz już przecież się pomyliła, twierdząc, że Celtowie zawsze działają w większej grupie. Tymczasem ten samotny łotr nad strumieniem...

Keelin nie miała najmniejszej ochoty zwierzać się Marcusowi ze swoich umiejętności. I tak czuł do niej instynktowną niechęć, bo była Irlandką. Gdyby znał prawdę, zapewne oskarżyłby ją o czary.

Marcus chrząknął.

- W takim razie ty również szykuj się do drogi - powiedział rozkazującym tonem. - Za dwa dni wszyscy ruszamy do Wrexton. Ty i twój stryj pojedziecie z nami.

- Będę gotowa, milordzie - odparła ze skrywaną ulgą. Marcus mimo woli spełnił jej pragnienia. Potem Tiarnan bezpiecznie zostanie za murami, a ja wybiorę się do Kerry, pomyślała.

- Jak daleko jest stąd do Wrexton? - zapytała. Marcus znów chrząknął i odsunął się od niej odrobinę.

- Zaledwie parę godzin jazdy. Co prawda, z rannym chłopcem będziemy podróżować wolniej.

Ktoś cicho, lecz natarczywie zapukał do drzwi. Sir Edward poszedł otworzyć. W progu stanął jeden z rycerzy Marcusa.

- Milordzie - zaczął z pokłonem - nadciąga grupa jeźdźców.

Keelin jęknęła głucho. Marcus błyskawicznie zerwał się ze swego miejsca i zdecydowanym ruchem wsparł dłoń na rękojeści miecza.

- Ludzie gotowi? - spytał dźwięcznym tonem. Nie było w nim ani krzty słabości.

- Tak, milordzie - odparł rycerza. - Na wszystko, co się zdarzy.

- Zatem zobaczmy, kto nadjeżdża. Wyszli z chaty.

- Czy... to oni? - słabo zapytał Adam. Keelin podeszła do niego.

- Nie, chłopcze - odpowiedziała. - Moim zdaniem to ktoś zupełnie inny.

Nie wyczuwała żadnego zagrożenia ze strony nieoczekiwanych gości.

- Stryju?

Tiarnan pokręcił siwą głową.

- Nie mam pojęcia, kto to może być, dziecino.

- W takim razie - zwróciła się do Adama - musimy spokojnie poczekać na powrót twojego kuzyna. On nam powie, co zaszło.

Skrzyżowała ręce na piersiach i usiadła na stołku przy łóżku.

ROZDZIAŁ TRZECI

Marcus był rad, że go odwołano, bez względu na to, czy nadjeżdżali wrogowie, czy też przyjaciele. Nie wytrzymałby ani chwili dłużej w pobliżu Keelin. Bał się, że strzeli jakąś niewybaczalną gafę. Jak do tej pory, mógł się uważać za szczęściarza, że nie nastąpił jej na nogę i nie powiedział nic niestosownego.

Przynajmniej tak mu się zdawało.

Jeźdźcy z głośnym okrzykiem zbliżyli się do ognia. To była tylko ostatnia grupa z oddziału Nicholasa Hawkena, zostawiona na trakcie, żeby zająć się martwymi Celtami. Nie mieli nic nowego do powiedzenia. Oba oddziały - z Wrexton i Kirkham - przygotowały się do noclegu. Kilku zbrojnych podjęło się czuwania przy zwłokach, a na skraju lasu rozstawiono warty. Marcus niespokojnie krążył po obozowisku.

W zasadzie powinien tę noc spędzić przy Adamie, ale z niechęcią myślał o powrocie do chaty. Miałby teraz przesiedzieć tam kilka ładnych godzin w obecności pięknej Keelin O'Shea?

Zaczerwienił się po same uszy, chociaż prawdę mówiąc, nie pomyślał niczego zdrożnego.

Zaklął pod nosem. Był earlem, jak najszybciej więc winien się na dobre pozbyć niewczesnej nieśmiałości. Po części mu się to udało. Przecież rozmawiał z Keelin. Dość jasno zdawał sobie sprawę, że na tym na pewno nie koniec.

Musiał z nią omówić bardzo ważne sprawy.

Dobiegły go ściszone głosy zbrojnych, układających się do snu pod namiotami. Słyszał parskanie koni, skrzypienie uprzęży i trzaskanie ognia. Niebo było zupełnie ciemne i zasnuwane chmurami. Jutro na pewno będzie padał deszcz, pomyślał. Ba. W gruncie rzeczy, to nie miało żadnego znaczenia.

Marcus westchnął ciężko. Dźwignął swoje siodło, wziął koce, zebrał się na odwagę i ruszył na spotkanie losu. Czyli po prostu poszedł do chaty.

Keelin dała Adamowi kilka kropel cennej mikstury na uspokojenie, usiadła obok niego i poczekała, aż zasnął. We wnętrzu chaty zapanowała cisza, przerywana tylko niezbyt głośnym chrapaniem stryja Tiarnana. Keelin słyszała głosy zbrojnych na zewnątrz. Wiedziała już, że nie doszło do wałki z jeźdźcami.

Marcus powinien wkrótce wrócić, pomyślała. Nie bała się go, choć nie całkiem rozumiała jego zachowanie. Podejrzewała, że nią gardził. Miał zresztą swoje powody, żeby czuć niechęć do Celtów. Tyle zła wyrządzili mu ostatnio.

Mimo to było jej przykro, gdy się od niej odsuwał i unikał jej spojrzeń. Dopiero w jego obecności uświadomiła sobie, jaka była samotna przez wszystkie minione lata. Owszem, miała przy sobie mądrego stryja Tiarnana, ale to przecież coś całkiem innego. Marcus de Grant pod każdym względem był kimś wyjątkowym.

Wspomniała chwilę, kiedy wziął ją w ramiona i zaniósł do chaty. Nigdy przedtem nie czuła się równie szczęśliwa.

Rzecz jasna, zrobił to tylko dlatego, że tak nakazywał mu honor rycerza. Niczego więcej nie mogła po nim oczekiwać. On był rycerzem, ona niewiastą - i to wszystko. A jednak serce biło jej mocniej, gdy o nim myślała. Ze zdumieniem odkrywała w sobie całkiem nowe, nieznane uczucia.

Tęskniła za czymś, czego w życiu jeszcze nie zaznała. Może w Irlandii, po powrocie do narzeczonego? Ciekawa była, co też ojciec uczynił dla niej przed śmiercią.

W chacie panował półmrok rozświetlany jedynie blaskiem ognia w palenisku. Keelin zdjęła szal z ramion i rozpuściła włosy. Rozwiązała tasiemki sukni, zdjęła ją i pozostała tylko w lnianej halce. Potem ciasno zwinęła się wełnianym kocem. Nie chciała, żeby Marcus de Grant przypadkiem zastał ją niekompletnie ubraną.

Samotność dokuczwała jej jak nigdy przedtem. Do tej pory tłumiła ją troską o Tiarnana. Wciąż wędrowali, zdani wyłącznie na siebie, dzieląc się wszystkim - strawą i schronieniem. I ciągle w strachu, że spotkają zbójców nasłanych przez Mageeana.

Keelin rzadko myślała o sobie. O małżeństwie, domu, o dzieciach. Nie rozpamiętywała straconych lat młodości, bo po prostu nie miała na to czasu.

Teraz także nie zamierzała płakać. Bardziej niż kiedykolwiek czuła ciężące na niej obowiązki. Musiała zająć się Tiarnanem i Adamem, a potem ruszyć do Irlandii. Nie pora na żale.

Marcus pochylił głowę, wszedł do chaty i stwierdził, że tu prawie nic się nie zmieniło podczas jego nieobecności. Poza jednym wyjątkiem - on i Keelin byli teraz praktycznie sami. Nikt z rycerzy nie

pilnował śpiącego Adama, a stryj Tiarnan pochrapywał cicho w swoim kącie.

W dodatku dama zdjęła suknię.

W powietrzu unosiła się aromatyczna woń suszonych ziół. Ciepły ogień trzaskał w palenisku. Lady Keelin wyglądała już na trochę śpiącą. Długie puszyste włosy luźno opadały jej na ramiona. Zachowywała się bardzo powściągliwie. Emanował od niej smutek, którego Marcus nie wyczuwał przedtem.

Podał jej naręcze koców - i szybko cofnął ręce.

- Milordzie? - szepnęła pytająco.

- Zrób sobie z tego posłanie koło ognia - powiedział. Mimochodem spojrzął w jej zielone oczy i nagle poczuł, że język staje mu kołkiem. - Ja... ja... posiedzę przy Adamie.

Keelin wzięła koce pod pachę.

- Czy wszystko w porządku? - zapytała. - A ci jeźdźcy?

Marcus posepnie potrząsnął głową. Niepokoił go dziwny blask w jej oczach. Czy to łzy? - zadał sobie w duchu pytanie. Miał nadzieję, że nie płakała.

- Kilku ludzi Kirkhama - wyjaśnił. - Powrócili z pogoni za Celtami.

- I... znaleźli ich?

- Nie. Zapewniają, że w najbliższej okolicy nie pozostał nikt z twoich rodaków, pani. - Marcus usiadł przy łóżku Adama. Nawet nie zauważył, że jego ostatnie słowa sprawiły dziewczynie przykrość. - Jak on się czuje?

- Dałam mu krople na sen - odpowiedziała. Lekko położył dłoń na czole rannego chłopca.

- Nie ma gorączki - zauważył.

Keelin w milczeniu skinęła głową. Oboje dobrze wiedzieli, że gorączka przyjdzie nieco później. Czekwały ich ciężkie chwile. Marcus delikatnie odgarnął włosy z czoła śpiącego Adama. Ludzkie życie jest takie kruche, pomyślał. Miał wrażenie, że ciężar spoczął mu na piersiach. Dopiero teraz zaczął w pełni uświadamiać sobie ogrom poniesionej straty. Zwłoki ojca leżały na zewnątrz, pod zgrzebną tkaniną, na zimnej, twardej ziemi. Gdyby Adam miał także umrzeć...

Nie. Tego Marcus w ogóle nie brał pod uwagę. Dość już wycierpiał w ciągu kilku ostatnich godzin.

Zmęczonym ruchem przesunął dłonią po twarzy i spojrzał na lady Keelin, która właśnie mościła sobie posłanie obok paleniska. Usiadła na rozłożonym kocu, skromnie podwinęła nogi pod siebie, wyjęła grzebień i zaczęła czesać długie jedwabiste włosy.

Marcus przyglądał się jej w milczeniu. Trwało to dosyć długo, aż w pewnej chwili z przerażeniem uświadomił sobie, że ją rozbiera wzrokiem. Chrząknął głośno, żeby zwalczyć nieznośne drapanie w gardle, i szybko odwrócił głowę. Powinien teraz skupić się na tym, co ma do zrobienia, a nie interesować się Keelin O'Shea.

Za dwa dni wróć do Wrexton, pomyślał. Adam trafi pod dobrą opiekę Isoldy Coule i pozostałych kobiet. Biskup Chester odprawi mszę żałobną za duszę Eldreda i pierwszy z de Grantów spocznie w rodowej krypcie. Pierwszy, bowiem ojciec Marcusa odziedziczył zamek i tytuł po swoim dalekim krewnym, Edmundzie Sandbornie.

Życie będzie biegło dalej zwykłym trybem. Nadejdzie zima.

- Milordzie? - Melodyjny głos Keelin przerwał rozmyślenia Marcusa. Odwrócił się i spostrzegł, że odłożyła grzebień i teraz próbowała zdjąć opatrunek z szyi.

- Nie mogę rozplątać węzła, a trochę mnie uwiera - powiedziała. Wstała z klepiska i powoli podeszła do rycerza. - Mógłbyś mi pomóc?

Marcus podniósł się ze swego miejsca. Skinął głową w milczeniu, bo tak bliska obecność Keelin sprawiła, że nie zdołał wykrztusić ani słowa przez zaciśnięte gardło. Uniósł ręce i ostrożnie dotknął opatrunku, lecz miał wrażenie, że wkłada dłonie w ogień.

- Rzeczywiście splątany - powiedział wreszcie słabym i nieswoim głosem. - Poczekaj chwilę.

Jak na niewiastę, Keelin była dość wysoka, zatem nie musiał się pochylać, by jej pomóc. Czubkiem głowy sięgała mu niemal do nosa. Kątem oka przypadkiem zauważył, że broda drżała jej niczym w febrze. Zmarszczył brwi i spojrzał na nią uważniej. Dostrzegł łzę, migoczącą na jej długich rzęsach.

Keelin próbowała odwrócić głowę, ale jej na to nie pozwolił. Ogarnęło go niezwykle wzruszenie. Kciukiem starł łzę, zbliżył twarz do jej twarzy i złożył usta do pocałunku. Zrobił to tak naturalnie, jakby od lat miał wprawę w całowaniu.

Ich wargi lekko się zetknęły. Marcus na moment odchylił głowę, a potem pogłębił pierwszy pocałunek. Było mu na przemian zimno i gorąco.

Keelin jęknęła głucho i uniosła rękę. Marcus poczuł jej dłonie na swoim karku. Gładziła go po plecach, szyi, po włosach. On zaś, niezdolny powstrzymać swoich uczuć, chwycił ją nagle w objęcia i z całej siły przytulił do szerokiej piersi.

Mógłby tak trwać bez końca, nie bacząc na okoliczności, które przywiodły go do tej nędznej chaty.

Lecz zaraz przyszło opamiętanie. Marcus odsunął się w okamgnieniu. To szaleństwo! - pomyślał ze zgrozą. Adam tu leży ranny, na zewnątrz ojciec.

Keelin.

Stała wpatrzona z niego z zakłopotaniem. Milczeli, a potem zaczęli mówić jednocześnie:

- Wybacz, milady.

- Milordzie, ja...

I znów milczenie, przerywane chrapaniem Tiarnana.

- Dlaczego płaczesz? - spytał Marcus, który pierwszy odzyskał panowanie nad sobą.

Keelin odwróciła się szybko.

- Nic się nie stało, milordzie - odpowiedziała niemal beztroskim tonem, jakby codziennie była całowana przez urodziwych rycerzy. - To po prostu zmęczenie od nadmiaru wrażeń.

Marcus jej nie uwierzył. Wciąż pozostawał pod silnym wrażeniem pocałunku. Tak, był nią oczarowany.

Smutek zniknął z twarzy Keelin, a policzki pokryły się świeżym rumieńcem. Wyglądała o wiele weselej niż przedtem.

Ona jednak zupełnie nie wiedziała, co robić. Peszyło ją chłodne zachowanie Marcusa. W gruncie rzeczy, dlaczego miałyby ją przeproszać? Za jeden mały i niewinny całus? A może czymś go niechcący uraziłam, pomyślała z przestraszaniem.

Lecz Marcus wcale nie miał obrażonej miny. Pierś falowała mu jak po długim biegu i wciąż nie odrywał oczu od dziewczyny. Ciągle czuł smak jej warg - słodki, delikatny.

Keelin uznała Marcusa de Granta za najprzystojniejszego rycerza na świecie. Do tej pory nie знаła nikogo takiego, ani tu, w Anglii, ani tam, w Irlandii. Chętnie patrzyłaby nań do końca życia.

Ale nie było jej to przeznaczone. Kiedy tak stała w jego objęciach, oczy zaszły jej dziwną mgłą i straciła ostrość widzenia. Zatrzepotała powiekami i gwałtownie pokręciła głową, żeby odpędzić

złe przecucia, ale niewiele to pomogło. Będę miała wizję, pomyślała ze strachem. Przygryzła wargi, żeby stłumić okrzyk, i cofnęła się o pół kroku. Nie chciała przenosić się do krainy cieni. Przynajmniej nie teraz. Za wszelką cenę próbowała zostać w rzeczywistym świecie - tu, obok Marcusa, Adama i Tiaraana.

Nie udało jej się. Zamiast Marcusa zobaczyła twarz swego kuzyna, groźnego Cormaca O'Shea, przywódcy klanu Ui Sheaghda. Zniknęły ściany chaty, a w ich miejsce pojawiło się szare niebo nad pęsnym krajobrazem Kerry.

Usłyszała donośny szcęk stali i domyśliła się, że gdzieś w pobliżu toczy się zażarta bitwa. Nie wiedziała jednak, czy ogląda obrazy z przeszłości, czy przyszłości. Cormac zawzięcie wywijał mieczem. Potężne mięśnie grały mu pod skórą przy każdym uderzeniu. Skoczył w przód, zadał głębokie pchnięcie i odbił cios przeciwnika - ale ten pomalą zyskiwał przewagę i śmiałym atakiem rzucił Cormaca na kolana.

„Nie” - roztrzęsionym głosem wyszeptała Keelin. W nozdrza uderzył ją ciężki zapach krwi. Ktoś głośno zawodził gdzieś w oddali. Od strony wsi czarny dym wzbijał się w niebiosy, przesłaniał widok, gryzł w gardło i zatykał płuca.

Cormac wypuścił miecz z ręki. Chwilę później stalowe ostrze przeszło go na wylot i padł twarzą na murawę. Nie żył. Jego przeciwnik wydał głuchy triumfalny pomruk.

Keelin aż się skuliła z przerażenia. Wcale nie chciała na to patrzeć, ale nie potrafiła uciec od obrazów, dźwięków i zapachów. Nogi miała niczym wrośnięte w ziemię. Nie mogła zrobić najmniejszego kroku.

Dwie silne dłonie chwyciły za rękojeść miecza sterczącego z ciała Cormaca. Ciężki but spoczął na jego piersi. Wróg szarpnął mieczem, wyrwał go i uniósł wysoko nad głowę.

Keelin usłyszała głośny ryk zwycięstwa. Po chwili zobaczyła twarz tego, który krzyczał.

To był Ruairc Mageean.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Marcus w ostatniej chwili podtrzymał mdlejącą Keelin i ostrożnie ułożył ją na kocach. Straciła przytomność, a jej ciałem wstrząsały dreszcze. Rzuciła się, jakby w gorączce. Marcus przykrył ją ciepłą derką.

Zupełnie nie rozumiał, co się stało. Wszak jeszcze chwilę temu stali, złączeni czułym pocałunkiem, potem rozwarła szeroko oczy, zbladła i skuliła się, jakby w obawie przed uderzeniem. Nie był aż tak naiwny, aby sądzić, że to on wywarł na niej takie wrażenie. Zupełnie nie wiedział, co myśleć.

Zmarszczył brwi i potrząsnął nią delikatnie. Roztarł jej rękę, ale to nic nie pomogło. Nie odzyskała przytomności. Bał się, że coś jej się stanie.

Nie widząc innego wyjścia, wstał i podszedł do łóżka Tiarnana. Bez ceregieli wyrwał starca z głębokiego snu.

- Co się dzieje? - zapytał Tiarnan. - Keely? To ty?

- Wstawaj, stary - półgłosem powiedział Marcus. - Coś się stało twojej bratanicy. Przed chwilą ze mną zwyczajnie rozmawiała, a potem...

- Potem? - podchwycił starzec z wyraźnym zaniepokojeniem.

- Nie wiem - odparł Marcus. - Wzrok jej ściemniał i zdawało się, że mnie nie widzi.

Tiarnan kasłał przez jakiś czas, a później usiadł z ręką przyciśniętą do wychudłej piersi.

- Dostała dreszczy? Mruczała coś pod nosem? - spytał.

Marcus skinął głową, szczęśliwy, że stary coś wiedział o tych sprawach. Nie zwrócił uwagi na cień niepokoju w głosie Tiarnana.

- Tak - odparł, przypomniawszy sobie, że starzec jest przecież niewidomy.

- Och, nie - jęknął Tiarnan. - Za wcześnie na następną wizję - mamrotał, na poły do siebie. - To jej dar.. jej klątwa - powiedział do Marcusa. - Miała przy sobie włócznie?

- Jaką włócznie? - spytał rycerz, zły, że Irlandczyk mówi zagadkami. Piękna Keelin leżała może o krok od śmierci, a ten pyta.

- Wszyscy święci. To musiało być dla niej przeżycie. Z taką siłą.

- Z jaką?! - wybuchnął Marcus. Ze strachem spojrział na dygoczącą pod kocem dziewczynę. - Nic z tego nie rozumiem, O'Shea.

- Wcale ci się nie dziwię, chłopcze - odrzekł Tiarnan. Wzdrygnął się. - Zimno dzisiaj. Lepiej owiń ją ciepło, weź w ramiona i ogrzej własnym ciałem. Postaram ci się to wszystko wytłumaczyć najlepiej, jak potrafię.

Marcus spełnił prośbę starca. Siadł na klepisku, oparł się plecami o ścianę i przycisnął do piersi opatuloną w koce dziewczynę. Była blada jak płótno i zimna niczym sopel lodu. Marcus nie mógł uwierzyć, że jeszcze przed chwilą wydawała się pełna energii i życia.

- Mów, O'Shea - rzucił rozkazującym tonem. - Chcę wiedzieć, co jej dolega.

Tiarnan znów dostał ataku kaszlu, upłynęło więc nieco czasu, zanim rozpoczął. Wreszcie odchrząknął i zaczął mówić.

- Dziewczę ma dar, o ile można tak powiedzieć - zaskrzeczał schrypniętym głosem. - Chociaż ona zapewne uważa to za przekleństwo.

- Jaki dar? Wyrażaj się choć trochę jaśniej!

- Dar widzenia - opowiedział Tiarnan. - Zaczęło się to, kiedy była jeszcze małą dziewczynką. Widziała to, czego nie widzieli inni. W moim klanie zwą to „wewnętrzny okiem”, ale jaką nosi nazwę w Anglii, to nie wiem. To przecież nie najważniejsze. Keelin potrafi dostrzec rzeczy, które dopiero się wydarzą. A kiedy dotknie Ga Buidhe an Lamhaigh, to jej zdolności ulegają nagłemu wzmocnieniu w stopniu, jaki zaprawdę trudno sobie dokładnie wyobrazić.

- Co to jest Ga Buidhe?

- Ga Buidhe an Lamhaigh - powtórzył ślepiec. - To święta włócznia naszego klanu. Wiele lat temu, zanim święty Patryk przybył do Irlandii, została powierzona jednemu z naszych wodzów przez kapłankę bogini słońca. Lecz nie myśl sobie, że to jakieś pogańskie gusła. Włócznia została poświęcona przez świętą Brygidę, kiedy Cathair Sheaghda był małym chłopcem.

- Wystarczy już tych dziecinnych bajań, O'Shea - rzekł Marcus. Gniewało go, że stary plecie bzdury, zamiast od razu przejść do rzeczy. - Co dolega lady Keelin? Jak mogę jej teraz pomóc?

- Nie możesz zrobić nic więcej poza tym, że zapewnisz jej ciepło i spokój. Zrozumiesz więcej, jeśli pozwolisz mi kontynuować.

- Mów więc, ale rozsądnie.

- Keelin wie o sprawach, które się wydarzą - ciągnął Tiarnan. - Jest taka sama jak jej matka. Zawczasu „widzi” niebezpieczeństwo i w porę może zejść mu z drogi.

- Chcesz mi powiedzieć, że jest opętana?

- Nie, mój chłopcze! - z mocą wykrzyknął Tiarnan. - To nie ma nic wspólnego z szatanem! Wręcz przeciwnie - jest błogosławiona!

Marcus popatrzył na nieruchomą twarz dziewczyny. Raczej przekłeta, pomyślał z bólem, choć wcale nie chciał, żeby tak było.

Czuł, że nim zawładnęła. Dlaczego nagle zaczął ją całować, chociaż go peszył widok pięknych dziewcząt? Dlaczego przed nią jedną nie uciekał?

- To rzadki dar - chrypiał Tiarnan. - Przed Keelin miała go jej matka, przed nią jej matka, i tak dalej, przez pokolenia.

Marcus nigdy dotąd nie słyszał równie niedorzecznej opowieści. Trzeba jednak przyznać, że były na tym świecie sprawy, o których się ludziom nie śniło. Równie dobrze mogła istnieć włócznia o zawiłym celtyckim imieniu, obdarzona nadprzyrodzoną mocą. Mocą, która miała wpływ na Keelin.

Przygarnął dziewczynę do piersi, jakby chciał ją obronić przed niewidzialnym złem. Kiedy tak na nią patrzył, znów ogarnęło go pożądanie. Nie przywykł jeszcze do takich uczuć.

Może to czary? A może - tak jak mówił Tiarnan - pewien szczególny rodzaj błogosławieństwa?

W twarzy dziewczyny nie dostrzegął niczego, co mogłoby zadawać kłam jej niewinności. Ciasno opatulona w koce, wydawała mu się niezwykle krucha.

- Musiała widzieć coś okropnego - odezwał się Tiarnan.

- Skąd wiesz?

- Cóż. To doprawdy niełatwo wyjaśnić - westchnął. W ciągu tych lat, kiedy była pod moją opieką, tylko dwa razy odeszła w momencie widzenia. Nie miała wówczas w ręku włóczni.

- Odeszła? - powtórzył Marcus.

- Tak - mruknął Tiarnan. - Zemdląca. Tak jak teraz. Marcus w zadumie pokiwał głową.

- Za pierwszym razem była małą dziewczynką - ciągnął starzec. - Jej brat utonął.

Młody rycerz drgnął.

- Co się z nim stało?

- Och, to nie są przyjemne wspomnienia - wychrypiał Tiarnan. - Na imię miał Brian. Było to wczesną wiosną, pięknego słonecznego dnia, kiedy świat cały wkoło się zieleni. Keely była wraz ze mną za murami twierdzy Carrauntoohil. Ja zająłem się swoją pracą, a ona bawiła się szmacianą lalką. Większość mężczyzn wyjechała z rana na polowanie, dzieciarnia więc została sama. Chłopcy, nie mówiąc nic nikomu, wybrali się nad rzekę. Zapomnieli widać, że po roztopach woda znacznie przybrała i nurt był szybszy niż, na przykład, latem.

Marcus w milczeniu słuchał relacji Tiarnana. Dowiedział się, że mała Keelin nagle dostała drgawek. Przewróciła się, bełkotała niezrozumiałe słowa, a potem zemdląła. Kiedy ją ocucono, wybuchnęła niepohamowanym płaczem.

- Widziała śmierć Briana - oznajmił starzec. - Wizja spadła na nią bez najmniejszego ostrzeżenia i bez pomocy świętej włóczni.

- Przedtem nie zdarzyło się nic podobnego?

- Nie. - Tiarnan pokręcił głową. - Nawet jej matce. Dar Keelin jest mocniejszy. W naszym rodzie nikt przed nią nie miał tak wyraźnych wizji. Zobaczyła ich jak na dłoni. Biednego Briana, który wypadł z łodzi i dostał się w wir między skałami.

Marcus aż wstrzymał oddech, kiedy uświadomił sobie, jakim to musiało być przeżyciem dla dziewczynki. Tiarnan mówił dalej.

- Drugi raz też śmierć tak nią wstrząsnęła. To było wtedy, gdy jej ojciec, Ecoaidh, padł z ręki Ruairca Mageeana.

- A teraz, twoim zdaniem, chodzi o to samo? Znowu była świadkiem tragedii w jej rodzinie?

- Tak - odparł Tiarnan - bez wątpienia.

Marcus nic nie powiedział. Patrzył na nieruchomą postać w swych objęciach i zastanawiał się, czy to może być sprawka szatana. Nie znalazł na to rozsądnej odpowiedzi.

- Trzymaj ją w ciepłe, drogi chłopcze - poprosił Tiarnan - dopóki nie minie najgorsze.

Marcusowi nie trzeba było powtarzać tego dwukrotnie. Uniósł głowę i rzucił okiem na spokojnie śpiącego Adama. Potem ułożył się wygodniej, otulił Keelin kocami i czekał.

Keelin odzyskała zmysły o świcie. W nocy przebudziła się tylko na krótką chwilę. Czuła, że lord Marcus masuje jej zziębnięte plecy i szepcze jakieś uspokajające słowa, ale nie miała siły, by mu odpowiedzieć.

Wciąż miała lekkie zawroty głowy i nie potrafiła do końca sobie uprzytomnić wczorajszych wydarzeń. Nie pamiętała nawet, jak to się stało, że spędziła noc w objęciach Marcusa de Granta.

Ciągle ją trzymał, chociaż chyba zdrzemnął się ze zmęczenia, bo oddychał głęboko i regularnie. Keelin czuła się bezpiecznie w silnych ramionach rycerza.

Policzkiem dotykała jego wysoko sklepionej piersi. Niewiele myśląc, mocniej otarła się o niego.

- Uhm - mruknął przez sen Marcus i przycisnął ją silniej do siebie.

Keelin zadrżała, lecz nie z zimna. Nigdy przedtem nie doświadczyła takiego uczucia, jakie teraz stało się jej udziałem. Zafascynowana, znowu poruszyła się lekko w objęciach Marcusa i czekała na jego reakcję. Tak jak się tego spodziewała, zamruczał coś i odruchowo pogładził ją po plecach. Wyraźnie czuła jego zapach. Pachniał źródlaną wodą, lnem i żelazem... i czymś, czego nie umiała wyraźnie określić, a co było na pewno nim - Marcusem.

Miała dziecinną ochotę go ugryźć. A może nie było w tym nic dziecinnego? Jej usta znajdowały się o włos od jego piersi.

Nie. To szaleństwo. Nigdy w życiu nie zdobyłaby się na taką odwagę.

Instynktownie wyczuła, że się obudził. Napiął mięśnie i lekko się od niej odsunął.

- Nie śpisz? - spytał niezręcznie i chrząknął, jakby mu zaschło w gardle.

Keelin pokręciła głową. Próbowwała sobie przypomnieć, jak to się stało, że znalazła się owinięta kocem w ramionach Marcusa de Granta. Jak przez mgłę widziała niektóre obrazy: Marcus pomagający jej zdjąć opatrunek z szyi, pocałunek, moment osłupienia.

Cormac!

O wielki Boże i wszyscy święci w niebie! Wszystko już pamiętała. Cormac O'Shea zginął! Padł z ręki Ruairca Mageeana.

Keelin zerwała się na nogi i poczuła nagły zawrót głowy. Świat zawirował jej przed oczami i osunęła się z powrotem na kolana.

- Spokojnie - rzekł Marcus, chwytając ją za rękę. Podtrzymał ją, póki nie odzyskała równowagi.

- Keely? - zawołał ze swojego łóżka stryj Tiarnan.

- Tak, stryju - odpowiedziała. Siedziała z nisko pochyloną głową. Nie potrafiła spojrzeć Marcusowi w oczy. Dobrze wiedziała, że nią gardził. Pocałował ją, a ona... ona... zemdlła. Co mógł sobie wtedy pomyśleć? Na pewno miał o niej jak najgorsze zdanie.

- Jak się czujesz? - zapytał Tiarnan, unosząc się na łokciu i zwracając twarz w jej stronę, jakby mógł ją zobaczyć.

- Nic mi nie dolega, stryju - odparła. Powoli spróbowała się podnieść. - Adam...

- Wciąż śpi - odparł Marcus. - Zaglądałem do niego niedawno.

- Rana nie krwawi? - spytała Keelin. Z ociąganiem zerknęła na rycerza. Nie widziała pogardy w jego oczach, ale to mogło także znaczyć, że umiał zapanować nad emocjami.

- Nie - odpowiedział na jej pytanie. - I wcale nie gorączkował. Nie wiem, co mu dałaś, ale śpi całkiem spokojnie.

- To prawdziwe szczęście - wtrącił Tiarnan. Keelin podejrzliwie patrzyła na Marcusa.

Przypomniała sobie, jak odruchowo odsunął się od niej, kiedy tylko otworzył oczy. Pewnie mu było głupio, że musiał spędzić noc pod jednym dachem z dziewczyną niespełna rozumu. Nikt spoza Ui Sheaghda nie był w stanie zrozumieć osobliwego „daru”, którym natura obdarzyła kobiety tego klanu.

Keelin podeszła do łóżka Adama. Domyślała się, że stryj Tiarnan chciałby jak najszybciej dowiedzieć się, co widziała, ale jeszcze nie miała siły, by o tym opowiedzieć. Potrzebowała czasu, żeby ochłonąć po tak silnym przeżyciu.

Zapaliła świeczkę i zaczęła nasłuchiwać. Adam oddychał równo i spokojnie. Nie usłyszała niczego, co by wskazywało na to, że nastąpił wewnętrzny krwotok. Położyła mu rękę na czole. Nie było rozpalone. Zsunęła koc i ostrożnie zajrzała pod opatrunek. Rana wyglądała tak samo jak poprzednio - bez śladów zaognienia.

Szybko zrobiła nową porcję maści i zmieniła chłopcu bandaż. Z zewnątrz dobiegały przyciszone głosy. Obóz budził się do życia. Keelin nagle przypomniała sobie, że więcej rannych wymagało jej opieki.

Tymczasem Marcus, upewniwszy się, że z Adamem wszystko w porządku, wyszedł z chaty i najpierw zajrzał do obozu. Żadnych niepokojów, zameldowały straż. Pokiwał głową i powolnym krokiem

przespacerował się nad strumień. Tam usiadł, opierając się plecami o pień starej, rozłożystej wierzby.

Czuł się rozbity - nie z braku snu, lecz raczej po przygodzie z Keelin. Była dlań najpiękniejszą z niewiast i jedyną, którą przez całą noc trzymał w ramionach. Okazało się to dużo miłsze niż o wiele intymniejsze chwile, jakich zaznał z pewną markietanką w czasach, kiedy był z królem Henrykiem we Francji.

Stanęli wówczas obozem w Troyes tuż przed tym, zanim Henryk podpisał traktaty przyznające pokój obu zwaśnionym krajom. Marcus świętował razem z całym angielskim wojskiem. Zwyciężyli. Henryk miał poślubić córkę francuskiego króla i zasiąść na francuskim tronie po śmierci Karola.

Wino lało się strumieniami, a kobiety licznie ściągały do namiotów. Marcus wypił więcej niż kiedykolwiek przedtem albo potem. Nie opierał się, gdy pewne dziewczę zaproponowało mu swoje wdzięki w zamian za brzęczącą monetę.

Markietanką nauczyła go, co kochanek powinien dać kobiecie, a on okazał się pojętym uczniem. Doznał zmysłowej rozkoszy, lecz jednocześnie poczuł pustkę w środku. Postanowił, że już więcej nie sprzedaje się tak tanio.

A teraz już wiedział, że z lady Keelin O'Shea nic nie będzie już takie proste, jak mu się kiedyś wydawało.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Marcus wciąż siedział nad brzegiem strumienia. Umył się i ogolił, tak jak to czynił każdego ranka przez całe dorosłe życie. To się nie zmieniło, ale poza tym zmieniło się wszystko. Od dzisiaj był kimś zupełnie innym niż przedtem. Był earlem Wrexton.

Znowu ogarnął go niepokój i wielkie przygnębienie. Ojciec był niczym mur okalający całe Wrexton. Z synem łączyła go zażyła przyjaźń. Byli parą wiernych druhów, choć czasami Eldred nie stronił od pouczeń. Po zgonie poprzedniego earla odbudowali zamek i wprowadzili liczne zmiany. Wrexton prosperowało teraz jak nigdy przedtem.

Marcus ukrył twarz w dłoniach i dał upust smutkom. Dużo lżej byłoby mu na duszy, gdyby Adam nie odniósł rany. Jak dotąd, ciągle nie był pewny, czy chłopiec wyżyje. Nie wiedział też, kiedy będą mogli wrócić do zamku. Obawiał się, że nie zdoła tak dobrze jak ojciec spisywać się w roli kasztelana.

Drgnął, słysząc ciche kroki, i uniósł głowę. Potem wstał. Leśną ścieżką nadchodził Nicholas Hawken.

- To była spokojna noc - rzekł na przywitanie markiz.

Marcus na pewno nie nazwałby jej „spokojną”, ale nie zamierzał zwierzać się nikomu z nocnych przeżyć.

W gruncie rzeczy nie bardzo wiedział, co ze sobą począć. Z jednej strony tęsknił za Keelin, z drugiej - chciałby uciec od niej jak najdalej. Po trochu obawiał się własnych myśli.

Razem z Nicholasem ruszyli na niewielki obchód, by sprawdzić, czy gdzieś w pobliżu nie czają się przypadkiem celtyccy maruderzy.

- Żadnych śladów - powiedział w końcu Marcus. - Żadnych ognisk ani niczego innego.

- Moi ludzie pewnie ich wysiekli - przytaknął Kirkham. - Wszystkich, z wyjątkiem tego, co się tu wczoraj czaił.

Marcus wzruszył ramionami. Z reguły tak bywało w bitwie, że samotny wojak o wiele łatwiej mógł uniknąć śmierci. To także dotyczyło wspomnianego Celta.

Powiew zimnego wiatru targnął gałęziami. Marcus popatrzył w górę i zobaczył, że niebo zasnuło się ciężkimi chmurami. Zanosilo się na ulewę, a niewykluczone, że nawet na deszcz ze śniegiem, bo po wczorajszej nocy znacznie się ochłodziło.

Chłopi ze wsi pod Wrexton przewidywali wyjątkowo ciężką zimę. Z tego powodu Eldred postanowił wracać zaraz po weselu w Haverston, zamiast czekać na koniec wszystkich biesiad i uroczystości, zaplanowanych przez tamtejszego lorda. Bał się, że ulewa zastanie go z dala od domu.

Marcus raz jeszcze spojrzął na pociemniałe niebo. Ciekawe, ile potrwa ta zmiana pogody, pomyślał. Mam nadzieję, że nam nie opóźni powrotu do Wrexton.

- Marcusie - odezwał się Hawken. Pochylił głowę i założył ręce do tyłu. - Dziś wracam z moimi ludźmi do Kirkham. Pomyślałem sobie, że po drodze zajedziemy do Wrexton. Jeśli pozwolisz, to odwiozę ciało twego ojca i innych zabitych. Poczytam to sobie za zaszczyt.

Młody rycerz był szczerze zdumiony zachowaniem markiza. Do tej pory znał go przede wszystkim jako hulakę i awanturnika, nieprzebiegającego w słowach i skorego do bijatyki i życiowych uciech. Prawdą jest, że od dawna podejrzewał, że za rubasznym zachowaniem Nicholasa kryje się jakaś mroczna tajemnica.

Z wdzięcznością przyjął jego propozycję, gdyż uświadomił sobie nagle, że choćby ze względu na rannych sam nie zdoła w odpowiednim czasie zawieźć ciała Eldreda na zamek. Lepiej więc było to powierzyć Kirkhamowi. Zwłoki kasztelana powinny jak najszybciej spocząć w kaplicy w Wrexton.

- Zgadzam się i z całego serca dziękuję ci, Nicholasi - powiedział Marcus. - Rad jestem, że mogę powierzyć ci to zadanie.

Nicholas zerknął w niebo. Podobnie jak Marcus obawiał się nagłego pogorszenia pogody. Jeśli miał ruszać, musiał to zrobić jak najszybciej.

Wrócili nad strumień, żeby zabrać rzeczy pozostawione tam wcześniej przez Marcusa. Ze zdziwieniem zobaczyli dwóch zbrojnych, ścinających trzcinę i wpychających ją do płóciennych worków.

- A co wy tutaj wyprawiacie? - huknął Nicholas.

- Lady Keelin kazała nam przygotować posłania dla pozostałych rannych - szybko odparł jeden ze zbrojnych.

- Powiedziała, że nie mogą leżeć w namiotach, na zimnej i mokrej ziemi - dodał drugi. - Zamierza przenieść ich do chaty i otoczyć troskliwą opieką.

Nicholas nic nie odpowiedział. Uniósł tylko brwi ze zdziwienia, a potem różnym krokiem pomaszerował w kierunku obozu.

- To łóżko przesuńcie tam - rozkazała Keelin ludziom, którzy jej pomagali przemeblować chatę. Na dworze było już bardzo zimno i zaczęła padać marznąca mżawka. Dwaj rycerze ranni w potyczce z Celtami trafili pod dach, gdzie mogli się ogrzać i odpocząć.

Keelin nie widziała Marcusa od czasu, gdy poszedł nad strumień. Ciągłe zajęta, nie miała okazji pomówić z Tiarnanem o swojej wczorajszej wizji.

Westchnęła ciężko. Dobrze wiedziała, że nie wykręci się od tej rozmowy.

Wciąż miała w pamięci poranne przebudzenie. Nadal czuła ciepły dotyk silnych dłoni Marcusa na swoich plecach i jego oddech we włosach. Pierwszy raz w życiu doświadczyła czegoś tak przyjemnego, a zarazem kłopotliwego.

Co prawda, Marcus mógł się podobać, ale jej miejsce było w Irlandii. Po pierwsze, była przyrzeczona przez ojca innemu, a po drugie - zwłaszcza po tym, jak zobaczyła śmierć Cormaca - musiała jak najszybciej wracać do Carrauntoohil. Nie miała innego wyboru. Nowy przywódca klanu potrzebował Ga Buidhe an Lamhaigh, by zapewnić sobie przewagę nad Mageeanami.

Po raz kolejny obiecała sobie, że bezpiecznie odwiezie Tiarnana do Wrexton, a dopiero potem uda się w dalszą drogę. Musiała przebyć Morze Irlandzkie, zanim zaczną się pierwsze śniegi. Postanowiła, że nawet Marcus de Grant nie zdoła jej odwieść od tych zamiarów.

Musiała wracać, żeby raz na zawsze uporać się z Mageeanami.

A to przyjemna niespodzianka, pomyślał Marcus po wejściu do chaty, gdy zamiast woni krwi poczuł leśny aromat ziół i korzeni. W ciasnej izbie powinno pachnieć niczym w lazarecie. Na ogniu stał kociołek z jakąś gotowaną strawą, a ranni spali spokojnie na siennikach rozłożonych koło paleniska.

Stary Tiarnan siedział na swoim łóżku, a Keelin pochylała się nad Adamem i przemawiała doń półgłosem.

Znowu miała na sobie długą zieloną suknię, ciasno związaną w wąskiej talii, pod pełnymi piersiami. Wyglądała przepięknie.

- Nic się nie martw - mówiła do rannego chłopca - będziesz miał piękną bliznę, jak przystało na prawdziwego wojownika. Każdy, kto cię zobaczy bez koszuli, od razu pozna, że brałeś udział w bitwie.

- Kto przyszedł? - słabym głosem zapytał Adam.
- To lord Marcus - odpowiedziała Keelin. - Zapewne chciał zobaczyć, jak się czujesz.

- Jak się czujesz? - odruchowo powtórzył rycerz.

- Lady Keelin uważa, że wkrótce wyzdrowieję - cicho odparł Adam. - Mówi, że jestem silniejszy i dzielniejszy od wszystkich chłopców, których poznała w Carrauntoohil. To jej wieś w Irlandii - dodał tonem wyjaśnienia.

- Prawdę rzecze - zgodził się Marcus. - Chociaż sam nie znam chłopców z... z Carrauntoohil.

- Lady Keelin wspomniała mi też, że markiz Kirkham zabrał wuja Eldreda do Wrexton.

Marcus pokiwał głową i położył dłoń na czole Adama. Chłopiec miał wyższą gorączkę niż przedtem. Z ukosa spojrział na Keelin, a ona przytaknęła nieznacznie. Zbliżało się przesilenie.

- Pojedziemy do Wrexton na mszę? - spytał Adam.

- Spróbujemy - odparł Marcus. - A teraz odpoczywaj i staraj się wyzdrowieć.

Chłopiec przymknął powieki. Keelin podniosła się ze stołka i podeszła do paleniska. Zamieszała w kociołku długą drewnianą łyżką. Kłęb pary uniósł się aż pod sklepienie.

- Ilu twoich ludzi zostało z nami, milordzie? - zapytała cicho.

Marcus stłumił ziewnięcie. Zmęczenie ostatniej doby dawało mu się już we znaki. Nicholas Hawken zabrał większość zbrojnych i rycerzy z Wrexton. Pozostali, na rozkaz Marcusa, przetrząsali knieje, aby sprawdzić, czy w pobliżu chaty nie czają się jacyś wrogowie.

- Czterech, jeśli nie liczyć tych dwóch tutaj - powiedział, wskazując na rannych. - Kazałem im rozejrzeć się po okolicy.

- Musisz być mocno zmęczony po dzisiejszej nocy, milordzie - zauważyła Keelin. - Spróbuj się trochę zdrzemnąć. Jest tu jeszcze dość miejsca, żebyś wyciągnął się i przespał.

Marcus spiekł raka na wspomnienie „dzisiejszej nocy”. Zauważył, że lady Keelin też poczerwieniała. Ciekawe, co myślała o tym wydarzeniu. Wciąż nie wiedział, co zobaczyła, zanim osunęła się na ziemię. Nie spytała, jak to się stało, że spali przytuleni. Czy myślała, że wspomnienia znikną, jeśli nie będzie o nich mówić?

Marcusowi ostatnie wydarzenia na zawsze zapadły w pamięć.

Wziął ze stołu dwa koce i ułożył sobie posłanie przy łóżku Adama. Był tak zmęczony, że nawet nie chciało mu się myśleć. Sam nie wiedział, kiedy zasnął.

- Keely - odezwał się nieoczekiwanie Tiarnan. - Usiądź tu przy mnie na chwilę i porozmawiaj ze starym stryjem.

Keelin rozejrzała się po izbie. Wszyscy poza Tiarnanem spali. Nie mogła już dłużej odwlekać tej rozmowy. Przysunęła stołek do łóżka stryja, usiadła i opowiedziała mu ze szczegółami o wszystkim, co widziała.

Marcus otworzył oczy. Obudził go szum wichury szalejącej na zewnątrz chaty. O dziwo, w izbie wciąż było przytulnie i ciepło. Usiadł, zastanawiając się, jak długo spał. Należało chyba zluźnić warty. Niech też się trochę ogrzeją.

Spojrzał na Keelin, klęczącą przy rannym rycerzu. Właśnie zmieniała mu opatrunek na ramieniu. Mówiła coś cichym i kojącym głosem. Zapewniała go, że rana się nie jątrzy, że na pewno odzyska pełną władzę w ręku. Była łagodna, wyrozumiała i pełna współczucia. Jej uśmiech sprawiał, że znikwały troski.

Potem usiadła przy drugim rannym, żeby mu otrzeć spocone czoło. Zmoczyła czysty kawałek tkaniny w misce z wodą. Marcus popatrzył na jej ręce. Niemal czuł jej palce, przesuwane się po jego ciele.

Zaschło mu w gardle.

Keelin pochyliła się, żeby ponownie zmoczyć szmatkę i nagle zamarła w pół ruchu. Szarpnęła się, jakby ją coś uderzyło. Oczy jej ściemniały i nieruchomym wzrokiem przez chwilę wpatrywała się gdzieś przed siebie, w przestrzeń.

Potem uniosła głowę i wzięła się do pracy. Wstała z klęczek i przesunęła kilka sprzętów, robiąc wolne miejsce koło ognia. Poprosiła rannego, żeby położył się na boku.

- Co się stało, lady Keelin? - zapytał.

- Och, nic takiego - zająknęła się. - Potrzebne tylko jeszcze jedno... jedno...

Marcus chrząknął głośno i podniósł się z posłania.

- Lordzie Marcusie - powiedziała Keelin, podchodząc do niego. Położyła mu rękę na ramieniu. - Obawiam się, że mam niedobre wieści - mówiła cicho, żeby poza nim nikt jej nie usłyszał.

Popatrzył na nią z powątpiewaniem.

- Jeden z twoich ludzi spadł z konia - oznajmiła ze zmarszczonymi brwiami. - Coś mu się stało. Nie wiem, co... ale... - Potrząsnęła głową. - Dwóch zbrojnych niesie go do chaty. Trzeba im pomóc.

Na zewnątrz rozległy się czyjeś głosy. Marcus odwrócił się szybko i otworzył drzwi. Tak jak mówiła Keelin, dwóch ludzi niosło sir Edwarda. Lewa noga zwisała mu bezwładnie.

Zimny deszcz przebiegł po plecach Marcusa. Niemal groźnym wzrokiem spojrzął przez ramię na Keelin.

- Tutaj - zawołała pospiesznie, udając, że tego nie widzi, chociaż twarz piekła ją jak po uderzeniu. - Połóżcie go koło ognia.

Sir Edward jęknął głośno.

- Koń się pośliznął - wyjaśnił jeden ze zbrojnych. - W niektórych miejscach ziemia zamarzła, a przez ten deszcz nic nie widać na dalszą odległość.

- Sir Edward chyba ma złamaną nogę - dodał drugi. Marcus rozciął nożem nogawicę Edwarda. Musiał się czymś zająć, żeby oderwać się od ponurych myśli. Keelin w tym samym czasie mieszała sproszkowane zioła z wodą. Skąd wiedziała? - zastanawiał się Marcus. Nie mógł zapomnieć słów, które powiedziała na chwilę przed tym, zanim sir Edward znalazł się w chacie. Keelin przytknęła kubek do ust chorego.

- To tylko nieco waleriany na złagodzenie bólu i uspokojenie - wyjaśniła. - Łatwiej będzie nam nastawić kość - dodała ze smutnym uśmiechem.

Edward z jej pomocą ułożył się na pościeli. Keelin przykucnęła po jego drugiej stronie, naprzeciwko Marcusa.

- Potrzebne nam będą łubki - rzuciła w stronę zbrojnych. - Znajdziecie dość drewna z tyłu, za chatą, w pobliżu zagrody dla muła.

Sir Edward znowu jęknął, kiedy dotknęła jego obolałej nogi. Marcus, wciąż oszołomiony, wpatrywał się w Keelin. Ciagle jeszcze nie potrafił uwierzyć we wszystko, co się stało w ciągu kilku ostatnich minut. A może w nic już nie powinien wierzyć?

- Znalazłbyś w swoich sakwach kilka rzemieni, milordzie? - spytała.

Marcus przymknął oczy, zebrał się w sobie i potakująco skinął głową.

Keelin z pomocą Marcusa nastawiła złamaną kość i zabandażowała nogę Edwarda. Potem dała mu nieco gorącej stawy. Zbrojni pozostali w chacie, choć zrobiło się ciasno. W taką pogodę nie obawiali się napadu. Nie było sensu, żeby marzli i mokli.

Marcus zapragnął wyjść na zewnątrz i odetchnąć świeżym powietrzem. Przede wszystkim chciał choć na chwilę być z dala od Keelin O'Shea. Naciągnął ciepłą wełnianą tunikę i wyjął płaszcz z juków.

- Marcusie? - odezwał się Adam.

- Słucham? - zapytał rycerz. Wstyd mu było, że chciał się wymknąć bez rozmowy z chłopcem. Adam obudził się już dobrą chwilę wcześniej, zaniepokojony jękami Edwarda.

- Dokąd idziesz?

Marcus pochylił się nad nim.

- Na dwór. Sprawdźę... - zawahał się. - Sprawdźę, co z końmi.

Lekko poklepał go po głowie i wyszedł. Zbrojni z Wrexton rozciągnęli namiotowe płótna nad zagrodą dla muła i w ten sposób powiększyli schronienie. Konie były więc w miarę dobrze osłonięte od zimnego deszczu.

Marcus nie spodziewał się napadu Celtów. W taką pogodę nawet dzikie bestie wołały siedzieć w ukryciu.

Starał się myśleć o wierzchowcach, deszczu, o zapasach paszy i jedzenia. Miał nadzieję, że Nicholas Hawken bezpiecznie dotarł na zamek przed ulewą. Ciekawe, czy biskup Chester dojechał już do Wrexton. A może w tę pogodę jeszcze nie wyruszył?

Mógłbym zapytać o to lady Keelin, przemknęło mu przez głowę.

Okazało się, że Tiarnan nie kłamał, mówiąc o niezwykłych zdolnościach dziewczyny. Umiała widzieć różne wydarzenia - i wcale się nie myliła.

A zatem była czarownicą? Pozostawała w zмовie z szatanem? Czy też, jak twierdził Tiarnan, otrzymała dar od samego Boga? Była przeklęta czy błogosławiona?

Prawdę powiedziawszy, nic nie wskazywało na jej konszachty z diabłem. Z niezwykłą troską opiekowała się Adamem i pozostałymi rannymi rycerzami. Nawet przeżegnała się, zanim zaczęła opatrywać złamaną nogę sir Edwarda - a tego przecież nie uczyniłby żaden diabelski pomiot.

Marcus już sam nie wiedział, co myśleć.

Jednego był pewny - pozostawał wciąż pod jej urokiem. Owładnęła nim całkowicie. Choćby w tym musiały kryć się jakieś czary. Sprawiała, że w jednej chwili zapomniał o dziewczętach, które widział zaledwie przed kilkoma dniami podczas uczyty weselnej w Haverston. Teraz nie mógł sobie nawet przypomnieć ich twarzy. Mówił bez zająknięcia, co też się nie zdarzało. Dotykał jej, całował ją, przez noc całą trzymał w ramionach.

Gdy była blisko, robiło mu się gorąco. Choćby teraz... aż musiał wyjść z chaty, by ochłonać.

Tak, tak, rozmyślał gorączkowo. Rzuciła na mnie urok. Nie znał innego wytłumaczenia tego, co się z nim działo.

- Wiesz chyba - powoli mówił Tiarnan - że nie zdołam z tobą powrócić.

- Gdzie? Do Irlandii? - spytała Keelin i nałożyła mu do miski kolejną łyżkę jadła. Ludzie lorda Marcusa rzędem leżeli na podłodze. Jedni drzemali, inni spali, chrapiąc na całe gardło. Keelin raz po raz spoglądała na drzwi, w oczekiwaniu że młody earl wkrótce wróci.

Wróci i znów obdarzy mnie pogardliwym spojrzeniem, pomyślała.

- Tak - odparł stryj Tiarnan. - Nawet droga do zamku Wrexton może być dla mnie zbyt uciążliwa. Jestem stary i niedołężny.

- Nawet nie myśl o tym, że cię tu zostawię - powiedziała.

- Keely, bądźże choć raz rozsądną dziewczyną.

- Nie - przerwała mu. - Nie mów mi o rozsądku, skoro się upierasz, by cię porzucić w lesie.

- Keelin...

- Miałam widzenie. Byłeś na zamku Wrexton. Nic się już nie da zmienić.

- Naprawdę? - żywiej zapytał Tiarnan.

- Wprawdzie to było tylko coś na kształt przeczucia, ale cię widziałam. W pięknym zielonym ogrodzie na kamiennej ławce. Świeciło słońce, a ty grzałeś się w jego promieniach. Dookoła rozkwitały pąki wiosennych kwiatów. Młode listki zieleniły się na drzewach.

Tiarnan oparł się na poduszce i przymknął powieki. Jej słowa pobudziły w nim nową nadzieję. Keelin była przekonana, że już więcej nie będzie się sprzeciwiał podróży do Wrexton.

Noc zapadła, a Marcus de Grant nie wrócił. Keelin owineła się kocem i usiadła oparta o ścianę obok łóżka Adama. Chciała być w pobliżu, gdyby jej potrzebował. Nie mogła zasnąć, chociaż czuła ogromne zmęczenie po całym dniu spędzonym przy chorych i rannych.

Marcus przyszedł dopiero ciemną nocą. Keelin nie chciała go już denerwować, zamknęła więc oczy i udała, że drzemie. Po chwili jednak nie wytrzymała i lekko uchyliła powieki. Marcus zdjął przemoczony płaszcz i zawiesił go na kołku w pobliżu paleniska. Tunikę też miał mokrą, ale nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Najpierw podszedł do Adama i przyłożył mu dłoń do czoła.

Ogłędziny widać wypadły pomyślnie, bo po chwili odstąpił od śpiącego chłopca, przeciągnął zdrętwiałe ramiona i zdjął tunikę, a zaraz po niej - koszulę. Z juków wyjął kawałek suchej tkaniny, stanął koło ognia i zaczął się wycierać.

Keelin obserwowała go ukradkiem. Marcus pochylił się nad kociołkiem, pociągnął nosem, znalazł miskę i łyżkę, nałożył sobie kopiastą porcję jedzenia i zasiadł do posiłku. W jego ruchach znać było wyraźne zmęczenie.

Powinien wreszcie położyć się i odpocząć, pomyślała Keelin.

Tak wygląda życie w małżeństwie, przemknęło jej przez głowę. Mąż wraca późno i znajduje strawę pozostawioną mu przez żonę. Zjada wieczerzę, rozbiera się i po cichu wsuwa do małżeńskiego łóżka. Żona otwiera oczy, czując poruszenie, całuje go, a potem...

Ciekawe, czy mój narzeczony podobny jest do Marcusa? - pomyślała. Czy jego dotyk rozpali we mnie te same pragnienia, które czułam dziś w nocy? Cóż, odpowiedź poznam pewnie już niedługo, po powrocie do Kerry. Ani przez chwilę nie wątpiła, że wyjdzie za człowieka przeznaczony jej przez ojca.

Wprawdzie Tiarnan zaręczał, że nic o tym nie wie, ale Keelin podejrzewała, że nie mówił prawdy. Mimo to pozostawał głuchy na jej dociekania. Nie wiedziała zatem, czego się spodziewać.

W okolicach Carrauntoohil mieszkało kilku dorodnych młodzieńców. Każdy z nich - zdaniem Keelin - nadawał się na męża. Ufała, że ojciec wybrał jej najlepszego. W końcu stanowiła nieprzeciętną partię. Córka wielkiego wodza i przywódcy klanu nie wychodzi za mąż z miłości. Wypełnia raczej obowiązek wobec

własnego rodu. Na niej ciążyło to tym bardziej teraz, po śmierci Cormaca.

Jak mieli przetrwać? Co się działo w Kerry? Wizja jej nie ujawniła, czy Ruairc Mageean zdobył twierdzę, czy Carrauntoohil wciąż pozostawało w rękach klanu Ui Sheaghda.

Keelin westchnęła ciężko. W gruncie rzeczy nadal nie wiedziała, co tam naprawdę zaszło. Musiała jak najszybciej zabrać Ga Buidhe an Lamhaigh i pospieszyć swoim na ratunek. Ze świętą włóczęgią klan Ui Sheaghda łatwiej stawi czoło podstępnyom Mageeanom. Z jej pomocą na pewno odparliby następny atak.

Ale to na razie było niemożliwe. Keelin musiała uzbroić się w cierpliwość. Na dobrą sprawę nie wiedziała jeszcze, kiedy będą mogli wyruszyć do Wrexton. Najpierw chciała zadbać o dobro Tiarnana. Z własnej woli nie potrafiła przywołać wizji. To nigdy nie działało w ten sposób.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dopiero na czwarty dzień pogoda poprawiła się na tyle, by niewielki oddziałek Marcusa mógł opuścić leśną chatę zamieszkiwaną dotąd przez Keelin O'Shea i jej stryja, Tiarnana.

Marcus odjeżdżał z pewnym żalem. Mimo zimna na dworze, w chacie zawsze było przytulnie i ciepło. W małej izbie czuł silniejszą więź ze swoimi ludźmi. Wiedział, że ich przygoda dobiegnie końca, gdy tylko dotrą do Wrexton.

Nigdy nie będę już tak blisko Keelin, pomyślał ze smutkiem.

Starał się na nią jak najmniej patrzeć, żeby nie wracać myślami do pamiętnej nocy. Niestety, rzadko kiedy mu się to udawało. Wciąż wodził za nią rozmarzonym wzrokiem, gdy krzątała się przy Adamie i rannych rycerzach. Nieraz przyłapała go na tym spojrzeniu, i to właśnie było najgorsze.

Za każdym razem krew uderzała mu do głowy. Płonął cały i czuł na swoich ustach smak jej pocałunku.

Na szczęście lodowaty deszcz z uporem przywracał go do rzeczywistości. Na szczęście dla obojga - dla niego i Keelin.

Czwartego ranka słońce przedarło się wreszcie przez chmury - Marcus doszedł do wniosku, że najwyższa pora ruszać do Wrexton. W normalnych warunkach pokonaliby tę odległość w jakieś dwie godziny. Teraz - z mułem i karawaną rannych - musiał się liczyć z tym, że będą to co najmniej cztery.

Lady Keelin spakowała zioła do kuferka, w którym trzymała resztę swoich rzeczy. Jeden ze zbrojnych umocował kufer na wozie ciągniętym przez muła. Marcus nie dostrzegł nic, co choćby z grubsza było podobne do włóczni. A przecież wiedział, że dziewczyna nie porzuciłaby na pastwę losu rodowej świętości.

Musiała zatem gdzieś ją ukryć.

- Przeniesiesz Adama na wóz, milordzie? - zapytała Keelin, kiedy wszystko było już gotowe do drogi.

Marcus ostrożnie wziął chłopca na ręce i wyniósł go z chaty. Wiedział, że czeka ich ciężka podróż, chociaż Keelin zrobiła, co mogła, żeby Adamowi było jak najwygodniej.

- Myślisz, że zdążymy na pogrzeb wuja Eldreda? - zapytał Adam. Nie spał, mimo że Keelin dała mu zioła na uspokojenie.

Marcus delikatnie przycisnął go do piersi.

- Nie wiem - odparł. - Posłałem do Wrexton sir Rogera, by powiadomił wszystkich o naszym przybyciu. Jeśli pogrzeb jeszcze się nie odbył, biskup na pewno na nas zaczeka.

Ułożył chłopca obok czekającego w wozie Tiarnana. Inni poszkodowani, nie wyłączając sir Edwarda, zajmowali resztę platformy. Dla Keelin zabrakło miejsca. Musiała zatem wsiąść na konia jednego z rannych rycerzy.

Rumak był wprost ogromny. Keelin nie wiedziała, czy zdoła go dosiąść, nie mówiąc już o jeździe. W Irlandii rzadko wybierała się na konne przejażdżki. W Anglii od czterech lat nie siedziała w siodle.

Oddział był już gotów do drogi. Keelin wciąż stała obok swojego wierzchowca, nieświadoma zaciekawionych spojrzeń Marcusa.

- Potrafisz jeździć, pani? - spytał wreszcie. Drgnęła i odwróciła głowę, wciąż jednak kątem oka zezując na konia.

- Kiedyś trochę jeździłam - przyznała. - To było całe lata temu.

- Jeśli chcesz... - Marcus urwał nagle i spojrzał na wóz, jakby chciał się upewnić, że tam rzeczywiście już nie ma nawet kawałeczka miejsca. - Jeśli chcesz... możesz jechać ze mną - wykrztusił wreszcie.

Prawdę mówiąc, marzyła o tym, by znów poczuć się bezpieczna w jego potężnych ramionach. Wiedziała jednak, że nie może sobie pozwolić na ten luksus. Nie po tym, jak przez cztery koszmarnie długie dni starała unikać Marcusa.

- Dziękuję, milordzie - powiedziała cicho. - Wy - starczy, jeśli podsadzisz mnie na siodło. Potem będę mogła jechać aż na kraj Walii.

Marcus zawahał się. Boże, jak on mnie musi nienawidzić! - pomyślała Keelin. Wyraźnie brzydził się jej dotknąć. Poczowała łyzy pod powiekami. Odwróciła się

szybko, chwyciła zwisające wodze i podprowadziła konia do pieńka po starym dębie. Sama wsiądę, a on niech się trzyma ode mnie z dala!

- Milady... - Marcus zastąpił jej drogę. W żaden sposób nie mogła go ominąć.

- Nie kłopotz się mną, milordzie - odparła. - Jakoś dam sobie radę.

Widziała, że zaczerwienił się po same uszy. Dumnie uniosła głowę, okrążyła go szerokim łukiem i wstąpiła na pieńek. Zanim

jednak zdążyła włożyć nogę w strzemię, Marcus chwycił ją wpół i podsadził na siodło.

Aż zachłysnęła się własnym oddechem. Marcus ze skruszoną miną wręczył jej wodze.

- Czy... eee... ci wygodnie? - bąknął.

- Może być - odpowiedziała, sadowiąc się odrobinę mocniej i zginając nogę w kolanie. - Dziękuję za pomoc, milordzie.

Marcus nigdy nie czuł się tak bezradny. Jechał przez las, wiodąc ze sobą wóz z rannymi i damę, która ledwo trzymała się na koniu. Miał ze sobą zaledwie dwóch zdolnych do walki zbrojnych. Nic więc dziwnego, że wciąż spoglądał na pobocza traktu, na krzewy i drzewa. Nikt z nich nie przeżyłby kolejnego napadu Celtów.

Roger jeszcze przed świtem objechał okolicę, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Nie spotkał też podróżnych. Marcus zdecydował się ruszyć jak najszybciej. Im prędzej dojadą do Wrexton, tym lepiej.

Nie mógł zapomnieć widoku Keelin, gdy sadowiła się w siodle. Miała w sobie tyle wdzięku i kobiecej gracji. Każdy przyznałby, że jest damą.

Teraz jechała spowita grubym płaszczem, z twarzą ukrytą pod kapturem. Nie zaplotła jednak warkoczy, Marcus mógł więc ukradkiem spoglądać na czarne kosmyki, wymykające się spod okrycia. Nigdy przedtem nie zdawał sobie sprawy, że można tak zachwycać się widokiem kobiecych włosów. Ręce świerzbiły go, by ich dotknąć.

Musiał powstrzymać te niewczesne myśli. Lady Keelin była nie dla niego. Na zamku Wrexton oczekiwały go pilniejsze sprawy. Dopiero potem będzie mógł spokojnie rozważyć, w jaki sposób pomścić śmierć ojca na okrutnych Celtach, uznał, pogoniwszy konia, by wyjechać na czoło kawalkady.

W pierwszej chwili chciał użyć Keelin i Tiarnana w charakterze przynęty, ale potem doszedł do wniosku, że to niepotrzebne. Celtowie nie porzucą tropu, dopóki święta włócznia będzie pozostawać w rękach dziewczyny.

Kiedyś przyjdą do Wrexton, a wtedy wpadną w pułapkę.

Keelin dostanie dobrą ochronę. Na pewno nic jej się nie stanie - bez względu na to, czy jest czarownicą, czy ma w sobie prawdziwy

dar boży. Nie jemu sądzić, komu zaprzedała duszę. Da jej schronienie, a kiedy będzie już po wszystkim, pozwoli odejść. Jej i Tiarnanowi.

Keelin poprawiła się w siodle.

Jazda była męcząca, zwłaszcza dla tych, którzy nie przywykli do takiego sposobu podróży. Widziała, że ranni na wozie cierpią - wszyscy, z wyjątkiem Adama, który na szczęście zasnął. Za każdym razem gdy drewniane koła podskakiwały na kamieniach albo wpadały w rozpadlinę, sir Edward bladł jak ściana i odruchowo chwycił się za nogę.

Zamajaczyły ciemne mury. Cała kawalkada podjechała do zamku Wrexton. Był dużo większy niż twierdza Carrauntoohil, należąca do klanu Ui Sheaghda. Główna wieża wyraźnie górowała nad murami. Z jednej strony płynęła szeroka rzeka, naturalna dodatkowa osłona przed wrogami. Za rzeką widać było małą wieś. Zamkowe baszty wydały im się przytulnym schronieniem po godzinach spędzonych w drodze.

We wsi chłopci wychodzili z chałup, aby dobrym słowem pozdrowić Marcusa i wyrazić mu swoje współczucie z powodu śmierci ojca. Młody rycerz zsiadł z konia i kazał pozostałym jechać wprost na zamek. Sam chciał przez chwilę porozmawiać z ludem.

Keelin popatrzyła na niego z namysłem. W tej chwili przypominał jej ojca, Eocaidha. Tak samo silny, opiekuńczy, niczym prawdziwy król wojowników. Miał jednak w sobie więcej ciepła - czego nie dało się powiedzieć o Ecoaidhu - lecz w błędzie byłby ten, kto uznałby to za znak słabości.

Marcus de Grant potrafił być równie nieugięty jak najtęższy z irlandzkich wojów.

Orszak minął kilka drewnianych chat i dotarł pod mury zamku. Keelin spojrzała na nie z ciekawością. Tuż za pierwszym potężnym bastionem zobaczyła stajnie, koszary, składy i parę niskich domów, których przeznaczenia nie mogła odgadnąć. Była tu też kaplica.

Na dziedzińcu zauważyła sir Rogera i zbrojnych z oddziału Marcusa. Ranni trafili do jednej izby, Adam zaś został przeniesiony do komnaty. Sir William pomógł dziewczynie zsiąść z konia. Wzięła Tiaraana za rękę, sprowadziła go z wozu i podeszli razem do kamiennych schodów. Starzec kroczył powoli, bez wątplenia zmęczony i wiekiem, i chorobą. Na dodatek nie widział.

- Sir Williamie - zapytała Keelin - dokąd zaprowadzicie muła?

- Cóż - odparł z niemalym zaskoczeniem - do stajni. Tam, gdzie są inne muły. Konie stoją po drugiej stronie.

- A wóz? - spytała, nie dając po sobie poznać, jak bardzo jej zależy na tej odpowiedzi. Nie chciała zdradzić miejsca, w którym ukrywała włóczęgę, lecz przecież musiała się dowiedzieć, gdzie powinna jej szukać w razie nagłej potrzeby.

- Do wozowni. To ten długi niski budynek, zaraz koło stajni - padła odpowiedź. - Nie martw się, milady. Kiedy tylko uporamy się z rozmieszczeniem rannych, moi ludzie zanoszą kufer do twojej komnaty.

- Bardzo dziękuję, sir Williamie - odrzekła Keelin, zadowolona, że uznał, iż jej ciekawość wynika z troski o bagaże. Postanowiła, że najpierw obejrzy komnatę, a potem ukradkiem przeniesie Ga Buidhe an Lamhaigh.

- To miejsce ma w sobie coś wielkiego - odezwał się milczący dotąd Tiarnan.

- Bo też naprawdę jest wielkie, stryju - powiedziała Keelin. - Nigdy przedtem takiego nie widziałam.

- Większe niż twierdza Carrauntoohil?

Doszli do ogromnych dębowych drzwi. Keelin jeszcze raz rozejrzała się po dziedzińcu.

- Większe - odparła. - I dobrze utrzymane. Lord Wrexton musiał być bardzo bogaty - dodała ciszej.

Drzwi stanęły otworem i w progu ukazała się młoda, dostatnio ubrana kobieta.

- Lady Keelin. - Sir William skinął głową w jej stronę. - To jest lady Isolda Coule.

Kim ona może być? - zastanawiała się Keelin. Co łączy ją z Marcusem de Grantem? Może to jego owdowiała siostra? A może... narzeczona?

- Komnaty są już gotowe, dla ciebie, pani, i dla twego stryja - powiedziała Isolda, prowadząc ich do wielkiej sali. - Kiedy tylko tam się urządzicie, przyślę wam coś do picia i jedzenia.

- Dzięki, pani - odparła Keelin. Pod płaszczykiem uprzejmości wyczuwała skrywaną niechęć młodej kasztelanki, ale nic sobie z tego nie robiła. Nie zamierzała tu pozostawać zbyt długo. Teraz liczył się tylko Tiarnan. No i Adam. To o nich musiała zadbać. Potem będzie mogła spokojnie opuścić zamek Wrexton i udać się na zachód. Miała

nadzieję, że pogoda nie popsuje się na j tyle, żeby jej uniemożliwić przeprawę przez morze.

Widok Wrexton sprawił jednak, że szybko zapomniała o Irlandii. Zamek był przeogromny, bogaty i wspaniały. Keelin pierwszy raz w życiu oglądała tak wielką budowlę. Z zachwytem wpatrywała się w piękne gobeliny i suto zdobione meble w wielkiej sali. W pewnej chwili aż się potknęła w zadziwieniu.

W porównaniu z domostwem de Grantów twierdza Carrauntoohil wydawała jej się zimnym, ponurym i nieprzyjemnym miejscem. Na posadzce leżały najzwyklejsze chodniki, żaden arras nie skrywał posepnych kamiennych murów. Zgodnie z nazwą, Carrauntoohil było raczej wojskową twierdzą niż domem. Keelin do dzisiejszego dnia nie zdawała sobie z tego sprawy. Dopiero teraz łuski spadły jej z oczu.

Starła się zapamiętać z Wrexton jak najwięcej. Z zachwytem spoglądała na czystą podłogę, wdychała aromaty napływające z kuchni i słuchała szczęku ćwiczebnych mieczy na placu treningowym.

Z uwagą przyglądała się także Isoldzie. Kasztelanka była tylko odrobinę starsza od niej. Młoda, ładna, o ciemnokasztanowych włosach i dużych sarnich oczach okolonych długimi rzęsami. Na nosie i policzkach miała urocze piegi, takie same jak u wielu irlandzkich dziewcząt w Kerry.

Na głowie nosiła starannie wyprasowany czepek, a ubrana była w długą suknię o pastelowej barwie. Sute rękawy zwieszały jej się aż do kolan; kołnierz miała spięty wysadzaną klejnotami broszką.

Keelin ciaśniej owinęła się wystrzępionym płaszczem. Od lat nie kupowała żadnych nowych ubrań. Włosy czesała sama, najprościej jak umiała.

- Lord Marcus został we wsi? - zapytała Isolda, kiedy znalazły się przy schodach wiodących na piętro, do prywatnych komnat.

- Tak - odpowiedziała Keelin. - Chłopi zatrzymali go, by z nim porozmawiać. Nie wzbraniał im tego.

Isolda przemilczała jej słowa, ale odruchowo wydeła usta, jakby nie pochwaliała takiego zachowania ze strony nowego earla Wrexton.

- Zaraz powinien zjechać - dodała Keelin. - Na pewno ciągle martwi się o Adama.

- Och, prawda, Adam - powiedziała Isolda. - Bardzo cierpi?

- Niestety, tak - szczerze przyznała Keelin. - Lord Marcus wyrwał mu strzałę z pleców. Tkwiła tuż koło kręgosłupa. To ciężka rana.

- Ale wyzdrowieje?

- W Bogu nadzieja. Nie zaszkodzą mu także twoje modły, pani.

Isolda znów nic nie odpowiedziała. Keelin przypatrywała jej się z ciekawością. Tylko tyle obchodził ją los Adama?

- Tutaj jest twoja komnata, lordzie Tiarnanie - oznajmiła kasztelanka. Otworzyła drzwi i weszła do ciemnego pomieszczenia, oświetlanego jedynie przez ogień płonący w kominku. Energicznym krokiem podeszła do okna i odsunęła ciężką kotarę, wpuszczając trochę więcej światła. - Mam nadzieję, że będzie ci tu dobrze - dodała.

- Bez wątplenia, lady Isoldo - odparła Keelin w imieniu stryja. - Dziękujemy. - Podprowadziła Tiarnana do łóżka i pomogła mu się położyć. Doskonale zdawała sobie sprawę, że starzec był mocno zmęczony podróżą do Wrexton. - Odpocznij, stryju. Wkrótce do ciebie zajrzę. Masz jakąś prośbę do mnie, zanim wyjdę?

- Nie, kochana Keely - odpowiedział i ułożył się na boku. - Pozwól mi się tylko trochę przespać, a wkrótce będę świeży jak skowronek.

Keelin nie podzielała jego optymizmu, lecz nic nie mówiąc, po cichu wyszła za Isolda i podążyła do przyległej sypialni.

- Wzywałś nas, milordzie?

Marcus rozpiął pas z mieczem i przewiesił go na poręczy krzesła. W sąsiedniej izbie czekała na niego balia z gorącą wodą. Miał zamiar się wykąpać przed mszą żałobną w intencji zmarłego ojca. Wpierw jednak musiał coś jeszcze załatwić.

Uważnie spojrzął na młodych rycerzy, stojących przed nim w komnacie. Już wiedział, że dokonał słusznego wyboru. Ci dwaj z pewnością spełnią poruczone im zadanie.

Ściągnął tunikę przez głowę i niedbale rzucił ją na łóżko.

- Chcę was obarczyć pewną szczególną misją - powiedział.

- Tak, milordzie?

- Pojedziecie do kraju zwanego Irlandią - ciągnął, zdejmując skórzane ciżmy. - Tam dostaniecie się do miejsca o nazwie Kerry. To coś w rodzaju małego królestwa. Dowiedcie się wszystkiego o Keelin O'Shea, jej stryju i pewnym wojowniku, imieniem Ruairc Mageean.

Obaj rycerze nie okazali żadnego zdziwienia, nawet jeżeli ich zaskoczyło tak niecodzienne polecenie.

- Mamy dochować ścisłej tajemnicy, milordzie? Marcus zawahał się. Nie chciał, żeby wszyscy w Wrexton wiedzieli, co zamierzał, bo rzecz cała szybko rozniosłaby się po Walii. Z drugiej strony, nie dałoby się uniknąć pewnych pytań. Sam nie znał dokładnej drogi do Kerry, a cóż dopiero do Carrauntoohil.

Pokrótce przedstawił młodzieńcom swoje wątpliwości i wydał dalsze instrukcje. Kiedy wyszli, usiadł na łożu i rozebrał się do naga. Ledwie zdążył zanurzyć się po szyję w parującej balii, gdy do komnaty wkroczyła Isolda z dwiema pokojówkami, niosącymi stertę ręczników i czystą zmianę ubrania.

- Nie próbuj mnie stąd wyrzucić, Marcusie - powiedziała, zanim rycerz zdążył wykrztusić choćby jedno słowo. - Potrzebna ci moja pomoc na czas pierwszej żałoby.

- I... Isoldo - wyjąkał Marcus, rozgniewany tym nagłym najściem. Miał ochotę zerwać się na równe nogi i kategorycznie wyrzucić ją za drzwi, lecz nie mógł tego zrobić, bo był zupełnie nagi. Nie przywykł do kąpieli w obecności damy. Zaczerwienił się i to zdenerwowało go jeszcze bardziej.

- Rozmawialiśmy o tym już przedtem. Potrafię... sam się wykąpać.

- Ale...

- Wyjdz - powiedział. Po chwili powtórzył ten rozkaz znacznie bardziej stanowczym tonem, by Isolda nie miała żadnych wątpliwości co do jego intencji.

Kasztelanka stała przez chwilę nieruchomo, przyglądając mu się ze zdziwieniem i wyrzutem. Marcus aż zacisnął zęby z bezsilnej wściekłości. Uprawiała tę grę już od pięciu lat, czyli od chwili, gdy Eldred de Grant uzyskał tytuł earla i wraz z rodziną przeprowadził się do zamku Wrexton. Była uparta, chociaż Marcus wciąż dawał jej do zrozumienia, że nie zamierza wiązać się na stałe z gospodynią - i faworytą - poprzedniego earla.

Jak widać, nic się nie zmieniło.

Isolda wciąż miała nadzieję, że kiedyś zostanie hrabiną Wrexton. Zdarzyło się, że pewnego razu wprost spytała o to Eldreda. Ten zaś uczciwie powtórzył jej pytanie synowi. Marcus był mile połączony jej zainteresowaniem, lecz wtedy nie zamierzał jeszcze brać sobie

żony. Co więcej, odstraszało go pozornie miłe, lecz nacechowane chłodną obojętnością zachowanie Isoldy.

Ona jednak nie ustępowała i już nieraz wprawiała go w zakłopotanie swoimi postępami. Choćby tak jak dzisiaj. Na szczęście Marcus potrafił być stanowczy, nie uciekając się do grubiaństwa.

Wciąż nie rozumiał, dlaczego poprzednik ojca nie wydał Isoldy godnie za mąż, chociaż powinien, bo był przecież jej jedynym krewnym. Powierzył jej jedynie rolę kasztelanki.

Eldred, widząc zachowanie syna, wyszukał jej kilku kandydatów. Isolda odrzuciła wszystkich bez wyjątku. Widać było, że nie zamierza usunąć się z Wrexton.

Marcus westchnął. Był pewien, że po śmierci Eldreda Isolda podwoi umizgi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kaplicę wypełniał dym i woń płonącego kadzidła.

Ciało Eldreda de Granta, jedenastego earla Wrexton, leżało na marach przed zakrystią. Mszę żałobną celebrowali biskup Chester i kapelan Wrexton.

Mimo smutku Keelin z zachwytem spoglądała na kolorowe plamki słonecznego światła, prześwitującego przez witraże. Dzień był pogodny, a barwne błyski stwarzały niemal baśniową atmosferę. Figury świętych jaśniały blaskiem i wydawały się poruszać w świetlistej poświacie. Było w tym coś magicznego. Z góry, z galerii, dochodziły uroczyste śpiewy. Głos chóru błędził pod sklepieniem kaplicy, wracał echem i przenikał aż do najgłębszych zakamarków duszy.

Keelin żałowała, że nie mogła na czas mszy mieć przy sobie Ga Buidhe an Lamhaigh, wiedziała jednak, że w oczach mieszkańców zamku byłoby to co najmniej niestosowne.

Marcus stał tyłem do niej, tuż przed ołtarzem. Prosty jak świeca, barczysty i spokojny. Jasne włosy połyskiwały mu w blasku słońca. Po prawej ręce miał markiza - tego samego, który przywiózł ciało earla na zamek - a po lewej Isoldę Coule.

Tłum wiernych wypełnił kaplicę. Niektórzy płakali, choć ci w pierwszych rzędach zachowywali dostojne milczenie. Wśród płaczących było najwięcej kobiet, prawdopodobnie ze wsi i spośród zamkowej służby, chociaż Keelin zauważyła, że niejeden mężczyzna też ukradkowo ocierał łzę z oka. Ojciec Marcusa najwyraźniej cieszył się miłością poddanych.

Irlandzkie pogrzeby w niczym nie przypominały tej dostojnej ceremonii. Keelin przypomniła sobie, jaką awanturą skończyły się uroczystości po śmierci jej własnego ojca. Musiała uciekać z Tiarnanem, zanim ciało Eocaidha złożono do grobu. Nie miała wyjścia, bo bezbożny Ruairc Mageean chciał natychmiast położyć zachłanną łapę na świętej włóczni, a tym samym uniemożliwić klanowi Ui Sheaghda odzyskanie dawnej świetności.

Na szczęście nie doszło do najgorszego. Keelin i Tiarnan od czterech lat unikali żołdaków Mageeana. Na razie im się to udawało. Teraz Keelin musiała powrócić do Kerry i pokazać swoim rodakom, że włócznia przez ten czas nic nie straciła ze swojej mocy. Niestety, nie było to takie łatwe. Jej wyjazd musiał jeszcze trochę poczekać.

Stan Adama nieco się pogorszył od czasu podróży do Wrexton, Keelin chciała więc nadal pozostać przy chłopcu. Przewidywała, że potrwa to kilka dni, może tydzień. Nie potrafiłaby wyjechać, nie upewniwszy się, że Adam wkrótce wyzdrowieje.

Tiarnan też potrzebował jej ciągłej opieki, choć czuł się już znacznie lepiej niż przed przybyciem Marcusa i jego rycerzy. Keelin codziennie modliła się o jego zdrowie. Chciała, by nie zaznał biedy podczas jej nieobecności.

Odpędziła natrętne myśli o podróży do Kerry i skupiła się na modlitwie. Raz po raz spoglądała w stronę miejsca, w którym spoczywały zwłoki Eldreda de Granta. Mimo woli wciąż wspominała własnego ojca. W pewnej chwili nisko schyliła głowę i zmówiła pacierz za duszę Eocaidha O'Shea. Żałowała, że nie mogła być na jego pogrzebie.

Czas szybko mijał. Od tamtego pamiętnego dnia dzieliły ją już cztery lata. To chyba wystarczająco dużo, żeby smutek przygasł, pomyślała Keelin. A jednak tak się nie stało. Wciąż czuła w piersi przeogromny ciężar i coś ją dławiło w gardle - tak samo jak w tamtej chwili, kiedy na jej oczach Ruairc Mageean zatopił miecz w ciele Eocaidha.

Nie miała czasu na żałobę. Tiarnan spiesznie zwołał radę. Godzinę później wsadził bratanicę na konia i odjechał z nią w stronę wybrzeża. Statek w porcie już czekał. Odpłynęli natychmiast, okrążyli południowe wybrzeże i skierowali się ku wschodowi. Wreszcie wylądowali na angielskim brzegu. Miesiące trwało, zanim Mageean się domyślił, dokąd uciekli.

Keelin zamrugła oczami, otarła łzy i uniosła głowę.

Msza dobiegła końca, lecz biskup wciąż się modlił, a kapelan okrążał katafalk, ostrożnie machając kadzidłem. W powietrzu unosiły się gęste kłęby aromatycznego dymu. Przebrzmiały ostatnie echa uroczystych pieśni.

Kilku zbrojnych z zamkowej gwardii dźwignęło trumnę i zaniosiło ją na tył kaplicy. Za nimi poszli duchowni. Marcus i markiz Kirkham postępowali kilka kroków z tyłu. Keelin była wystarczająco blisko, aby zauważyć, że lady Isolda czułym ruchem ujęła Marcusa pod rękę.

I co z tego? - pomyślała. Nie powinno mnie to obchodzić. Prawie nie znam Marcusa, a w dodatku wkrótce wyjadę z Wrexton, Isolda zaś tu zostanie.

Na mnie, tam w Kerry, czeka narzeczony. Przelotny pocałunek z Marcusem de Grantem w gruncie rzeczy nie miał żadnego znaczenia. Ot, był jedynie chwilowym oderwaniem od nieszczęść tego świata. Nic mnie nie łączy z de Grantem. To tylko gra wyobraźni.

Szli dalej. Keelin opuściła głowę i wbiła wzrok w ziemię, nie mogąc patrzeć, jak młoda kasztelanka paraduje pod rękę z nowym earlem Wrexton.

Było już po północy. Marcus dziękował Bogu, że udało mu się przespać choć kilka godzin, zanim obudził go służący. Po dniach spędzonych w małej chatce bardziej doceniał swobodę, jaką mógł się cieszyć w przestronnej komnacie, i walory miękkiego łóżka.

Ubrał się szybko i pospieszył do izby Adama. Nie miał pojęcia, co się stało. Służący wspomnieli tylko, że przysłała go lady Keelin.

W komnacie było bardzo jasno. Keelin zapaliła dodatkowe świece i stanęła przy łóżku, na którym Adam leżał sztywny i nieprzytomny. Nie miał na sobie opatrunku. Marcus spojrzał na jego ranę i skrzywił się mimo woli.

- Módl się do Boga i wszystkich świętych - cicho powiedziała Keelin. Była wyraźnie zaniepokojona. - Rana uległa zaognieniu. Musisz mi pomóc, milordzie. Spróbuję ją oczyścić.

Miała na sobie tę samą szmaragdową suknię, w której ją widział wcześniej, podczas pogrzebu Eldreda. Luźno rozpuszczone włosy wspaniałą kaskadą spływały jej na ramiona. Marcus zapalał nagłą ochotą, by chwycić ją w objęcia.

Na litość boską! - skarcił się w duchu. Dopiero pochowałeś ojca, młody Adam leży bliski śmierci, a tobie w głowie tylko Keelin O'Shea. Nie wiedział nawet, co się z nią działo po przybyciu do Wrexton. Było mu wstyd, że niemal zupełnie o niej zapomniał, zajęty innymi obowiązkami. Odpoczęła? Chyba niewiele, skoro miała sińce pod oczami. Z niechęcią uświadomił sobie, że w czasie gdy on przez całe popołudnie grał rolę gospodarza, podejmując biskupa, tocząc dyskusje z rządcą i składając wizytę w ptaszarni, ona zajęła się jego kuzynem, jakby należał do jej rodziny.

Przez cały dzień była całkiem sama, lecz wcale się nie skarżyła. Widział ją podczas mszy i pogrzebu, a potem gdzieś mu zniknęła. Umiała o sobie zadbać. Nigdy dotąd nie spotkał podobnej dziewczyny.

- Milordzie? - powiedziała półgłosem. - Może powinnam wezwać kogoś?

- Nie, nie - odparł szybko i spojrzał na Adama. - Co mam robić?

- Stań tuż przy jego głowie - poprosiła. - Przytrzymaj go łagodnie i przez cały czas do niego przemawiaj. To, co muszę teraz uczynić, nie będzie dlań zbyt przyjemne.

Marcus potarł twarz dłońmi, a potem klęknął przy wezglowiu szerokiego łoża.

- Adamie - szepnął. Chłopiec nic mu nie odpowiedział, pytając więc popatrzył na Keelin.

- Dałam mu środek na złagodzenie bólu - wyjaśniła. - Będzie trochę oszołomiony, ale na pewno cię usłyszy, panie.

Marcus pokiwał głową na znak, że zrozumiał.

- Adamie... - powtórzył głośniejszym głosem i dotknął głowy chłopca. - Jest cały rozpalony!

- Wiem. Rana zaczęła się jątrzyć. Trzeba czym prędzej ją osuszyć, wyczyścić i założyć nowy opatrunek.

Jej zachowanie wskazywało na to, że wie, co powinna zrobić. Marcus łagodnym głosem przemawiał do Adama, Keelin zaś uwijała się przy czyszczeniu rany. Chłopiec jęczał i szarpał się trochę, lecz nie był całkowicie przytomny.

Mimo to Marcus trzymał go za głowę i ramiona. Mówiąc doń, naśladował zachowanie Keelin, podpatrzone w leśnej chacie.

Dziewczyna posmarowała ranę jakąś zielonkawą maścią.

- Co z nim? - spytała.

- Chyba zemdlał - odparł Marcus.

- To nawet lepiej. Musiało go bardzo boleć. - Umyła ręce i owinęła tułów chłopca czystym lnianym bandażem. Szło jej to z niemałym trudem. - Mógłbyś go unieść nieco wyżej, milordzie?

Marcus przeszedł na drugą stronę łoża, wsunął ręce pod plecy Adama i przejął od Keelin koniec bandaża. Przypadkowo dotknął jej dłoni i drgnął, jakby się oparzył.

Uniósł głowę, spojrzał jej prosto w oczy, lecz nic z nich nie umiał wyczytać. Keelin z niezmałym spokojem bandażowała chłopca.

Marcus wciąż nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak silnie reaguje na bliskość Keelin. Czy rzuciła na niego urok? Pewnie tak, bo jak inaczej wytłumaczyć jego zachowanie?

Keelin skończyła opatrywać Adama, po czym zamoczyła w wodzie kawałek czystego płótna. Umyła nogi chłopca, a potem zajęła się rękami.

- Co jeszcze mogę zrobić? - spytał Marcus.

- Już nic, milordzie - odpowiedziała. - Chciałabym tylko, abyś tę noc spędził gdzieś w pobliżu, w razie gdyby Adam przypadkiem się obudził i zaczął cię przyzywać. Zauważyłam, że jest dużo spokojniejszy w twojej obecności.

- Pozwól, że go umyję - poprosił Marcus. - Już od dawna powinnaś leżeć w łóżku... eee... - zająknął się i poczerwieniał. - Na pewno jesteś zmęczona.

Stał tak blisko, że widziała zielonkawe błyski w jego niebieskich oczach i złote plamki na rzęsach.

- To prawda - odparła przez ściśnięte gardło. - Jestem zmęczona, ale wolałabym zostać tutaj, przy Adamie.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczny za ciągłą opiekę, którą otaczasz mojego kuzyna, pani - dwornie powiedział Marcus. Ze zdumieniem słuchał swoich własnych słów. Sztywność tej wypowiedzi wprawiała go w zakłopotanie. Poczł się niezręcznie. Czyżby obawiał się być szczery? Keelin pomyślała pewnie, że dziękował jej jedynie z kurtuazji.

- To dzielny chłopiec - odrzekła z rozbrajającą prostotą. - Nie chcę, by stało mu się coś złego. A poza tym, ucierpiał od moich ziomków.

- Lady Keelin - przerwał jej Marcus - powinnaś wiedzieć, że nie winię cię za ranę Adama ani za śmierć mojego ojca.

Keelin szybko odwróciła głowę. Skąd to zapewnienie? Przecież na dobrą sprawę to za nią ściągnęli siepacze Mageeana. Gdyby nie przybyła z Irlandii do Anglii...

Marcus po prostu starał się być uprzejmy.

Wyjął moką szmatkę z jej dłoni i delikatnie przetarł dłonie i przedramiona śpiącego Adama. Chłopiec nawet się nie poruszył. Keelin zgasła część świec palących się w komnacie. Potem usiadła przy kominku i podkuliła nogi pod siebie.

Wyglądała na bardzo zmęczoną. Marcus miał ochotę zamknąć ją w ramionach i utulić do snu. Nie zrobił tego jednak. Całą swą uwagę poświęcał Adamowi.

- Masz bardzo delikatne ręce, milordzie. - Głos dziewczyny przerwał jego rozmyślenia.

Nagły dreszcz przebiegł po plecach Marcusa.

- Hm - mruknął.

Keelin usadowiła się wygodniej. Chyba zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, co teraz działo się z Marcusem.

- Czy to nie dziwne, że ktoś tak silny, postawny i władczy jednocześnie ma w sobie tyle cierpliwości, by zajmować się rannym? - powiedziała, jakby bardziej do siebie niż do niego.

Marcus chrząknął. Te słowa sprawiły mu przyjemność. Wyczuwał w nich podziw.

- Na polu bitwy często miałem do czynienia z rannymi - rzekł.

- Na polu bitwy? - powtórzyła Keelin. Pokiwał głową.

- Byłem z królem Henrykiem we Francji.

- Król Henryk zmarł sześć lat temu - zauważyła. - Musiałeś zatem być bardzo młody, panie.

- Kiedy umarł, skończyłem właśnie dwudziesty rok życia.

- Jak to jest: walczyć w obcym kraju, wśród wrogich ludzi, i narażać się na niechybną śmierć za sprawę, która w gruncie rzeczy nie ma żadnego znaczenia? - zapytała Keelin.

Marcus często o tym myślał, zakuty w ciężką i rozgrzaną zbroję i jedząc nieświeżą strawę.

- To nie było zbyt przyjemne - przyznał. - Sama też powinnaś o tym coś wiedzieć. Jesteś w Anglii i ryzykujesz życie.

- Ale nie biorę udziału w bitwie! - zaprotestowała. - Nie rozbrzmiewa wokół kwik koni ani zgrzyt mieczy.

- Skąd wiesz, że wkrótce tego nie usłyszysz? - spytał, lecz zaraz pożałował tego, co powiedział, bo spostrzegł, że posmutniała. Za późno ugryzł się w język. - Odpocznij, pani - dodał szybko. - W zamku Wrexton jesteś zupełnie bezpieczna.

Wzdrygnęła się mimo woli. Zapewne była zbyt dumna, żeby bez protestów korzystać z czyjejś opieki. Nie przywykła do zależności.

Prawdę mówiąc, Marcus nie był pewny, czy potrzebowała obrońcy.

Nie zamierzał jednak się wycofać, tym bardziej że jej obecność we Wrexton mogła zwabić Celtów.

- Skąd znasz sztukę leczenia? - spytał, po części po to, by zmienić temat rozmowy. Nie lubił mówić o sobie.

- Wiele nauczył mnie stryj Tiarnan - odparła. - To starszy brat mojego ojca i w zasadzie powinien zostać przywódcą klanu po śmierci dziadka, ale urodził się kulawy.

- Nigdy zatem nie poprowadził waszych ludzi do boju.

Keelin pokręciła głową.

- Nie, ale należał do najbardziej zaufanych doradców mojego ojca. Po śmierci matki wziął mnie pod swoje skrzydła. Nauczył mnie praktycznie wszystkiego, co teraz umiem.

- Zatem jest uzdrowicielem.

- Tak - potwierdziła Keelin - a ja tylko jego uczennicą.

Przez kilka chwil panowała cisza. Marcus dotknął głowy Adama.

- Gorączka chyba odrobinę spadła - oznajmił.

Keelin podeszła do łoża. Jedną dłoń położyła na ręku Adama, a drugą na jego czole.

- Masz rację, milordzie - przyznała i uśmiechnęła się z ulgą.

Marcus patrzył na Keelin, lecz nie słyszał nic z tego, co powiedziała. Jak urzeczony wpatrywał się w jej usta i białe zęby, błyszczące w uśmiechu. Nagle zapragnął znów ją pocałować.

Keelin stała tuż przy nim - tak blisko, że czuł pachnącą miętą woń jej oddechu i ciepło bijące od rozgrzanego ciała. Pochylił głowę i zobaczył, że przymknęła oczy, jakby na coś czekała.

Co się, do licha, ze mną dzieje?! - przywołał się do porządku. Nie drżał jak zwykle, nie jękał się, nie miał spoconych dłoni. Wręcz przeciwnie, rozmawiał zupełnie spokojnie. Rozmawiał z piękną kobietą.

To czary. Klątwa. Urok rzucony przez wiedźmę. Nic innego.

Keelin zaczerwieniła się i odstała o pół kroku.

- Chyba naprawdę się już położę, milordzie - powiedziała cicho. - Przyślij po mnie, gdyby Adam przypadkiem poczuł się gorzej. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby go uratować.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Keelin spała głęboko, a po przebudzeniu czuła się wypoczęta jak jeszcze nigdy przedtem. No, może kiedyś jej się to przytrafiło. Tak bezpieczna czuła się tylko we wczesnych latach beztroskiego dzieciństwa, zanim Mageeanowie skąpali we krwi jej ziemię. Była niezmiernie wdzięczna Marcusowi, że zabrał ją na zamek Wrexton.

Ale niestety, sprowadził na nią także troski - tęsknotę i niepokój.

Wiedziała, że ubiegłej nocy zamierzał ją pocałować i w ostatniej chwili zrezygnował. Już czuła powiew jego oddechu na swoich ustach, wdychała męski zapach i dzieliła z nim pożądanie.

Tymczasem on jej umknął.

Keelin przewróciła się na drugi bok. Marcus de Grant miał powody, żeby jej unikać. Po pierwsze, był teraz earlem Wrexton, bardzo wpływowym i zamożnym człowiekiem. Wręcz potężnym. Pewnie wkrótce zacznie rozglądać się za żoną, która mogłaby z nim dzielić ciężar władzy i zapewniła stosowne sojusze. Nie zamierzał wdawać się w pokątny romans z ubogą Irlandką.

Po drugie, ta Irlandką ponosiła winę za śmierć Eldreda de Granta. Co prawda, Marcus temu zaprzeczał, lecz nie dało się zmienić faktów. Zawsze będzie łączył jej obecność w Anglii ze stratą ojca. Była o tym przekonana. Inni zapewne też mieli takie zdanie.

Po trzecie: dar widzenia. Nawet ludzie z jej własnego klanu, którzy znali ją od dzieciństwa, spoglądali na nią podejrzliwie. Jeśli nawet nie oskarżali jej o konszachty z diabłem, to i tak byli przekonani, że na jej rodzinie ciąży pradawna klątwa, rzucona przez Tuatha De Danaan - przodków małych ludzi.

A skoro oni tak myśleli, to dlaczego Marcus de Grant miałby uważać inaczej?

Był wczesny ranek. Ptaki śpiewały za oknami, lecz zamiast jasnych promieni słonecznych, w wykuszu widniał jedynie fragment szarego i zimnego nieba. Znów będzie padać, pomyślała Keelin. Szkoda, bo chciała choć na chwilę oderwać się od swoich zmartwień.

Cóż robić. Gotowa na spotkanie dnia, wyskoczyła spod ciepłego wełnianego koca i stanęła na chłodnej posadzce. Umyła się i ubrała, a potem poszła do Tiarnana.

Jedna z kucharek przyszła popilnować Adama. Chłopiec spał spokojnie, Marcus skorzystał więc z okazji i po cichu wyszedł z komnaty, żeby trochę rozprostować nogi. Nie spacerował jednak po

dziecińcu, ale nie wiedzieć czemu kręcił się koło schodów wiodących do wielkiej sali.

Nie musiał czekać zbyt długo. Po chwili na ciemnej galerii pojawiła się wiotka postać pięknej Keelin O'Shea.

Dziewczyna zamknęła za sobą drzwi i przeszła do drugiej komnaty - prawdopodobnie udała się do stryja.

Marcus nie zamierzał z nią rozmawiać. Prawdę mówiąc, to nie bardzo wiedział, co mógłby jej powiedzieć. Na razie wystarczyło mu, że ją zobaczył. Zeszłej nocy rozmowa potoczyła się w zasadzie gładko, tak samo jak kilka dni wcześniej, w chacie, też przy łożu rannego Adama.

Spoglądał za nią, dopóki nie zniknęła, wrócił do Ada - ma i wydał kucharce ścisłe polecenia, jak ma się opiekować chłopcem. Potem wybrał się do ptaszarni. Wiedział, że o tej porze sokolnik Gerald poszedł na śniadanie i że nikt mu nie będzie przeszkadzał.

Pchnął grube drzwi, zapalił lampę i podszedł do największej żerdzi, na której siedziały jego dwie ulubione sokolice.

- Dzień dobry paniom - przywitał je łaskawie. - Witaj, Guinevere. Obgryzłaś już sobie szpony? A ty, Cleo? Pewnie się rozleniwiłaś pod moją nieobecność?

Pogłaskał ptaki i przemawiając do nich, starannie przejrzał ich upierzenie. Sprawdził też łapy. Nie znalazł nic, co mogłoby go zaniepokoić. Gerald utrzymywał całą ptaszarnię we wzorowym porządku. Był jednym z najlepszych sokolników w Anglii i Marcus cenił jego wiedzę.

Przeszedł obok jastrzębi, krogulców i błotniaków, a potem zajrzał do dwóch niedawno schwytanych piskląt. To były drzemliki. Wśród miłośników polowań z sokołami osiągały niemałą cenę.

- Piękna z was para - powiedział Marcus. Wiedział, że znajdzie na nie kupca, jak tylko zostaną trochę odchowane i przyuczone do podniebnych łowów.

Wolałby jednak je zostawić. Nagle zdał sobie sprawę, że teraz, jako earl Wrexton, będzie miał o wiele mniej czasu na trening z ptakami. Czekają nań zupełnie inne, poważne obowiązki. Co więcej, musiał przygotować doborową drużynę zbrojnych i rycerzy do spodziewanej potyczki z Celtami.

Nie miał pojęcia, ile potrwa, zanim najemnicy odkryją nowe miejsce pobytu Keelin O'Shea i jej stryja. Jeśli będziemy mieli

szczęście, to zajmie im to całą zimę, pomyślał Marcus. Musimy jednak być gotowi, gdyby zjawili się tu wcześniej.

Adam znów gorączkował. Pocił się, rzucał na łożku, jęczał i mamrotał coś niezrozumiale.

Na szczęście Tiarnan doszedł już do siebie po podróży i nie wymagał ciągłej opieki. Keelin mogła więc całą uwagę poświęcić Adamowi.

Najpierw posłała po lady Isoldę, prosząc ją o pomoc. Służba przyniosła jej odpowiedź, że pani jest czymś zajęta. Marcus od rana poszedł na plac ćwiczeń. Poza nimi nie znała nikogo w całym zamku, musiała więc poradzić sobie inaczej.

Popatrzyła na kucharkę, wciąż tkwiącą przy łożku rannego, i uśmiechnęła się smutno.

- Wygląda na to, że zostałyśmy tylko we dwie, droga Kate - powiedziała. - Spróbuj go przytrzymać, kiedy będę przemywała ranę.

Kate musiała zebrać całą siłę, żeby unieruchomić Adama. Na szczęście w połowie zabiegu zemdlął i potem poszło im już dużo łatwiej. Keelin przemyła ranę i założyła nowy opatrunek. Z pomocą Kate umyła chłopca i okryła go czystą pościelą.

- Zostań z nim - powiedziała, gdy skończyła. - Zniosę pranie na dół.

- Och, nie, milady! - zaprotestowała Kate. - Dama nie powinna nosić brudnej bielizny do pralni. - Ja to zrobię.

Keelin nie zwracała na nią najmniejszej uwagi. Zebrała koce i prześcieradła w zgrabne zawiniątko.

- Posiedź tu - zakomenderowała. - I tak muszę sama zejść do kuchni i porozmawiać z głównym kucharzem, żeby mu przygotował coś odpowiedniego do jedzenia. Wracając, zajrzę do stryja. To nie potrwa długo.

Po tych słowach wyszła z komnaty i skierowała się w stronę schodów. Zapytała przechodzącego służącego, jak ma trafić do pralni. Rześkim krokiem udała się do drzwi po przeciwnej stronie wielkiej sali.

- Lady Keelin! - zawołała Isolda, siedząca w fotelu przy kominku. - Nie wiem, jakie zwyczaje panują w Irlandii - powiedziała nadąsanym tonem - ale tu, w zamku Wrexton, mamy służbę do wszelakich posług.

- Och, nie szkodzi. Mam pewną sprawę do kucharza, a skoro już szłam w tę stronę...

- Bzdury! - stanowczym tonem sprzeciwiła się Isolda. - Hej, ty tam! Bill! Chodź tu natychmiast i zabierz mi te... te... - Zmarszczyła nos, gdy zobaczyła krew na pościeli i inne nieczystości. - Pomóż lady Keelin.

Młody służący rzucił się niemal biegiem, by spełnić jej rozkazy.

- Dziękuję, Bill - powiedziała Keelin, kiedy zabrał jej brzemię. Potem odwróciła się znów do Isoldy. - Jak mogę trafić do kuchni? - zapytała.

Kasztelanka obrzuciła ją niechętnym spojrzeniem i od niechcenia wskazała duże dębowe drzwi po lewej stronie.

- To tam - mruknęła.

Keelin w podzięcie skinęła głową i odeszła, zdumiona zachowaniem młodej gospodyni. Zeszłego wieczoru lady Isolda nie była tak nieprzyjemna. A może czymś ją uraziłam? - zastanawiała się Keelin. Przecież tylko chciałam zanieść pościel do prania.

W kuchni trwała krzątanina. Żaden z mieszkańców zamku - a było ich doprawdy wielu - nie mógł i nie powinien chodzić głodny. Keelin nie chciała przeszkadzać kucharzowi, ale nie miała innego wyjścia.

- Dzień dobry - powiedziała grzecznie.

- Dzień dobry, milady - odparł kucharz. Zachowywał się z szacunkiem, ale bez zbytniej uniżoności. - Czym mogę służyć?

- Chodzi o to...

Wyjaśnienia zajęły nieco czasu, lecz w końcu Keelin otrzymała wszystko, co jej było potrzebne dla Adama i Tiarnana. Wychodząc z kuchni, zabrała ze sobą świeże prześcieradła, tacę ze śniadaniem dla stryja i kleik przyrządzony specjalnie dla Adama.

W dodatku zdobyła serce i uznanie kucharza z Wrexton.

- Zaraz każę któremuś z chłopców, żeby zaniósł.

- Nie, nie! - zaprotestowała Keelin, idąc w stronę wyjścia. - Tak będzie szybciej. Poza tym, każdy z nich ma przecież co robić.

Kucharz podrapał się po głowie i odprowadził ją zdumionym wzrokiem. Jeszcze dotychczas mu się nie zdarzyło, żeby ktoś chciał wyręczać służbę. Ta lady Keelin to wyjątkowe dziewczę, pomyślał.

Marcus, w towarzystwie sir Williama i sir Roberta, wszedł do wielkiej sali w tej samej chwili, w której Keelin wycofywała się z

kuchni. Uśmiechnęła się do młodego Billa, który przytrzymał jej otwarte drzwi, ale nie chciała skorzystać z jego pomocy.

Isolda stała przy kominku, groźnie patrząc na służącą, która zamiatała sadzę i popiół. Żadna z nich nawet nie spojrzała w stronę Keelin, chociaż Marcus nie wyobrażał sobie, by można było jej nie zauważyć. Keelin zaśmiała się głośno - jej perlisty śmiech zdawał się wypełniać cały zamek.

Marcus nigdy dotąd nie słyszał jej śmiechu, stał więc oczarowany. Ten dźwięczny śmiech przynosił ulgę jego strapionemu sercu. Nagle Keelin się potknęła. Taca z brzękiem upadła na podłogę, a tuż za nią Keelin. Marcus natychmiast podbiegł, by pomóc, a Isolda krzyknęła ostro na służącą, która nieopatrznie zostawiła miotłę na drodze lady Keelin.

Marcus nie słuchał słów kasztelanki. Pomógł Irlandce podnieść się na nogi i zapytał z niepokojem:

- Nic ci nie jest?

Wciąż była trochę przestraszona nagłym upadkiem, lecz dzielnie pokręciła głową.

- Co za bałagan! - Załamała rękę. - Wybacz mi, że narobiłam tyle zamieszania, lordzie Marcusie. Zwykle uważam.

- Nic się nie stało - powiedział i dał znak służącym, żeby zaraz wzięli się do sprzątania. Spojrzał na Billa.

- Pędź do kuchni i poproś kucharza, żeby przygotował nowe śniadanie.

Podprowadził Keelin do fotela i nakłonił ją, żeby usiadła.

- Ależ ze mną wszystko w porządku, milordzie - zapewniła go stanowczo. - Muszę szybko wracać do Adama. Znow gorączkuje, bo rana nadal się jątrzy.

Marcus przypatrywał jej się z niekłamaną troską. Rzucił okiem na schody w odległym końcu sali, a potem znow spojrzał na dziewczynę.

- Jeśli jesteś zupełnie pewna...

- Głupia dziewczka! - syknęła lady Isolda, przepędziwszy służącą do kuchni. Podeszła do Keelin. - Pokaż mi swoje dłonie, pani.

Keelin uniosła rękę. Isolda starannie obejrzała jej dłonie i pokręciła nosem, widząc niewielkie zadrapania. Potem wspomniała coś jeszcze o kolanach. Keelin gwałtownie wstała z fotela.

- Jestem ci bardzo wdzięczna za troskę, lady Isoldo - powiedziała - ale naprawdę nic mi nie jest. Nie kłopotz się mną. - Po tych słowach odeszła, zanim Isolda zdążyła coś odpowiedzieć.

Marcus pospieszył za nią.

- Adam śpi? - spytał. Keelin wołała, żeby teraz zostawił ją samą i pozwolił zapomnieć o zakłopotaniu.

- Tak, milordzie - odparła, nie zwracając uwagi na Isoldę, która wzięła się pod boki i patrzyła na nią nachmurzonym wzrokiem. - Spał jeszcze chwilę temu, kiedy byłam u niego, ale wciąż się rzucał z bólu i gorączki.

Marcus wziął ją pod rękę i razem weszli na schody. Keelin uparcie patrzyła pod nogi. Szła ostrożnie, żeby przypadkiem znów się nie przewrócić i ponownie nie zrobić z siebie widowiska.

Nie rozumiała, jak to się stało, że na podłodze nie zauważyła miotły. Chwilę przedtem mogłaby przysiąc, że nic tam nie leżało.

- Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, aby wyzdrowiał - powiedziała, mając na myśli Adama. - Zastosowałam najlepsze znane mi zioła, lecz to jeszcze nie pomogło.

Dotarli na galerię. Marcus puścił jej rękę. Razem weszli do pokoju Adama.

- Och, milady! - Kate zerwała się ze stołka. - Nie poruszył się ani odrobinę, ale ciągle jest rozpalony!

Keelin przesunęła dłonią po czole chłopca i z niepokojem zmarszczyła brwi. Szybko naląła wody do miski i wręczyła ją Marcusowi.

- Możesz mu zmienić okład, panie? - zapytała. Potem sięgnęła do swojej sakwy po woreczki z ziołami. Wsypała do kubka jakiś szary proszek, zmieszała go z wodą i podeszła do rannego chłopca.

- Słyszysz mnie, Adamie? Cichy jęk był jedyną odpowiedzią.

- Wypij to - poleciła Keelin. Łyżeczką sączyła mu do ust miksturę. Kiedy przełknął, westchnęła z ulgą, że zdołał zażyć lekarstwo. Miała nadzieję, że to pomoże mu zwalczyć wysoką temperaturę.

Po godzinie musiała uznać, że przegrała. Adam wciąż gorączkował. Musiała szybko znaleźć jakieś wyjście, bo chłopiec był na granicy śmierci.

- Muszę porozmawiać ze stryjem - oznajmiła. - Potrzebna mi jego pomoc.

Marcus zauważył ton rozpaczony w jej głosie. Z trudem zmusił się do spokoju.

- Czy mam wezwać księdza, milordzie? - zapytała Kate.

W lot zrozumiał, że chodziło jej o ostatnie namaszczenie.

- Nie! - ze złością krzyknął na dziewczynę. - Idź, weź ze dwóch służących i pomóżcie tu przyjść lordowi Tiarnanowi! Natychmiast!

- Tak jest, milordzie - ze strachem odpowiedziała Kate, przerażona nagłym wybuchem earla. Takim go jeszcze nie widziała.

- Ksiądz też tu nie zaszkodzi - cicho szepnęła Keelin, ujmując silną dłoń Marcusa w swoje smukłe i delikatne palce.

Choć starała się mówić spokojnie, zauważył łzy w jej oczach. Sytuacja naprawdę musiała być poważna.

Kate cierpliwie czekała na znak Marcusa. Kiedy skinął głową, w te pędy zniknęła za drzwiami. Marcus przez chwilę patrzył za nią w milczeniu. Od dnia napadu nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że Adam mógłby umrzeć. Teraz nie miał wyboru; musiał spojrzeć w oczy nawet najgorszej prawdzie.

To był długi, męczący dzień. Adam znów zasnął, gorączka mu nieco spadła, ranę zaś miał zawiniętą nowym opatrunkiem. Tiarnan zarządził drastyczną kurację. Marcusowi i Keelin nie pozostawało nic innego, jak tylko spełniać jego polecenia. Keelin zdawała sobie sprawę, że życie chłopca spoczywało praktycznie tylko w rękach ślepego starca.

Miała ochotę uciec z komnaty, w której śmierć czaiła się niemal w każdym kącie. Przytłaczała ją atmosfera tego miejsca, gęstniejąca z każdą kolejną godziną. Przeczynała, że stanie się coś złego. Nie miała wyraźnej wizji, jednak wiedziała, że zapowiedź wspomnianych nieszczęść nie dotyczy bezpośrednio Adama.

Brakowało jej pomocy włóczni. Och, gdybym tylko mogła przekraść się do wozowni, wyjąć Ga Buidhe an Lamhaigh ze schowka i choć przez chwilę potrzymać ją w rękach! - biadoliła w duchu. Wystarczyłby zaledwie moment, by przywołać „wewnętrzne oko”. Lecz co potem? Zamęt w głowie, brak sił, wyczerpanie. Nie mogła sobie na to pozwolić. Teraz była potrzebna Adamowi.

Musiała czekać. Oboje, wraz z Tiarnanem, byli bezpieczni za grubymi murami zamku Wrexton. Żaden Mageean nie przedarłby się żywy przez kordon straży. Żaden nie przemknąłby się niezauważony. A gdyby nawet cała ich banda stanęła pod bramami, Marcus de Grant

miał pod swoją komendą zastęp bitnych rycerzy. Strzałą odplaciłby za każdą strzałę, żelazem za żelazo.

Adam też znalazł się pod dobrą opieką. Tiarnan wygodnie zasiadł w głębokim fotelu przy łóżku chłopca. Kate krzątała się przy palenisku, pilnując, żeby ogień nie zgasł, lecz czujnie spoglądała w kierunku Marcusa, na wypadek gdyby ten od niej czegoś potrzebował.

Kate, wychodząc z jakimś poleceniem, za każdym razem wtajemniczała służbę w to, co działo się z Adamem. Mieszkańcy zamku, służba, zbrojni zgromadzili się w korytarzach i na schodach. Wszyscy ją pytali o zdrowie chłopca, którego już od dawna zdążyli poznać i polubić.

Keelin także nie uniknęła nagabywań. Kucharz zagadnął ją, kiedy tylko przekroczyła próg. Kuchcikowie kręcili głowami, cmokali i wychwalali ją pod niebiosa. Zarzekali się, że to wielkie szczęście, iż panicz Adam trafił pod opiekę tak doświadczonej zielarki i uzdrowicielki.

Dziewczyna była szczerze speszona ich życzliwością. Prócz tego ogarnęły ją pewne obawy. Owszem, dużo zrobiła dla Adama, ale ciągle nie była pewna, czy chłopiec wydobrzeje. A jeśli umrze, co wtedy?

Ciaśniej otuliła się grubym płaszczem i wymknęła się na dziedziniec. Postanowiła zajrzeć do ogrodu. Potrzebowała kilku chwil wytchnienia w samotności. Chciała spokojnie zebrać myśli i zastanowić się, co dalej.

Mimo okazywanej jej powszechnie życzliwości nie zamierzała na dłużej wiązać się z ludźmi z Wrexton. Woląa raczej zachować obojętność, by nie cierpieć w momencie rozstania. Gdyby naprawdę się z nimi zżyła, ciężko byłoby jej wyruszyć do Irlandii.

Wbrew sobie, coraz rzadziej myślała o domu. Nie tęskniła też za narzeczonym, którego przecież nie znała. Nie wytrzymał porównania z Marcusem de Grantem. Ten przynajmniej był człowiekiem z krwi i kości. Rozumiał jej rozterkę, potrzeby i smutki. Kiedy pomagał jej w opiece nad Adamem, miała wrażenie, że znają się całe wieki.

- Lady Keelin?

Odwróciła się gwałtownie na dźwięk znajomego głosu. Zaczerwieniła się po same uszy, przekonana, że Marcus odgadł jej najtajniejsze myśli.

- Milordzie?

- Ja... - Marcus w tej samej chwili stracił pewność siebie. Założył ręce do tyłu i zakołysał się na piętach. - Ja... hm... byłem przekonany, że może coś się stało. Tak nagle wyszłaś z komnaty Adama.

- Nie, milordzie - odpowiedziała. - Wszystko w porządku, o ile to możliwe. Cóż, chciałam odetchnąć świeżym powietrzem.

Marcus podszedł odrobinę bliżej.

- Mroźno dzisiaj - zauważył i bacznie popatrzył w niebo. - Spadnie śnieg.

- Lecz jeszcze nie tej nocy.

- Ludzie są przekonani, że zanoszą się na wyjątkowo ciężką zimę. Keelin skinęła głową. Sama też potrafiła rozpoznać te oznaki.

- Chyba nie zamierzasz o tej porze roku wyruszać do Irlandii? - zagadnął po chwili wahania.

- No, cóż, milordzie - zaczęła niepewnie. - Rzeczywiście, takie miałam plany. Jak tylko Adam wydobrzeje...

- A twój stryj? - zapytał Marcus. Opiekuńczym ruchem poprawił jej płaszcz na ramionach. Wprost uwielbiała jego silne, lecz zarazem delikatne dłonie.

- Chciałam go zostawić - odparła coraz bardziej onieśmiewiona jego bliskością. - Z tobą, milordzie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Marcus ani na chwilę nie oderwał od niej wzroku ani nie zdjął rąk z jej ramion. Keelin pochyliła się, jakby przyciągnięta niewidzialną siłą. Bardziej niż kiedykolwiek chciała poczuć jego dotyk.

- To niedobra pora na daleką podróż - wyszeptał.

- Wiem, milordzie. Jestem tego samego zdania, ale...

Nie dokończyła, bo zamknął jej usta pocałunkiem. Mimowolnie wysunęła ręce spod płaszcza i ciasno objęła go w pasie.

Marcus pogładził ją po szyi, przesunął dłoń nieco niżej i przelotnie dotknął jej piersi. Keelin jak przez mgłę uświadomiła sobie, że stoi oparta plecami o pień rozłożystego drzewa. Marcus napierał na nią całym ciałem. Wyraźnie wyczuwała jego twarde mięśnie, napinające się przy każdym ruchu.

Przywarła do niego instynktownie. Nie umiała myśleć o niczym, jak tylko o tym, żeby ta chwila trwała jak najdłużej.

Marcus tymczasem musnął ustami jej ucho, pochylił głowę i delikatnie pocałował ją w szyję.

Keelin przygryzła wargi, żeby nie krzyknąć z rozkoszy. Intuicja podpowiadała jej, co powinna zrobić, żeby dać chociaż odrobinę szczęścia tulącemu się do niej rycerzowi. Położyła mu ręce na pośladkach i lekko zacisnęła palce.

Jęknął z zadowolenia. Niemal w tym samym momencie gdzieś za jego plecami rozległ się stłumiony okrzyk. Przestraszona Keelin szybko opuściła ręce, a Marcus spojrział przez ramię, żeby zobaczyć, kto za nim stoi.

Kobieta, która patrzyła na nich zza pleców Marcusa, była już w średnim wieku. Co prawda, włosy ukryła pod ciasno opiętym czepkiem, ale zdradzały ją zmarszczki wokół oczu. Przypatrywała im się z wyraźną wrogością, miała jednak choć tyle taktu, by po chwili odwrócić głowę. Coś powiedziała pogardliwym tonem i odeszła.

Keelin z zakłopotaniem wygładziła zgniecioną suknię. Marcus, tak jak poprzednio, poprawił jej płaszcz na ramionach i posłał zagadkowe spojrzenie.

Nic nie powiedział, lecz Keelin wyczuła, że targały nim sprzeczne emocje. Czymś się martwił, choć nie umiała dociec przyczyny. Wiedziała tylko, że nie o nią chodzi. Raczej o tamtą kobietę.

Nagle popatrzył na nią łagodniejszym wzrokiem. Pogłaskał ją po głowie i pieszczotliwie musnął palcami policzek, po czym ujął jej dłoń i poprowadził ogrodową ścieżką w stronę głównej wieży.

- Kim jest ta kobieta? - zapytała Keelin, kiedy znaleźli się przed tylnymi drzwiami, wiodącymi z ogrodu do kuchni.

- To Beatrice. Pokojówka Isoldy Coule. Pokojówka i powiernica.

- Nic nie rozumiem - westchnęła Keelin. - Isolda nie jest twoją krewną?

- Nie. To daleka kuzynka earla, który władał zamkiem jeszcze przed moim ojcem - odparł Marcus. - Przyjechała do Wrexton przed laty i przywiozła ze sobą Beatrice. Pozostały już tu na zawsze.

- Twój ojciec był doprawdy dobrym człowiekiem, Marcusie - cicho powiedziała Keelin - że pozwolił im tu nadal mieszkać.

Młody rycerz nie rzekł ani słowa, lecz spostrzegła po jego minie, że całkowicie zgadzał się z jej zdaniem. Eldred de Grant był dobrym człowiekiem. Może czasami aż za dobrym, pomyślał Marcus. Niepotrzebnie przyjął pod swój dach obcą, zubożałą szlachciankę. Sam chyba bym się nie zdobył na coś takiego, uznał. Dlaczego ojciec nie wydał jej za któregoś z naszych lenników? Na dobrą sprawę powinienem ją usunąć z Wrexton. Już ja dopilnuję, by dobrze wyszła za mąż.

- Marcusie? - odezwała się nagle Keelin. Położyła mu rękę na ramieniu. - Czujesz dym?

Przez chwilę stał jak słup soli. Potem gwałtownie poderwał głowę, głęboko wciągnął powietrze w płuca i rzucił tylko dwa słowa:

- Stajnie płoną!

Keelin tuż za nim przebiegła przez szeroką bramę wiodącą do dolnego zamku. Działziniec był zasnuty dymem. Szare kłęby snuły się tuż nad ziemią, rozwiewane leniwymi podmuchami wiatru. Ludzie biegli z wiadrami, polewając wodą stóg siana, płonący za stajniami. Keelin, niewiele myśląc, chwyciła porzucony kubeł i stanęła w kolejce do studni.

- Milordzie! - krzyknął na widok Marcusa starszy wiekiem masztalerz o nazwisku Boswell. - Zdołaliśmy już wyprowadzić twojego rumaka i wszystkie brzemienne klacze. Chłopcy udali się po resztę koni.

Marcus kazał polewać wodą ściany pobliskich budynków, by nie zajęły się ogniem od stogu. Lecz w tym momencie było już za późno.

Słomiany dach stajni stanął w płomieniach jak wiecheć. Pożar rozprzestrzenił się na wszystkie strony.

Masztalerz z pomocą kilku stajennych odprowadzał konie w bezpieczniejsze miejsce. Keelin słyszała przeraźliwe rzenie wystraszonych zwierząt. Zostawiła wiadro i pobiegła na pomoc.

Boswell był zajęty, nie chciała więc mu przeszkadzać. Sama wbiegła do zasnutej dymem stajni. Kołnierzem płaszcza zasłoniła nos i usta, dopadła najdalszej zagrody i szeroko otworzyła drzwi. Spokojnie przemawiając do przerażonego konia, zarzuciła mu na łeb kantar i wyprowadziła go na zewnątrz.

Na dziedzińcu panowało okropne zamieszanie. Rozwrzeszczani ludzie pędzili na wszystkie strony, a zwierzęta zbiły się w ciasną gromadę. Boswell z paroma pomocnikami usiłował postawić prowizoryczną zagrodę. Ziemia, wciąż polewana strugami wody, zamieniła się w grząskie błoto, bełtane kopytami koni. Rejwach był niemożliwy.

Keelin oddała wodze jakiemuś chłopakowi i zawróciła do stajni. Zobaczyła swojego muła. Przestraszone zwierzę stawało dęba i biło kopytami w deski. Keelin zaczęła ostrożnie iść w tamtą stronę. Za nic w świecie nie chciała być stratowana przez własnego muła. Wiedziała, jak sobie z nim poradzić.

- Milady! - krzyknął ktoś od drzwi stajni. - Szybko!

- Już idę! - zawołała, nie odwracając głowy. Wciąż wpatrywała się w muła. Musiała się pospieszyć. Nie było chwili do stracenia.

Teraz lub nigdy, pomyślała. Otworzyła zagrodę i weszła do środka, lecz nagle - zanim spostrzegła, co się stało - rozległ się straszliwy trzask i poczuła silne uderzenie w tył głowy. Wszystko zasnuła ciemność.

Wokół dziedzińca stały drewniane budynki. Gdyby także zaczęły płonąć, byłaby to klęska. Spaliłaby się większość zapasów na zimę i kwatery zbrojnych pełniących służbę na zamku Wrexton.

Marcus dziękował Bogu, że pożar się nie rozprzestrzenił. Spłonęła tylko stajnia. Nikt nie odniósł poważniejszej rany, a dwie klacze, Frieda i Isabella, które wkrótce miały się ożrebić, trafiły w bezpieczne miejsce. Podobnie Gregor - ognisty ogier i zarazem ojciec wielu dzielnych rumaków.

Nie mógł tylko nigdzie znaleźć Keelin, która zniknęła mu sprzed oczu w chwili, kiedy rzuciła wiadro przy studni i pobiegła w stronę

palącej się stajni. Najwyraźniej wiedziała, co robi. Zawsze szła tam, gdzie była najbardziej potrzebna. W ten sam sposób zachowywała się wcześniej, w lesie, i teraz, na zamku, zwłaszcza przy Adamie. Nie przypominał sobie, żeby, na przykład, lady Isolda przejawiała podobne skłonności.

Mocniej ścisnął łopatę w dłoniach i wraz z innymi przystąpił do okopywania płonącego stogu. Mówiono mu, że wszystkie konie wyprowadzono ze stajni, nie zaprzętał więc sobie głowy niepotrzebnym gaszeniem dachu. Teraz należało jak najszybciej ograniczyć teren pożaru.

Na szczęście znów zaczęło padać i płomienie z wolna przygasały. Marcus zdawał sobie sprawę, że zgliszcza wciąż się będą tliły, ale pierwsze niebezpieczeństwo zostało już zażegnane.

- Lordzie Marcusie! - rozległ się alarmujący okrzyk Alana Boswella. Zabrzmiało to tym groźniej, że masztalerz nie należał do ludzi, którzy łatwo wpadają w panikę.

Marcus rzucił natychmiast łopatę na ziemię i podbiegł do Boswella.

- Chodzi o twoją lady, milordzie! - Sługa pociągnął go za rękaw w stronę stojącej opodal szopy.

- Moją lady? Keelin O'Shea?

- Tak, milordzie! - odpowiedział Boswell. - Chyba jest ranna. W każdym razie straciła przytomność. Płonąca belka spadła jej na głowę. Znalazł ją jeden ze stajennych i zaraz przyniósł tutaj.

Marcus wszedł do szopy. Przerażony rzucił się na kolana obok nieruchomej postaci, leżącej na klepisku. Keelin miała otwarte oczy, ale sprawiała wrażenie nieprzytomnej. Zobaczył krew na jej włosach.

Ostrożnie ujął ją za rękę.

- Keelin - powiedział cicho, z wymuszonym spokojem. Nie chciał zdradzać prawdziwych uczuć.

- Marcus? - spytała. Poruszyła głową i nagle zaniósła się kaszlem. - Co się stało? - westchnęła, gdy odzyskała oddech. Nagle przypomniała sobie o włócznie ukrytej w wozie. - Och! Pożar! Co jeszcze spłonęło prócz stajni? Czy...

- Nie, Keelin - szybko odpowiedział Marcus, przestraszony jej nagłym wybuchem. - Zdążyliśmy w porę.

Odetchnęła z ulgą i spróbowała się uśmiechnąć. Spytała o muła.

Marcus popatrzył na stajennego.

- Zaprowadzono go do innych zwierząt - odparł chłopak.

Dość tych pogawędek, pomyślał Marcus. Bez słowa wziął Keelin na ręce i zaniósł ją do głównej wieży. Pożar był już opanowany, nie miał więc tutaj nic do roboty. A zresztą - najważniejsze było zdrowie Keelin. Musiała jak najszybciej trafić do łóżka.

- Mogę chodzić, milordzie - powiedziała, ale jakby na przekór swoim słowom ciaśniej objęła go za szyję. Jej oczy miały lekko rozmarzony wyraz, ale Marcus uznał, że to na skutek silnego uderzenia w głowę.

Szedł powoli, uważnie, w stronę zamku. Po drodze uznał, że najlepiej będzie, jeśli sam obejrzy ranę na głowie Keelin. Poza nią nie było tu przecież nikogo, kto by choć trochę znał się na leczeniu. Nawet Tiarnan nic tu nie pomoże, bo nie widzi.

Przeszedł przez wielką salę i już miał wejść na schody, kiedy w drzwiach ukazała się Isolda Coule.

- Marcus! - krzyknęła. - Co się stało?!

- Lady Keelin została lekko ranna podczas pożaru - odparł, ale się nie zatrzymał. - Pójdź przodem i otwórz drzwi do jej komnaty, dobrze?

Isolda posłusznie spełniła jego polecenie, choć najpierw obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem. Pierwsza weszła do komnaty i odsunęła firanki łoża, by Marcus mógł położyć Keelin.

- Biskup Delford czeka na ciebie w słonecznym pokoju - powiedziała. - Siedział tam praktycznie sam przez całe popołudnie, w czasie, gdy ty...

- .. byłeś zajęty gaszeniem pożaru stajni - dokończył Marcus z wyraźnym zniecierpliwieniem. Dobry Boże, czy pewni ludzie nie są w stanie patrzeć dalej niż na koniec własnego nosa? Czyżby Isolda nie wiedziała, jakim nieszczęściem mógł się skończyć dzisiejszy wypadek? - Przynieś mi trochę wody i kilka świeżych ręczników - polecił. - A potem powiedz Delfordowi, że do niego przyjdę, jak tylko skończę opatrywać lady Keelin.

Isolda mknęła gniewnie pod nosem, rozdrażniona jego aroganckim tonem, i wyszła, głośno szeleszcząc spódnicami.

- Nie musisz się o mnie troszczyć, Marcusie - odezwała się Keelin i usiadła na łóżku.

Zaraz jednak z powrotem opadła na poduszki, bo zakręciło jej się w głowie. Syknęła z bólu.

- Leż spokojnie - powiedział Marcus i usiadł tuż koło niej. Był przejęty jej stanem. Nie pojmował, jak to się stało, że w tak krótkim czasie zapalał do pięknej Irlandki szczerym uczuciem.

Keelin była potwornie zmęczona. Zdawała sobie sprawę, że powinna zasnąć, lecz wydarzenia minionego dnia spędzały jej sen z powiek. Niedługo po wyjściu Marcusa zwlokła się z łóżka i usiadła w fotelu obok kominka. Swoim zwyczajem podwinęła nogi pod siebie i z namysłem zapatrzyła się w wesoło trzaskający ogień. W rękę trzymała rzemyk, którym Marcus związał przedtem jej włosy, gdy oglądał skaleczenie na głowie.

Sama nie wiedziała, jak rzemyk znalazł się w jej dłoni.

Marcus był dla niej dobry. Bardzo dobry, pomyślała z nagłym rozrzewnieniem. Niestety, troską i czułością przyprawiał ją o rozterkę.

Powinna wracać do Irlandii. Nadeszła najwyższa pora, by Ga Buidhe an Lamhaigh znów znalazła się w rękach klanu.

Keelin podciągnęła kolana pod brodę. Czarne włosy spłynęły na ramiona. Wąski rzemyk niemal palił jej skórę.

Myśl o rozstaniu z Marcusem była bolesna. Znała jednak swoje obowiązki. Musiała myśleć o przyszłości klanu Ui Sheaghda. Jej powinnością był powrót do Kerry i ślub z młodzieńcem wybranym przez ojca. Od tego zależało bezpieczeństwo rodu. Wybór nie do niej należał.

Nie mogła pozwolić na to, aby uczucia żywione do Marcusa przeważały nad jej przeznaczeniem. Zdawała sobie sprawę, że trudno by jej było znaleźć równie dobrego, szlachetnego i czułego mężczyznę, jakim okazał się Marcus de Grant.

To nieważne, pomyślała Keelin, ocierając łzy. Muszę stąd wyjechać przy pierwszej sposobności. Tiarnan zostanie w dobrych rękach, pod osłoną zamkowych murów. Wiosną przyślę po niego kilku ludzi z Kerry, żeby przywieźli go do mnie, do ojczyzny. Resztę swoich dni spędzi spokojnie, przy rodzinie.

Pozostawała jeszcze sprawa włóczni, wciąż ukrytej pod ruchomą deską w ramie wozu. Pożar stajni był wyraźnym ostrzeżeniem, że Ga Buidhe an Lamhaigh nie powinna dłużej leżeć w tak niepewnym miejscu. Gdyby spłonęła także wozownia, włócznia byłaby na zawsze stracona.

Trzeba ją przenieść do komnaty, postanowiła Keelin. Tu będzie najbezpieczniejsza. Schowam ją tak, że nikt poza mną jej nie znajdzie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Stajnia była bardzo zniszczona. Dach zniknął i tylko nadpalone belki sterczały w niebo. Zachowało się także kilka zagród. To wszystko. W powietrzu unosił się ostry swąd spalenizny. Marcus uznał, że nie ma co myśleć o naprawie. Trzeba było na nowo postawić cały budynek.

Rozejrzył się po dziedzińcu. Za dużo tutaj suchego drewna, uznał. Niewiele brakowało, aby pożar ogarnął przyległe budynki. Lepiej zawczasu pomyśleć o ewentualnym niebezpieczeństwie i dokonać stosownych przeróbek. Przy okazji wznoszenia nowej stajni można zająć się innymi budynkami, ale to zapewne będzie w pełni możliwe dopiero na wiosnę.

Marcus obszedł cały dziedziniec, przystając i rozmawiając z ludźmi. Próbował ustalić przyczynę pożaru.

- Niech mnie piorun strzeli - zarzekął się masztalerz. - Zupełnie nie mam pojęcia, jak to się stało, milordzie.

Jeszcze raz weszli do zniszczonej stajni.

- Wyszedłem na parę minut, za zwykłą ludzką potrzebą - opowiadał Boswell. - Bóg mi świadkiem, że nie zauważyłem niczego podejrzanego.

Marcus wierzył mu bez zastrzeżeń. Dobrze wiedział, że w razie czego stajenni zdusiliby ogień w zarodku. Tymczasem, zanim kto się obejrzał, już płonął cały stóg siana. Doprawdy tajemnicza sprawa. Na przyszłość trzeba bardziej uważać.

W świetle pochodni służba sprzątała dziedziniec i wnętrze spalonego budynku.

- Gordonie! - zawołał Marcus do jednego ze stajennych. - W którym miejscu znalazłeś lady Keelin?

- Tutaj, z tyłu, milordzie - odparł Gordon i poprowadził Marcusa i Boswella do zniszczonej zagrody dla muła. - Lepiej uważać pod nogi.

- Masz rację - mruknął Marcus, chociaż akurat w tym miejscu nie spostrzegł na ziemi żadnych zwęglonych odpadków. Zauważył tylko poczerniały gruby klocek mniej więcej długości pałki. Podniósł go i zobaczył na nim ślady krwi oraz kępki przyklejonych włosów. To były czarne włosy Keelin.

Uniósł głowę. Dachy wprawdzie nie było, ale belkowanie zdawało się nietknięte. Skąd więc, u licha, spadł ten kawałek?

- To cud, że nikt nie doznał poważniejszych obrażeń, milordzie - powiedział Boswell. - Oczywiście, z wyjątkiem lady Keelin. Jak ona się czuje?

- Już lepiej - odparł Marcus i odrzucił na bok ciężki kłoc nadpalonego drewna.

- Chcesz osobiście nadzorować odbudowę stajni, panie? - zapytał masztalerz. - Czy pozwolisz, abym sam się tym zajął?

- Zostawiam to tobie, Boswell. Chciałbym nową stajnię postawić z kamienia.

- Tak jest, milordzie. - Masztalerz z uznaniem pokiwał głową. - Łaska boska, że pożar się nie rozprzestrzenił.

Marcus wrócił do wieży i kazał sobie przygotować kąpiel. Najpierw jednak zajrzał do Adama. Przy łóżku chłopca zastał drzemiącego Tiarnana. Adam też spał, cicho i spokojnie. Marcus położył mu rękę na czole i z zadowoleniem stwierdził, że gorączka znacznie osłabła. Głowa Adama była ledwo ciepła.

- Och... wróciłeś - powiedział nagle Tiarnan. Otworzył niewidzące oczy i pociągnął nosem, wdychając woń spalenizny, którą przesiąknięte było ubranie Marcusa. - Dowiedziałeś się czegoś nowego?

- Nie - odparł młodzieniec. - Pożar zaczął się od płonącego stogu siana. Prawdopodobnie ktoś przez nieuwagę zostawił tam pochodnię, a teraz boi się do tego przyznać.

Tiarnan nic nie powiedział, tylko cierpliwie czekał, aż Marcus skończy oględziny Adama.

- Keely mówiła mi, że dobrze się nią zająłeś - rzekł reszcie. - Dziękuję ci w jej imieniu.

- Szczerze mówiąc, wolałbym, aby w ogóle nie doszło do wypadku - powiedział Marcus. - Nie darowałbym sobie, gdyby coś jej się stało.

- Keely zawsze chadza własnymi drogami - wyjaśnił Tiarnan. - Pod tym względem jest podobna do ojca. - Stary przeżegnał się na wspomnienie zmarłego brata.

Marcus skinął głową, lecz zaraz przypomniał sobie, Tiarnan przecież go nie widzi. Ciekawe, czy wiedział o tym, że Keelin chce go zostawić tutaj i sama wyjechać do Irlandii?

Myśl o rozstaniu z Keelin sprawiała Marcusowi chyba większą przykrość niż żaloba po ojcu. Nie umiał jeszcze dokładnie nazwać

swoich uczuć wobec pięknej Irlandki, ale zdawał sobie sprawę, że na kogoś takiego jak ona natrafia się raz w życiu.

Jeśli pozwoli jej wyjechać, pewnie już nigdy się nie zobaczą.

- Powiedz mi, panie - odezwał się Tiarnan. - Bardzo ucierpiała? Sama niechętnie mówi o swoich smutkach i dolegliwościach. Dziś jednak przemawiała do mnie grubym i chropawym głosem, a to znak, że nałykała się sporo dymu i sadzy.

- Tak, to prawda - odpowiedział Marcus. On też to zauważył. - Będzie kasłać przez kilka najbliższych dni - dodał.

Tiarnan pokiwał głową.

- A jej rana?

- Dość głęboka, ale krwawienie ustało. Nie pozwoliła mi założyć sobie opatrunku - wyjaśnił rycerz. - Szyć też nie musiałem.

Z tego akurat był zadowolony, bo niezbyt wprawnie radził sobie z igłą, a za nic w świecie nie chciał sprawiać Keelin dodatkowego bólu.

- To dzielna dziewczyna. Wkrótce wydobrzeje - zawyrokował Tiarnan.

Marcus też miał taką nadzieję. Wciąż nie rozumiał, jak to się stało, że dostała w głowę jedyną belką, jaka w tym miejscu spadła ze stropu. Nasunęły mu się pewne podejrzenia, ale wolał o tym nie myśleć. Zresztą Isolda za nic nie weszłaby do stajni.

- Co z Adamem?

- O wiele lepiej - odparł starzec. - Gorączka spadła, a rana już się mniej jątrzy. Młoda Kate dała mu trochę waleriany. Wypił i usnął. Śpi już od dłuższego czasu.

- Wygląda zdrowiej - zauważył Marcus.

- Ty też powinienes się położyć, chłopcze - rzekł Tiarnan. - Kate pomoże mi dziś w nocy doglądać Adama. Zawołamy cię w razie potrzeby.

Marcus z lubością pomyślał o czekającej nań gorącej kąpieli. Rzeczywiście przydałoby mu się parę godzin rzetelnego wypoczynku. Bał się tylko, czy Tiarnan wytrzyma całą noc przy Adamie. Kate też musiała być mocno zmęczona. Siedziała z zamkniętymi oczami i pochyloną głową na krześle przy kominku.

- Kate - powiedział. Drgnęła, wyrwana z drzemki. - Idź, połóż się.

- Ale...

- Zastąpi cię jeden ze służących.

- Tak, milordzie - odparła sennym głosem. Wstała, niepewnym krokiem podeszła do drzwi i zniknęła na korytarzu.

- Tiarnanie, zaraz przyślę kogoś, by odprowadził cię do łóżka - powiedział Marcus. - Adam śpi, nie ma więc potrzeby, żebyś przy nim siedział. Służba nas zawiadomi, gdyby coś się stało.

Starzec nie zaprotestował. Marcus mruknął zatem "Dobranoc" i wyszedł z komnaty Adama.

Ledwie jednak uszedł parę kroków, gdy natknął się na Isoldę.

- Marcus! - zawołała z wyraźną radością. - Wszędzie cię szukałam.

- Co się stało, Isoldo?

- Pamiętasz chyba, że biskup Delford zamierzał wyjechać jutro wczesnym rankiem. Przekonałam go, że powinien zostać u nas dzień dłużej. Chciałabym podjąć go wystawną ucztą. Mam nadzieję, że jako nowy gospodarz zasiądziesz u szczytu stołu.

- Zjawię się, jeśli nie będę musiał czuwać przy Adamie - oparł sucho. - To dla mnie teraz najważniejsze.

- Och, Marcusie - ze zniecierpliwieniem westchnęła Isolda. - Wiesz przecież, że biskup jest bardzo wpływowym człowiekiem. Rozmawiałeś z nim tylko chwilę na pogrzebie i wczoraj. To nieładnie. Nie wolno jego eminencji traktować w tak lekceważący sposób. Ma duże znajomości na dworze i...

- Jeśli jest tak przyziemny, że nie rozumie, jakie obowiązki na mnie spoczywają, to niech lepiej od razu wraca do Chester! - wybuchnął rycerz. - Na nic mu moje towarzystwo.

- Marcusie!

Isolda popatrzyła na niego z niekłamanym zdumieniem. Nigdy przedtem nie zachowywał się w ten sposób. To było do niego niepodobne.

Rozdrażnienie Marcusa tylko po części brało się ze zmęczenia. Był teraz earlem, mógł więc rozkazywać i wymagać. Już wcześniej postanowił, że wykorzysta swoją władzę we właściwym celu.

- Przyślij kogoś ze służby do komnaty Adama - powiedział rozkazującym tonem. - Niech najpierw odprowadzą lorda Tiarnana do łóżka, na nocny spoczynek, a potem niech ktoś czuwa przy rannym chłopcu. Mają mnie wezwać natychmiast, gdyby coś wzbudziło ich niepokój.

- Ale Marcusie...

- Chyba że sama wolisz przy nim zostać. W takim razie... - nie skończył, ponieważ Isolda szybko zagarnęła spódnicę i odeszła w głąb korytarza. Wcale jej nie żałował. Nie znosiła widoku rannych i chorych. Wiedział, że nigdy by się nie zgodziła na jego propozycję.

Spokojnie poszedł do własnej komnaty. Rozwiązał tasiemki koszuli, zdjął ją przez głowę i rzucił na łóżko. Była mocno zniszczona, przepocona i osmalona dymem. Suknia Keelin na pewno jest w dużo gorszym stanie, pomyślał. Sęk w tym, że dziewczyna nie miała nic na zmianę.

Powoli, delektując się chwilą, zanurzył się w gorącej wodzie. Mimo zmęczenia nie potrafił całkowicie się odprężyć. Przeszkadzała mu w tym myśl o Keelin.

Zamierzała wyjechać. Wiedział, że nie odstąpi od powziętego planu.

Poczuł w duszy przeraźliwą pustkę. Nigdy w życiu nie poznał tak wspaniałej kobiety jak ona - ani w Anglii, ani w Walii, ani nawet gdziekolwiek we Francji.

Nie była jedną z tych drobnych szlachcianek czy dam dworu, które spotykał w zamkach i pałacach. Żadnej z nich nie wziąłby w ramiona, bojąc się, że ją rozgniecie. Nie, Keelin bardziej przypominała Cleo. Była prawdziwą sokolicą. Piękna i gładka, nieugięta i dzielna.

A do tego wysoka. Nawet nie musiał się zbytnio pochylać, aby ją pocałować. Pasowała do niego. Oboje sobie odpowiadali. Aż żał bierze, że poprzestawali tylko na pocałunkach.

Marcus zanurzył się z głową pod wodę, żeby pozbyć się natrętnych myśli. Nic nie pomogło.

Keelin chce wrócić do Irlandii, powtarzał w duchu jak litanię. Do ojczyzny. Szła po prostu za głosem serca. Tam miała rodzinę, krewnych i przyjaciół. Tam czekały ją ważne obowiązki. Nie dało się tego zmienić.

Marcus nagle pomyślał o włóczni, o której wspominał mu wcześniej Tiarnan. Dopiero teraz uświadomił sobie, że przecież Keelin musiała ją jakoś po kryjomu sprowadzić do Wrexton. Gdzie ją ukryła? Sam sprawdził wszystko, co trafiło na wóz przed wyjazdem z chaty. Na koniu też jej nie wiozła.

Z tego, co mówił Tiarnan, wynikało, że włócznia jest czymś niemal świętym - prawdziwą relikwią klanu. Keelin na pewno nie

zostawiła jej w chacie. Nie mogła tego zrobić, skoro w pobliżu kręcili się wojownicy Mageeanów.

Nie. Włócznia musiała znajdować się na zamku.

Następnego dnia Keelin obudziła się bardzo wczesnie. Wszyscy jeszcze spali. Ubrała się, narzuciła płaszcz na ramiona i po cichu zeszła ze schodów do wielkiej sali. Po chwili była już na dziedzińcu. Na zewnątrz jeszcze panowała ciemność, lecz jej oczy szybko przywykły do mroku. Bez trudu odnalazła drogę do wozowni. Szła równym i pewnym krokiem, jakby przyciągana magiczną mocą włóczni.

Weszła do ciemnego wnętrza i wyteżyła wzrok. Musiała przepchnąć się przez stos przedmiotów, przeniesionych tutaj ze spalonej stajni. Ale poszukiwania nie trwały zbyt długo. Jej wóz stał wśród innych pojazdów należących do załogi Wrexton.

Keelin westchnęła z ulgą, lecz po chwili zmarszczyła brwi ze zdumienia. Nie czuła obecności włóczni. Nie znajdowała w sobie znajomych mocy.

Przesunęła dłonią po ścianie wozu i wymacała palcami obluźowaną deskę. Przygryzła wargi, by nie krzyknąć z bólu, gdy ostra zadra wbiła jej się w palec. Cofnęła rękę, po omacku wyciągnęła kawałek drewna spod skóry i powróciła do oględzin.

Wreszcie znalazła mały haczyk, zamykający schowek. Odsunęła go wsunęła dwa palce do środka.

Schowek był pusty!

Ga Buidhe an Lamhaigh zniknęła!

Nie, to nieprawda, pomyślała Keelin. Po prostu pomyliłam wozy. Po ciemku łatwo się pomylić, zwłaszcza że jest tu ich tyle. Nie poddawała się panice. Ostrożnie zapaliła znaną na półce świecę i powiodła wzrokiem dookoła. Zobaczyła co najmniej tuzin wozów. Właśnie, westchnęła z ulgą. Każdy na moim miejscu mógłby zabłądzić. Lecz w tej samej chwili uświadomiła sobie, że przecież znalazła schowek. Nie było zatem mowy o pomyłce. To był jej wóz i żaden inny. Serce podeszło jej do gardła, kiedy uświadomiła sobie konsekwencje tego, co się stało.

Straciła świętą włócznię klanu!

Jak miała teraz ją odnaleźć, skoro nie mogła korzystać z siły zaklętej właśnie w Ga Buidhe an Lamhaigh?

Żaden złodziej nie przyznałby się do kradzieży, w obawie przed straszliwą karą. Ale co robić? Z pustymi rękami, bez włóczni, nie miała po co wracać do Carrauntoohil. Nie mogła także bez końca pozostawać tutaj, na zamku Wrexton, podczas gdy jej krewniacy przeżywali najgorsze chwile po śmierci Cormaca.

Wzięła do ręki świecę i rozejrzała się po wozowni. Może ktoś przez przypadek wyjął włócznię ze schowka i - nie zdając sobie sprawy z tego, co znalazł - odłożył ją w inne miejsce? Może leżała gdzieś w pobliżu lub stała oparta o ścianę?

Przeszukała wszystkie zakamarki. Zaglądała pod każdy wóz, za każdą wiszącą uprząż, za sprzęty stojące po kątach.

Nic z tego. Włócznia zniknęła na dobre.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Marcus przez cały ranek i wczesne przedpołudnie grał rolę troskliwego gospodarza. Zabawiał biskupa Delforda. W tym czasie ani razu nie rozmawiał z Keelin, chociaż wiedział, że już przed śniadaniem zajrzała do Adama. Wcale go to nie zdziwiło.

W czasie posiłku Isolda, siedząca przy Marcusie, prowadziła rozmowę z biskupem. Zachowywała się, jakby była co najmniej panią na zamku Wrexton. Jej maniery drażniły Marcusa, choć w zasadzie nie miał powodów, by ją za to skarcić. Przypomniawszy sobie, że Eldred pozwalał jej na jeszcze więcej.

Postanowił, że porozmawia z nią o zmianach, jakie zajądą w zamku. Powiadomi ją, że jak najszybciej powinna sobie znaleźć męża. Jeśli nie, on ją w tym wyręczy.

Okazja do rozmowy zdarzyła się dopiero przed wieczorem, gdy biskup wdał się w długi i namiętny dyskurs o sprawach wiary z kapłanem Wrexton, ojcem Pygottem. Marcus pożegnał ich u drzwi kaplicy. Chyba nawet nie zauważyli, że odszedł.

- Chciałeś się ze mną widzieć, Marcusie? - spytała Isolda, wchodząc do słonecznej komnaty.

Marcus założył ręce do tyłu i podszedł do okna. Nie bardzo wiedział, jak zacząć tę rozmowę, lecz miał nadzieję, że nie dojdzie do poważniejszej kłótni. Jeszcze nie przywykł na dobre do tego, że jego słowo było tutaj prawem. Nigdy przedtem nie występował w takiej roli, ale teraz był earlem. Stał się odpowiedzialny za wszystko, co się działo w zamku, i za jego mieszkańców.

- Usiądź, Isoldo - powiedział z wymuszonym spokojem.

Usadowiła się w fotelu w pobliżu kominka i wygładziła spódnice na kolanach. Marcus wyczuwał, że też była trochę zdenerwowana.

- Prawdę mówiąc... - zaczął - to... eee... nic nie wiem o twoim pochodzeniu. Skąd się tu wzięłaś? - spytał, zły na siebie, że przemawia do niej w tak opryskliwy sposób.

- Cóż. Urodziłam się w hrabstwie Lanca, w pobliżu Manchesteru - odpowiedziała ostrożnie. Na jej czole pojawiła się pionowa zmarszczka. - Moim ojcem był baron Geoffrey Coule z Ellingham.

Marcus pokiwał głową. Odszedł od okna, zawrócił i znów wyjrzał na zewnątrz.

- Zatem dorastałaś na wsi?

- Można tak powiedzieć - westchnęła. - W krainie wełny i owiec. Mieliśmy najlepszą przędzalnię w okolicy.

Marcus nie zamierzał rozmawiać o owcach i przędzy. Myślał raczej o mężu dla Isoldy. O kimś, kto miałby własną ziemię, najlepiej z dala od Wrexton.

- Aha. I co się stało z tym wszystkim po śmierci twojego ojca? Kto teraz tam jest panem?

- Marcusie, wybaczone, ale nie rozumiem, po co te wszystkie pytania? - Isolda spojrzała na niego z miną wyrażającą najwyższe zdziwienie. - Znasz mnie przecież od pięciu lat. Wiesz, że zerwałam wszelkie związki z Ellingham. Nie byłam w domu od czasu, kiedy Edmund Sandborn sprowadził mnie tutaj, do Wrexton. A to było przed dziesięciu laty!

- Pamiętam o tym, Isoldo. - Marcus postanowił zmienić taktykę i porozmawiać z nią bardziej otwarcie.

- Sandborn był twoim kuzynem?

- Nasze matki były kuzynkami - wyjaśniła. Marcus dobrze pamiętał Edmunda Sandborna. Nie bardzo wierzył, aby dawny earl mógł cokolwiek zrobić ze względu na pamięć o matce. Był wyrachowanym i dumnym egoistą, zapatrzonym wyłącznie w siebie. Isoldę sprowadził tutaj z określonych motywów. Nikt jednak nie mógł jej winić za błędy Sandborna.

- Majątkiem włada teraz odległy kuzyn mojego ojca

- powiedziała, wstając. - Przybył tam z żoną i siedmiorgiem dzieci. Ósme - czyli ja - było im niepotrzebne.

Marcus zamyślił się głęboko. W chwili śmierci ojca Isolda musiała mieć zaledwie siedemnaście lub osiemnaście lat. Jednocześnie straciła wszystko: dom i rodzinę. To musiało być dla niej szokiem. Marcus nie był aż tak nieczuły, by nie brać tego pod uwagę. Powstawało Jednak inne pytanie. Dlaczego baron Coule nie namawiał córki do małżeństwa? Wszak w tym wieku była już od dawna panną na wydaniu. Skąd zatem taka opieszałość?

- I... - chrząknął głośno - nikt, żaden młodzieniec, nie starał się o twoje względy? Ktoś, kto mógłby... - Urwał, widząc zbolale spojrzenie Isoldy.

Pokręciła głową.

- Nie. - Mówiła teraz bardzo cicho, lekko drżącym głosem. - Po śmierci ojca zostałam zupełnie sama. Nie miałam nikogo.

Marcus pluł sobie w brodę. Nie chciał, aby rozmowa przybrała taki obrót. Przecież nie był potworem.

- Codziennie dziękuję Bogu, że mi zesłał Edmunda Sandborna. Cieszę się, że znalazłam się na zamku Wrexton - dodała. - Twój ojciec...

- Isoldo... - Marcus odwrócił się i odszedł kilka kroków. - Pewnego dnia będziesz chciała wyjść za mąż - dodał. - Kiedy to się stanie, możesz liczyć, że dam ci odpowiedni posag.

- Ależ, Marcusie, nigdy nie myślałam o tym, bym mogła opuścić Wrexton.

- Nie namawiam cię do wyjazdu. - Nieprawda. Przede wszystkim chodziło mu właśnie o to, ale rozmowa nie przebiegała tak, jak sobie to wcześniej zaplanował. - Możesz być pewna, że w moim domu, w razie potrzeby, zawsze znajdziesz schronienie. Gdybyś jednak postanowiła...

- Dziękuję ci, Marcusie. Nieco mnie uspokoiłeś - powiedziała napiętym głosem, podeszła do drzwi i położyła rękę na klamce. Najwyraźniej zamierzała wyjść, zanim usłyszy coś mniej przyjemnego. - Teraz muszę...

- Isoldo... - Marcus uniemożliwił jej ucieczkę. - Wróc i siadaj. Jeszcze nie skończyliśmy.

Nerwowym ruchem przeczesał dłonią włosy. Isolda sztywnym krokiem podeszła do fotela i posłusznie usiadła.

Marcus czuł się bardzo niezręcznie, ale brnął dalej, starając się nie dostrzegać wyrazu cierpienia na twarzy kasztelanki. Musiał wyjaśnić tę sprawę do końca, tu i teraz. Bał się, że następnym razem zabraknie mu odwagi.

- Moim zdaniem powinnaś sobie znaleźć męża - powiedział wreszcie.

Isolda zachłysnęła się własnym oddechem i zbladła jak kreda. Marcus szybko odwrócił głowę. Wolał na nią nie patrzeć.

- Wdzięczny ci jestem za to, że tak dobrze zajmowałaś się całym zamkiem - ciągnął. - Ale... ale niedługo sam będę chciał się ożenić.

Jej cichy jęk sprawił, że przerwał na chwilę, lecz opanował się i mówił dalej:

- Nie może być dwóch kasztelanek. - Odszedł o parę kroków. - To znaczy... moja żona w zupełnie naturalny sposób stanie się lady Wrexton.

Odwrócił się, słysząc cichy szloch i nagły tupot szybkich kroków. Isolda wybiegła z komnaty. Cóż, nic na to nie mógł poradzić. Nigdy przedtem nie dawał jej nadziei, że to właśnie ją wybierze na małżonkę. W duchu podejrzewał, że Eldred trzymał ją w zamku w charakterze „ostatniej deski ratunku” dla nieśmiałego syna.

W mniemaniu ojca nawet taka żona jak Isolda była lepsza niż żadna.

Marcus nie chciał jej krzywdzić, ale nie pragnął także by żyła złudzeniami. Teraz przynajmniej miała nieco czasu, żeby się oswoić z myślą o wyjeździe z Wrexton.

Marcus zamierzał wykorzystać rychłą podróż biskupa, aby rozesłać wieści do Chester i po przyległych hrabstwach, że ma tutaj nadobną pannę na wydaniu, do tego z odpowiednim wianem.

- Gdzie jest Keelin? - zapytał Marcus jakiś czas później, wchodząc do komnaty Adama. Chłopiec był już całkiem przytomny, ale jeszcze zbyt słaby, by móc usiąść o własnych siłach lub sięgnąć łyżką do talerza.

- Wyszła jakąś godzinę temu - odparł Tiarnan. Zmarszczył siwe krzaczaste brwi. - Co prawda, nic mi nie mówiła, ale podejrzewam, że coś ją gnębi. Wydawała mi się bardzo smutna.

- Dlaczego?

Stary pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia - odparł. - Pytałem ją o to, ale zbyła mnie tylko krótkim: „Nic mi nie dolega, stryju”.

- A może coś wyczuła? - spytał Marcus. - Może miała tę swoją wizję?

- Być może, chłopcze. Być może - odparł Tiarnan. - Chociaż to dla mnie prawdziwa zagadka. Zawsze była ze mną zupełnie szczerą.

A może to ma coś wspólnego z jej wyjazdem? - zastanawiał się rycerz. Może denerwowała się na myśl o rozstaniu ze stryjem i samotnej podróży do Irlandii? Na jej miejscu też by się denerwował.

Sam z niechęcią myślał o wyjeździe Keelin, chociaż starał się zachować na pozór spokojnie. Prawdę mówiąc, nie bardzo mu się to udawało.

Przez chwilę gawędził z Adamem. Chłopiec słabym głosem wypytywał go o szczegóły związane z pogrzebem Eldreda. Marcus próbował się skupić na rozmowie, chociaż myślami błędził gdzie indziej.

Nie najlepszy początek dnia, przemknęło mu przez głowę.

Keelin przeszukała wszystkie budynki i szopy w pobliżu wozowni, nigdzie jednak nie znalazła nawet najmniejszego śladu Ga Buidhe an Lamhaigh. Bała się wrócić do zamkowej wieży i powiedzieć Tiarnanowi o stracie. Wolała przewrócić do góry nogami całe Wrexton, by tylko znaleźć włócznie.

Tuż przed zmierzchem trafiła do ptaszarni, gdzie earlowie Wrexton trzymali swoje sokoły. Czuła się trochę jak złodziej, ponieważ w jej rodzinnym domu, w Carrauntoohil, ojciec nie pozwalał nikomu z rodziny i służących zbliżyć się do cennych ptaków. Dostęp do nich miał tylko on sam i sokolnicy.

Keelin kochała ptaki. Podziwiała ich majestat i szybkość. Czasami tylko kręciła nosem, przypatrując się treningowi. Niektóre metody przyuczania sokołów do polowania wydawały jej się zbyt okrutne. Ale poza tym, nie mogła narzekać. Ptaki były zdrowe i nakarmione, pełne werwy i chęci do życia. Każdy z nich dostawał stosowną nagrodę za udane łowy.

- Dobry wieczór, milady - odezwał się sokolnik Gerald. Keelin drgnęła zaskoczona. Nie zauważyła go wcześniej, bo stał w cieniu.

Powitała go uprzejmym słowem, a gdy przekonała się, że nie zamierzał jej wypędzać, powoli obeszła całą ptaszarnię.

Budynek był o wiele większy niż w Carrauntoohil, i przebywało w nim dużo więcej ptaków. Podłoga była wysypana żwirem - następna różnica. Ojciec kazał ją posypywać piaskiem i Keelin po każdym wizycie musiała starannie zacierać swoje ślady.

Wokół panował idealny ład i porządek. Na drewnianych ławach pod ścianami leżały różne narzędzia. Ptasie kaptury, rękawice, rzemienie umieszczono na wyznaczonych miejscach: na półkach, hakach i stojakach.

Keelin zajrzała nieco głębiej, zobaczyła ptaki - i mimo woli od razu zapomniała o Ga Buidhe an Lamhaigh. Była zachwycona.

- Myślisz, że lord Marcus bardzo by się gniewał, gdybym spojrzęła na nie z bliska? - spytała.

Gerald pokręcił głową.

- Raczej nie - odparł. - Ptaki są dobrze ułożone. Niełatwo wpadają w panikę.

Keelin doszła aż do samego końca, do dwóch wielkich sokołów, siedzących razem, ramię przy ramieniu. Zerknęły na nią podejrzliwie,

lecz zaraz przestały się stroszyć, uspokojone jej cichym, melodyjnym głosem.

Rozejrzała się. Nigdy dotąd nie widziała tak wielu sokołów i jastrzębi zgromadzonych w jednym miejscu.

- O Boże - szepnęła, gdy dostrzegła parę piskląt. Przykucnęła przy gnieździe. Ptaki wpatrywały się w nią okrągłymi żółtymi oczami.
- Proszę, proszę. Piękne będą, kiedy dorosną.

- Wolałbym, żeby były raczej zadziorne niż piękne - powiedział Marcus, który właśnie w tej chwili także wszedł do ptaszarni. Jego kroki zachrząściły na drobnym żwirze.

Keelin uśmiechnęła się.

- Na pewno takie będą, milordzie! - zawołała. - Tylko na nie popatrz.

Marcus o wiele bardziej wolał patrzeć na Keelin.

Miała potargane włosy, poplamioną suknię i ciemną smugę sadzy na policzku. Nie zdziwiłby się, gdyby się dowiedział, że pomagała sprzątać pogorzelnisko. To było do niej podobne.

Na szczęście na jej głowie nie zauważył już śladów krwi po wczorajszym wypadku. Wydawała mu się taka piękna, że z całej siły się powstrzymał, aby nie porwać jej w ramiona.

- Proszę wybaczyć, milordzie - odezwał się sokolnik. Marcus i Keelin jednocześnie spojrzeli w jego stronę.

- Wychodzę już. - Gerald naciągnął kaptur na głowę i ciasniej owinął się płaszczem. - Jutro jedziemy na polowanie, prawda?

- Tak - odparł Marcus. - Z pierwszym świtem, o ile pogoda nam na to pozwoli.

Gerald zdawkowo skinął głową.

- Będzie zimno, ale nie zapowiada się na śnieżycę. Marcus był podobnego zdania. Na śnieg jeszcze trzeba będzie trochę poczekać. Po wyjściu Geralda zaraz wywietrzały z głowy wszystkie myśli o pogodzie i jutrzejszym polowaniu. Teraz liczyła się wyłącznie Keelin O'Shea. Z zachwytem się jej przypatrywał, gdy przemawiała do sokołów. W jej obecności czuł się naprawdę dobrze. Lekko i swobodnie, a przecież jeszcze tydzień temu te uczucia były mu całkiem obce.

Keelin miała smukłe i zgrabne ciało, zręczne i delikatne ręce. Mimo młodego wieku wykazywała życiową mądrość i doświadczenie. I miała w sobie tyle pozytywnej energii!

- Co z twoją głową? - spytał, Marcus siląc się na swobodny ton. - Nie boli cię już?

- Nie - odparła. - No, może trochę. Da się wytrzymać. Podziękowałam ci już za ratunek?

Marcus mógł tylko przytaknąć w milczeniu. Uśmiech Keelin sprawił, że nie potrafił wykrztusić słowa.

- Mój ojciec też miał ptaszarnię w Carrauntoohil - powiedziała, podnosząc się z kolan. Pachniała suszonymi ziołami. Jej pełne, zmysłowe usta wydawały się wręcz stworzone do pocałunków. Marcus nie mógł wprost uwierzyć, że całował je zaledwie wczoraj, a nie całe tygodnie temu. Bez Keelin czas mu się niemiłosiernie dłużył.

- Chodziłaś z nim na polowania? - spytał tylko po to, by ją zatrzymać. Żeby choć jeszcze chwilę na nią patrzeć.

- Nie. Nie pozwalał nikomu zbliżyć się do ptaków. Przede wszystkim dziewczętom. - Nagle pewna myśl przyszła jej do głowy, Keelin więc spoważniała i z zaniepokojeniem spojrzała na młodego earla. - A ty się nie gniewasz, że tu przyszłam, Marcusie? Że podziwiam twoje cenne sokoły?

Zdecydowanie pokręcił głową.

- Oczywiście, że nie - odparł. Wpadł na pomysł, jak mógłby ją zatrzymać na kilka dni. - Nie wybrałabyś się jutro z nami na polowanie?

- Na polowanie... - powtórzyła Keelin. Oczy zabłyśły jej z radości.

Marcus przytaknął.

- Och, Marcusie! - zawołała uradowana. - Ależ tak! Z największą przyjemnością!

- W takim razie jesteśmy umówieni. Co się stało? - zapytał z troską, widząc, że nagle posmutniała.

- Och, nic. Mam swoje zmartwienia - powiedziała, westchnęła z głębi piersi i zmarszczyła czoło. - Przez chwilę o tym zapomniałam. - Odwróciła się tyłem i przycisnęła ręce do piersi. - Zgubiłam coś bardzo cennego - wyznała zbolalym głosem. - Coś, co należało do mojego klanu.

- Aha - bąknął Marcus. - A nie była to czasem święta włócznia, o której wspominał mi stryj Tiarnan?

- Tak, Marcusie. Zginęła - odpowiedziała Keelin zaskoczona. Nie wiedziała, że Tiarnan mówił mu o Ga Buidhe an Lamhaigh. - Byłam pewna, że dobrze ją ukryłam, a jednak ktoś ją znalazł i...

- Na szczęście tego kogoś masz właśnie przed sobą - wpadł jej w słowo Marcus. - To ja ją znalazłem.

Keelin osłupiała. Przeżegnała się zamaszystym ruchem i zmówiła pospieszną modlitwę dziękczynną do świętej Brygidy i świętego Patryka.

- Wiedziałem, że musiałś przywieźć włócznie do Wrexton, dokładnie więc sprawdziłem wóz i odkryłem schowek - wyjaśnił Marcus. Domyślił się, że to było jedyne miejsce, w którym Keelin mogła umieścić włócznie i przemyścić ją na zamek, nie zwracając niczyjej uwagi. Kiedy ją znalazł, w pierwszym odruchu chciał ją zatrzymać, żeby Keelin została w Anglii. Potem jednak doszedł do wniosku, że to nie licowałoby z honorem szlachcica i rycerza. - Przyznam szczerze, że miałaś bardzo dobry pomysł - rzekł z uznaniem.

- Och, tak się bałam - powiedziała Keelin i z przejęciem przycisnęła dłoń do piersi. Widać było, że jego słowa przyjęła z ogromną ulgą. - Już podejrzewałam, że to niecna robota jakiegoś złodzieja. Nie wiedziałam, jak wyznać prawdę stryjowi. Tyle się naszukałam. - Tchu jej zabrakło.

- Włócznie jest bezpieczna w mojej komnacie - oznajmił Marcus. - Jeśli chcesz, mogę ci ją oddać, jeśli wolisz, żeby tam została, niech tak będzie.

- Dziękuję ci z całego serca, milordzie, ale za pozwoleniem wolałabym ją zabrać. Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza.

Owszem, przeszkadza, pomyślał Marcus, ale nie rzekł tego na głos. Keelin od dziecka była przyzwyczajona do samodzielności. W pewnych sprawach nikomu nie ufała. Na wygnaniu dodatkowo przywykła ufać tylko sobie.

Odszedł na bok i zapalił świece, żeby rozproszyć gęstniejącą ciemność. Chciał wyraźnie widzieć stojącą przed nim dziewczynę.

- Kiedy ci malcy zaczną pierwszy trening? - zapytała Keelin, gdy do niej wrócił.

- Już niedługo. Za kilka dni Gerald weźmie je na ćwiczenia. - Odstawił świecę i przyklęknął przy gnieździe. - Zabraliśmy je tutaj

zaraz po wykluciu, miały więc czas, żeby się do nas przyzwyczaić. Są już praktycznie oswojone.

Pisklęta uniosły łebki i pisnęły na widok Marcusa. Wziął jedno z nich i położył sobie na dłoni.

- To samce czy samiczki? - z zapartym tchem zapytała Keelin.

- Samice drzemlika są lepsze w łowach - odparł Marcus.

- Nie wiedziałam.

- Są większe i bardziej bojowe od samców - dodał. Keelin przekrzywiła głowę.

- Droczysz się ze mną? - spytała. Nigdy by nie przypuszczała, że sokolice mogą być agresywniejsze od sokołów. Chociaż z drugiej strony, jak się nad tym dobrze zastanowić... Wszystko w przyrodzie ma swój sens, pomyślała. To przecież głównie matka karmi i wychowuje młode.

Marcus zaprzeczył ruchem głowy i podszedł bliżej.

- Nadstaw dłonie - powiedział.

Keelin spełniła jego polecenie, a on ostrożnie dał jej do rąk pisklę. Delikatnie przytuliła je do piersi.

- Jest takie miękkie - szepnęła.

Marcus milczał, uniosła więc głowę. Stał blisko i patrzył na nią rozplómiowanym wzrokiem. Keelin poczuła, że nogi jej miękną. Pisklę zapiszczało cicho, a płomień świecy zamigotał w przypadkowym podmuchu wiatru.

Och, gdyby znów zechciał mnie pocałować, pomyślała Keelin. Czowała oddech Marcusa na swojej skórze, żar bijący od jego ciała - i czowała szybkie bicie serca małego stworzenia, które trzymała w rękach. Jej własne serce biło równie prędko. Niestety, chwilę później przyszło opamiętanie. Marcus był nie dla niej. Musiała przecież opuścić Wrexton i zawieźć Ga Buidhe an Lamhaigh do Carrauntoohil. Była córką Eocaidha O'Shea. Miała obowiązki wobec własnego klanu.

- Będiesz trzymał je na uwięzi? - zapytała nieswoim głosem, nabrzmiałym wzruszeniem.

- Tak - odparł Marcus i przysunął się jeszcze bliżej.

- Będą miały dzwonki na nogach? - szepnęła, bezwiednie pochylając się w jego stronę.

- Tak - odrzekł i nachylił się tak nisko, że jego usta znalazły się tuż przy jej ustach.

- I zasłonisz im oczy? - Odruchowo zasłoniła pisklę dłonią, żeby Marcus nie zgniótł przypadkiem maleństwa swoją potężną pierś.

- Pewnie tak - odpowiedział bezwiednie, wcale nie myśląc o sokołach.

- Co takiego? - gwałtownie zapytała Keelin. Odskoczyła w tył i spojrzała na niego nadąsanym wzrokiem. - Może zaszyjesz im powieki, żeby posłusznie poddały się twojej woli?

Marcus dopiero teraz spostrzegł swą pomyłkę. Skąd jednak mógł wcześniej wiedzieć, że tak ją to obruszy? To przecież była zwykła metoda postępowania podczas ćwiczeń z młodymi sokołami. Szybko położył jej ręce na ramionach, żeby przypadkiem mu nie uciekła.

- Tym zajmuje się głównie Gerald – powiedział z naciskiem. - Czasami jest to potrzebne, ale nie zawsze.

- Och - zająknęła się Keelin. Spojrzała w dół, na pisklę trzymane w ręku. Niepotrzebnie wtrącała się w nie swoje sprawy. W gruncie rzeczy nie miała do tego najmniejszego prawa. - Wybacz, milordzie. Nie wiedziałam.

Zamknął jej usta pocałunkiem.

Keelin z początku była zaskoczona, ale szybko oddała pocałunek. Zapomniała nawet o pisklęciu. Przysunęła się tak blisko do Marcusa, że dotknęła go czubkami piersi i dreszcz przeszył jej całe ciało. Do tej pory podobną reakcję odczuwała jedynie wtedy, kiedy brała do ręki Ga Buidhe an Lamhaigh.

Ale teraz było to dużo przyjemniejsze.

Nie bardzo wiedziała, co zrobić z rękami. Chciała osłonić pisklę, ale jednocześnie zapragnęła wpleść palce w złociste włosy Marcusa. Nie mogła jednak odłożyć maleńkiej sokoliczki do gniazda, gdyż zepsułoby to nastrój chwili.

Chłoneła więc jedynie pocałunki. Wdychała męski zapach, silny i czysty. Słyszała głęboki oddech. Czuła, że Marcus jest przeznaczony dla niej, a ona dla niego.

Urzekł ją swoją opiekuńczą siłą. To było jej potrzebne po latach samotności, tułaczki i zwątpienia. Latach tęsknoty i skrywanego smutku.

To czekało na nią w rodzimej Irlandii, w Carrauntoohil, u boku człowieka, który dziś był jej narzeczonym, lecz wkrótce miał się stać prawowitym mężem. Jemu bowiem była obiecana.

Keelin gwałtownie odsunęła się od Marcusa. Nie, pomyślała, nie mogę mu tego zrobić. Nie mogę wzbudzić w nim namiętności jedynie po to, żeby go porzucić. Za bardzo mi na nim zależy. I muszę też zadbać o siebie. Nie chciałabym wyjeżdżać z Wrexton ze złamanym sercem.

Zabierze z sobą tylko mały rzemyk, który przedtem należał do Marcusa. Mały rzemyk, który nawet teraz nosiła przy sobie, głęboko ukryty na piersiach. Tam, w Irlandii, miał być dla niej przypomnieniem niespełnionych marzeń. Cóż, taki już los ciążył nad córką Eocaidha O'Shea.

Marcus stał w ptaszarni i z namysłem patrzył na małą samicę drzemlika, którą Keelin przed chwilą wsunęła mu w dłoń, zanim wybiegła na zewnątrz.

Jak się ustrzec tej straszliwej magii? - dumał. Jak to się, do licha, działo, że ta dziewczyna miała nad nim tak olbrzymią władzę? Nie wiedzieć kiedy owinęła go sobie wokół małego palca. Rządziła nim jak doświadczony treser.

Nie musiał mieć daru widzenia, by przewidzieć, co by się stało, gdyby odrobinę dłużej została w ptaszarni. Jak mógł tak się zapomnieć? Gdzie się podział jego rycerski honor i poszanowanie dla kobiet?

Czary. Magia. Klątwa.

Nie wiedział, co o tym myśleć, a co gorsza, nie miał się do kogo zwrócić z prośbą o radę i pomoc. W takich razach jego pobratymcy zwykle szukali wsparcia u księży. Ale kapelan z Wrexton nie był zbyt tolerancyjny. Ojciec Pygott zbyt dosłownie rozumiał słowa Pisma Świętego i niepotrzebne mu były żadne inne prawdy. Postrzegał świat w czarno - białych barwach. Marcus tymczasem zdążył nauczyć się od ojca, że w życiu nic nie było takie oczywiste.

Bał się, że kapelan potępiłby zachowanie Keelin, zwłaszcza że nie pałał zbyt miłością do „cudzoziemców”. Po części uważał ich wszystkich za pogan. Gdyby dowiedział się o świętej włóczni, od razu uznałby to za sprawkę szatana. Nie przyjąłby żadnych tłumaczeń.

Marcus powoli powlókł się do zamku. Nie zastał Keelin w wielkiej sali. Zobaczył tylko Isoldę Coule, rozmawiającą o czymś po cichu z Beatrice. Stara dwórka gwałtownie wymachiwała rękami.

Nagle Isolda podniosła głos, żeby zrugać przechodzącą w pobliżu pokojówkę. Marcus był za daleko, żeby dokładnie usłyszeć, co się stało, lecz skrzywił się, bo nie lubił kobiecych złościwości.

Trzeba możliwie szybko znaleźć jej dobrego męża i wyprawić ją z Wrexton, pomyślał. Razem z tą Beatrice.

Wchodząc po wielkich kamiennych schodach, zastanawiał się, czy tylko zamkowa służba wytrzyma aż tak długo.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Keelin choć raz była zadowolona, że stryj Tiarnan nie może jej zobaczyć. Miała lekko spuchnięte usta i rumieniec na twarzy, wywołany niedawną przygodą w ptaszarni. Wciąż czuła na wargach smak pocałunków Marcusa, ale nie była całkiem pewna, czy stryj by ją pochwalił. Znając go, wiedziała, że uznałby ją za głupią dzierlatkę.

Jedno nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Nie mogła pozostać na zamku. Przyłożyła rękę do piersi, tam gdzie chowała rzemyk Marcusa, i popadła w głęboką zadumę. Uświadomiła sobie, że już niedługo ten drobny przedmiot będzie jedyną rzeczą łączącą ją z przeszłością. Jedynym wspomnieniem po earlu Wrexton.

- Keely? - odezwał się Tiarnan.

- Tak, stryju - odpowiedziała szybko. - To ja.

Ze zdumieniem słuchała własnego głosu, nabrzmiałego z trudem powstrzymany szlochem. Starzec natychmiast to wyczuł.

- Co cię trapi, dziecko? - zapytał.

- Nic - odparła. Teraz, gdy wiedziała, że Marcus ma Ga Buidhe an Lamhaigh, mogła powrócić do swych dawnych planów. Zostawić Tiarnana i wyjechać. Przełknęła łyżę i podeszła do Adama. Chłopiec, wciąż blady i słaby, leżał w łóżu, lecz nie spał.

- Jak się czujesz? - spytała.

- Lepiej, Keelin - odparł. - Stryj Tiarnan dużo mi opowiadał o Kerry i Carraun... Carrauntoohil. To naprawdę tak magiczne miejsce, jak słyszałem?

- Tak, Adamie - odpowiedziała. Usiadła obok niego, uśmiechnęła się smutno i wzięła go za rękę. - Stryj nigdy nie kłamie.

- Mógłbym tam kiedyś pojechać?

- To długa i ciężka podróż - odparła Keelin. - Trzeba się do niej dobrze przygotować.

- Wrócisz tam? - spytał Adam. Keelin skinęła głową.

- Tak. Muszę. Mój lud mnie potrzebuje.

- Dlaczego? - dopytywał się chłopiec. - Przez tyle lat byłaś od nich z dala. Nie wytrzymają bez ciebie jeszcze trochę?

No właśnie, pomyślała Keelin, ale zaraz zmieniła zdanie. Czekali na nią.

Po śmierci Cormaca, bez pomocy świętej Ga Buidhe an Lamhaigh, byli praktycznie bezbronni. Włócznia dawała im opiekę od

niepamiętnych czasów, od dni, w których Tuatha De Danaan chodzili po ziemi, zanim święty Patryk przybył do Irlandii.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Przecież dobrze wiesz, że stąd nie wyjadę, dopóki nie nabierzesz sił i nie wydobrzejesz.

- Naprawdę? - spytał z wyraźnym niedowierzaniem w głosie.

- Naprawdę, Adamie. Możesz mi wierzyć. Obiecuję, że zostanę z tobą, jak długo będzie trzeba.

Uśmiechnął się, nieco uspokojony tym przyrzeczeniem, zamknął oczy i po chwili zasnął. Keelin zdawała sobie sprawę, że będzie musiała zostać jeszcze co najmniej przez tydzień. Nie była pewna, czy jej się uda ciągle unikać Marcusa.

Tym bardziej że wcale nie chciała go unikać.

Siedziała, patrząc na śpiącego chłopca, i myślała o rodowej włóczni. Dlaczego wczoraj jej nie wyczuwała? Dziś, kiedy tylko wróciła do wieży, poczuła w sobie przyływ mocy. Znalazłaby ją nawet wtedy, gdyby Marcus nic jej nie powiedział.

Lekkie pukanie do drzwi wyrwało ją z zamyślenia. Wstała i poszła otworzyć. W progu stał młody służący. Powiedział, że przynosi wiadomość od lorda Marcusa dla lady Keelin i lorda Tiarnana.

Wiadomość okazała się zaproszeniem na ucztę, którą earl Wrexton wydawał w wielkiej sali na cześć biskupa Delforda.

Kiedy służący odszedł, Keelin odwróciła głowę i spojrzała na stryja. Starzec uśmiechał się.

- To bez wątpienia bardzo piękny gest ze strony Marcusa, ale musisz tam iść beze mnie - powiedział. - Nie czuję się na siłach.

Keelin z niepokojem pomyślała o ponownym spotkaniu z Marcusem tak szybko po ostatniej przygodzie w ptaszarni. Nie była pewna, czy sama ma dość siły, żeby wziąć udział w uczcie.

Przyjęcie przebiegało spokojnie, jak przystało po śmierci lorda Wrexton. Tylko dwóch grajków smętnie przygrywało gościom do posiłku. Marcus dziękował w duchu opatrności, że z powodu żałoby uczta nie przeciągnie się do białego rana. Miał ochotę jak najszybciej wrócić do komnaty. Nie chciał słuchać biadoleń i wspomnień o ojcu ani rozwlekłych pacierzy biskupa.

Ta postawa nie wzięła się z niewdzięczności wobec Eldreda. Wręcz przeciwnie, Marcus nadzwyczaj dotkliwie odczuwał brak ojca. Tęsknota tylko przybrała na sile od dnia, w którym wrócił do

Wrexton. Nie miał pojęcia, czy uda mu się tak dobrze rządzić we włościach, jak robił to mądry i łaskawy Eldred.

Keelin i jej stryj jeszcze nie zeszli na dół. Co prawda, Marcus dosyć późno przesłał im zaproszenie, ale pocieszał się nadzieją, że nie poczytają tego za obrazę. Zwłaszcza Keelin miała zupełnie inny pogląd na etykietę niż większość angielskich dam i niewiast, które przedtem spotykał.

Wszyscy ważniejsi rycerze Wrexton zebrali się w wielkiej sali. Przyszło też kilka osób ze starszyny pobliskiego grodu. Był wśród nich miejscowy sędzia oraz szeryf, obaj oczywiście z żonami. Goście coraz tłumniej wypełniali salę. Marcus usadowił się w pobliżu podwyższenia, skąd miał o wiele lepszy widok na kamienne schody, na których powinna się ukazać Keelin, idąc z galerii.

Z niecierpliwością czekał na jej przybycie. Nie wiedzieć czemu, był przekonany, że jej obecność natchnie go odwagą na czas pierwszej oficjalnej uczyty, którą wydawał jako lord Wrexton.

Ojciec Pygott i biskup Delford stali nieopodal, pochłonięci dysputą o jakichś kościelnych sprawach. Marcus nie poświęcał im uwagi. Myślał tylko o Keelin, o tym, jak by ją zatrzymać na dłużej.

W głębi serca wyczuwał, że sam też nie jest jej obojętny. Wprawdzie nie był ekspertem w dziedzinie miłości, ale dobrze pamiętał jej słodkie pocałunki.

Och, gdybyż tylko nie musiała wracać do Irlandii! Mógłby wtedy spokojnie uderzyć w konkury. Dawać jej prezenty, sprowadzać minstrelki, urządzać uczyty. Aż wreszcie zdobyłby jej rękę i osadził ją na zamku Wrexton jako swoją panią.

Nade wszystko przedkładał jednak obowiązki. A Keelin miała obowiązek zadbać o dobro klanu. To było jasne - przynajmniej dla niej. W pobliżu pojawiła się Isolda. Marcus zauważył, że go unikała, ale się tym nie przejmował. Miał jej za złe, że wściekała się na służbę. Ostatnio robiła to znacznie częściej niż zazwyczaj. Niejedna pokojówka wybiegała z sali ze łzami w oczach, złajana przez niezadowoloną kasztelanę.

To nie mogło trwać w nieskończoność. Niezależnie od swoich innych planów wobec Isoldy Marcus nie zamierzał dłużej tolerować takiego zachowania. To, że złościła się na niego, nie dawało jej najmniejszego prawa do krzywdzenia innych.

Marcus przeprosił na chwilę biskupa i skierował się w stronę Isoldy. Zanim jednak zdołał do niej dotrzeć, Keelin zjawiała się na schodach i to sprawiło, że natychmiast zapomniał o bożym świecie.

Była cudowna w swej prostocie.

Zatrzymała się z wahaniem na galerii, lecz wystarczyło, aby przelotnie spojrziała Marcusowi w oczy, żeby wróciła jej cała odwaga. Zeszła powoli, z wrodzoną gracją, pełna naturalnego dostojęstwa. Miała na sobie prostą aksamitną suknię w ciemnoniebieskim kolorze. To wystarczyło, aby elegancją przyćmiła wszystkie damy obecne na sali. Włosy związała wstążką na karku. Nie nosiła żadnego nakrycia głowy.

Na szyi połyskiwał wąski złoty łańcuszek, spływający na skromny dekolt. Złoty pasek z tym samym wzorem okalał zgrabne biodra, kołysząc się kusząco przy każdym powolnym kroku.

W świetle świec twarz Keelin jaśniała alabastrową bielą. Zielone oczy błyszczały, a karminowe usta układały się we wdzięczny uśmiech.

Marcus stał bez najmniejszego ruchu, jak zaczarowany. Miał nadzieję, że przyciągnie ją do siebie siłą swego wzroku. Chciał zamienić z nią kilka słów, lecz nie zdążył, bo Isolda wzięła ją za rękę i doprowadziła do biskupa, żeby dokonać prezentacji. Pozornie potraktowała Keelin niczym ważnego gościa, ale zaraz cofnęła się o dwa kroki i z zimnym błyskiem w oku przypatrywała się całej scenie.

Nie wiadomo, co sobie pomyślała, lecz jej zamiar chyba się nie udał, bo Keelin, tak jak należało, ukłękła przed biskupem i ucałowała jego pierścień. Delford pobłogosławił ją znakiem krzyża. Isolda wyraźnie zeszywniała na ten widok. Marcus nie rozumiał wszystkich subtelności, rad był jednak, że piękna Irlandka pomyślnie przeszła tę próbę. Na dobrą sprawę nie mógł się spodziewać po niej niczego innego.

Isolda szybko doszła do siebie po pierwszym rozczarowaniu i pospiesznie próbowała coś wtrącić, nie zważając na to, że Keelin rozmawia z biskupem.

- To była wspaniała mowa, wasza eminencjo - powiedziała Irlandka. Pochwaliła kazanie biskupa wygłoszone podczas pogrzebu Eldreda de Granta. - Doprawdy, czułam się wielce zaszczycona, że mogłam uczestniczyć w mszy i złączyć się w bólu ze wszystkimi, którzy zjawili się w kaplicy, aby opłakiwać śmierć lorda Eldreda.

Biskup z zadowoleniem przyjął jej pochwałę i mimo wysiłków Isoldy nie przerwał pogawędki. Ramię w ramię z Keelin zbliżył się do stołu, żeby pobłogosławić potrawy przed rozpoczęciem uczy. Marcus szedł nieco z tyłu, zastanawiając się nad dziwnym zachowaniem kasztelanki.

Muzyka umilkła na czas błogosławieństwa. Kiedy biskup skończył, grajkowie znów zagrali, goście zajęli miejsca, a służba zaczęła się uwijać pomiędzy stołami. Isolda sama przyniosła tacę z czterema złotymi kielichami i trzy z nich postawiła przed biskupem, Marcusem i Keelin. Czwarty zatrzymała dla siebie.

Marcus mimo woli podziwiał jej zręczność i sprawność działania. Wystarczająco długo była kasztelanką Wrexton, żeby wiedzieć, co do niej należało. W kielichach bez wątpienia było najlepsze wino z bogatych zamkowych piwnic. Isolda dała mu ukradkowy znak, że powinien wznieść toast za zdrowie biskupa Delforda.

Keelin głęboko zaczerpnęła tchu, by uspokoić skołatane nerwy. Stryj Tiarnan poradził jej przed wyjściem, żeby zachowywała się całkiem naturalnie. Łatwo mu jednak było mówić. Od samego początku ten wieczór zapowiadał się nie najlepiej.

Najpierw do jej komnaty zajrzała Isolda. Przyszła pod pretekstem, że chce zapytać, czy Keelin jest zadowolona ze swojej pokojówki. Powiedziała jej krótko o angielskich zwyczajach i radziła, jak najlepiej zachować się podczas uczy. Podkreślała kilkakrotnie, że zwłaszcza do biskupa nikt z gości nie powinien odzywać się nieproszony.

Potem przeciągłym wzrokiem spojrzała na suknię Keelin.

- Naprawdę nie masz nic lepszego, pani, na ucztę w wielkiej sali zamku Wrexton?

Keelin tylko pokręciła głową. Isolda westchnęła ciężko i powiedziała, że suknia może jeszcze jakoś ujdzie, ale brakuje nakrycia głowy. Od razu wysłała służącą do Beatrice po jakiś stosowny czepek. Potem wyszła.

Pokojówka przyniosła wyrudziały czepek, śmierdzący cebulą. Nawet ona skrzywiła się na ten widok.

Keelin była zaskoczona złościwością Isoldy. Zachodziła w głowę, jakie były powody niechęci kasztelanki. Przecież nie zrobiła jej nic złego. Odprawiła służącą i poszła do stryja Tiarnana, żeby chociaż od niego usłyszeć dobre słowo.

Nie zawiodła się. Stryj wyjaśnił jej, jak wśród dostojnych gości powinna się zachować prawdziwa irlandzka księżniczka. Gdyby poszła za radą Isoldy, naraziłaby się na śmieszność.

- Jesteś pewny, że nie powinnam się tylko skłonić biskupowi? - spytała.

- Absolutnie pewny, moja droga - brzmiała odpowiedź Tiarnana.
- To byłoby niegrzeczne z twojej strony. I pamiętaj: pij mało. Nie przywykłaś do mocnego wina, Keely - dodał. - A pijana niewiasta budzi tylko niechęć i zażenowanie.

Keelin już sama nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Ze słów stryja jasno wynikało, że Isolda Coule z premedytacją chciała ją ośmieszyć. Dlaczego? Po co? Mogła jedynie snuć przypuszczenia. Zbyt mało jeszcze wiedziała o regułach panujących w świecie, by zrozumieć postępowanie kasztelanki.

Z mieszanymi uczuciami zeszła na dół, na ucztę. Było jej przykro, że jest nielubiana, zwłaszcza przez niewiastę, z którą chciałaby się zaprzyjaźnić. Przecież od lat marzyła o takim towarzystwie. Isolda była prawie jej rówieśniczką.

Kiedy zatrzymała się u szczytu schodów, ogarnęło ją nagłe przeczucie, że podczas uczyty stanie się coś niedobrego. Przygryzła wargi i próbowała zachowywać się jak najspokojniej, lecz niemiłe wrażenie pozostało. Ba, potęgowało się z każdą chwilą.

Początkowo myślała, że chodzi o Adama. Chłopiec wciąż był bardzo słaby i mógł dostać kolejnej zapaści, ale przecież stan jego zdrowia ciągle się poprawiał. Nie, to nie on, pomyślała Keelin.

Chodziło o coś innego. O co? Tego nie wiedziała.

Isolda zajęła miejsce po lewej stronie Marcusa. Spojrzył na nią spod oka, ale nic nie powiedział. Keelin usiadła obok biskupa Delforda. Służba wniosła kolejne potrawy. Muzyka przycichła znowu, kiedy Marcus wstał z kielichem w rękę i wzniósł toast za zdrowie jego eminencji. Powiedział kilka uprzejmych słów i uniósł kielich. Wszyscy goście poszli za jego przykładem, wstając z ław i przyłączając się do toastu.

Keelin też podniosła się ze swojego miejsca. Sięgnęła po złoty kielich. Nie zdążyła go jednak unieść, bowiem wysliznęła się z dłoni i upadł na stół. Dobrze przynajmniej, że wino nie wylało się na biskupa, lecz szeroką strugą pociekło po białym obrusie na podłogę. Twarz Keelin stała się równie czerwona jak plama.

Kielich był natłuszczony! - pomyślała ze zgrozą. Udało jej się zachować spokój. Wdzięcznie pochyliła głowę i cichym, lecz uprzejmym głosem przeprosiła biskupa za swoją niezręczność. W głębi serca była jednak zrozpaczona. Służba podbiegła ze ścierkami, aby wytrzeć jej ręce. Szybko zmieniono zachlapany obrus. Keelin potarła dłonie. Wciąż były mokre od wina, ale prócz tego wyczuła na nich wyraźną warstewkę tłuszczu.

- Nic się nie stało, moje dziecko - rzekł Delford w odpowiedzi na jej przeprosiny. - Nie przejmuj się.

Keelin wiedziała jednak, że wszyscy na nią patrzą. Jedyne, co mogła zrobić w tej sytuacji, to usiąść i rzeczywiście udawać, że nic nie zaszło.

- Lady Keelin i jej stryj obiecali, że pozostaną z nami do czasu, aż panicz Adam zupełnie wyzdrowieje - powiedział Marcus, żeby przerwać nieprzyjemną ciszę.

- Nie mamy tutaj uzdrowiciela, a nasi goście już udowodnili, że można na nich polegać.

Popatrzył na nią łagodnym wzrokiem. W tej trudnej chwili okazał się najlepszym przyjacielem.

- Och, tak - pospiesznie zauważył Delford. - Biedny chłopiec był ciężko ranny. To cud, że wyżył.

- Wola boska - mruknęła Isolda.

- Święte słowa, nadobna pani - zgodził się z nią biskup.

Keelin przymknęła oczy ze wstydu. Wytarła dłonie do sucha w serwetkę podaną jej przez służącego i sięgnęła po kawałek mięsa. Mimo pozorów spokoju jej ruchy były napięte i sztywne. Jeszcze nie ochłonęła po przykrości, jakiej zaznała od Isoldy.

Wprost bała się pomyśleć, co może spotkać ją w przyszłości.

Po posiłku Marcus, jako gospodarz przyjęcia, musiał zająć się biskupem. Zżymał się w duchu, że to go odrywa od Keelin. Isolda pilnowała czujnie, aby nie wspomniał ani słowem o tym, że pragnie ją odprawić. Wciągnęła biskupa w żywą konwersację, pełną umizgów i uśmiechów, podszytych fałszem.

Marcus popatrzył na nią podejrzliwie. Znał ją na tyle, by wiedzieć, że niczego nie robiła bez powodu.

Pod koniec uczyty Keelin zbliżyła się do Delforda, żeby się z nim pożegnać. Życzyła mu spokojnej nocy i dobrej podróży do domu.

Skłoniła się Marcusowi i odeszła. Zachowywała się z chłodną obojętnością, wręcz sztywno i formalnie.

Marcus nie wiedział, co w niej wywołało tak ogromną zmianę. Przecież chyba się nie przejęła tymi kilkoma kroplami wina, które spłynęły po obrusie? Nie, za tym zachowaniem kryło się coś więcej.

Po wyjściu Keelin przyjęcie szybko dobiegło końca. Panował nastrój przygnębienia. Rozmowy się nie kleiły, a goście siedzieli osowiali. Śmierć Eldreda kładła się mrocznym cieniem nad wielką salą zamku Wrexton. W takim dniu nikt nie miał ochoty do zabawy.

Goście z grodu zaczęli się rozchodzić. Za nimi poszli następni. Służba pomału zbierała sztuce i nakrycia, zgarniała do wiader resztki potraw i zwijała obrusy.

Marcus wziął lichtarz do ręki i skierował się już na schody, kiedy w pewnej chwili został zatrzymany przez sir Williama.

- Jedno słówko, milordzie - powiedział rycerz.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- O co chodzi, Will? - spytał Marcus. Był zmęczony, lecz jednocześnie nieco rozdrażniony. Obawiał się, że dzisiejszej nocy znów nie będzie mógł zasnąć.

- Milordzie, wiesz, że nigdy nie gadałem niczego po próznicy. Wolę zawsze uważać na słowa, żeby przypadkiem nie wyrządzić komuś krzywdy - powiedział William. - Teraz jednak nie mogę milczeć.

- Mów szczerze, co ci leży na sercu, przyjacielu.

- Źle się dzieje, lordzie Marcusie - ciągnął Will. - Strach mnie bierze, że w końcu dojdzie do nieszczęścia.

- Źle? - powtórzył Marcus.

William chrząknął i zniżył głos do szeptu, żeby inni go nie słyszeli, lecz mimo to każde jego słowo rozlegało się głuchym echem w niemal pustej już wielkiej sali.

- Chodźmy do mojej komnaty - zaproponował Marcus.

Ruszył przodem, wysoko niosąc świecę. Sir William postępował za nim krok w krok. Nie zamienili ani słowa, póki nie znaleźli się w obszernym pomieszczeniu, które służyło Marcusowi za sypialnię. W kominku płonął jasny ogień i panowało przyjemne ciepło.

- Pamiętasz może, co się stało wczorajszego ranka, milordzie? Wtedy, gdy weszliśmy z dworu, w towarzystwie Roberta?

Marcus pokiwał głową. Dobrze przypominał sobie tę chwilę. Zobaczył Keelin z tacą i pościelą, a chwilę później wszystko, razem z nią, znalazło się na podłodze.

- Przewróciła się przez Isoldę. Marcus zmarszczył brwi.

- Jesteś pewny?

- Nie zwykłem rzucać słów na wiatr, milordzie - z powagą odpowiedział sir William. - Jak mówiłem przedtem, to jeszcze nie koniec. Dzisiaj Isolda wysmarowała tłuszczem kielich lady Keelin. To ona wywołała to całe widowisko.

Marcus nie mógł w to uwierzyć, choć nie pojmował, dlaczego William miałby kłamać. W ciągu kilku ostatnich dni był świadkiem wielu niesmacznych incydentów z udziałem Isoldy, lecz dotyczyły one przede wszystkim służby. Teraz był pełen podziwu dla Keelin, że potrafiła bez jednego słowa skargi znieść te złośliwości.

Isolda liczyła zapewne na to, że biskup zostanie ochlapany winem. Cóż to byłoby za skandal! I to na oczach wszystkich licznie zebranych biesiadników.

Że też nie zauważyłem wcześniej, co się święci, skarcił się w duchu Marcus. Jego uwagę zaprzętały jednak inne obowiązki, które nań spadły wraz ze śmiercią ojca, zaraz po powrocie do Wrexton.

No i sama Keelin.

Nawet nie przyszło mu do głowy, że Isolda uzna Keelin za rywalkę. Sam zresztą przyczynił się do pogorszenia sprawy, mówiąc, że zamierza poszukać jej męża i usunąć ją z zamku.

- Aż do dzisiaj nie poświęcałem temu zbytnej uwagi, milordzie - mówił William. - Obawiam się jednak, że będzie coraz gorzej.

- Masz rację, Will - mruknął Marcus.

- A lady Keelin tyle dla nas zrobiła. Najpierw dla Adama, potem dla Edwarda.

- Tak, to prawda. - Marcus pluł sobie w brodę, że przeoczył tak ważną sprawę. - Nie zajmuj się tym więcej. Dam sobie radę z lady Isoldą.

William pochylił głowę, a potem wyjął lichtarz z rąk Marcusa.

- W takim razie dobranoc, milordzie - powiedział i podszedł do drzwi.

- Dobranoc, Will - zawołał za nim earl. - I dziękuję ci za ostrzeżenie.

Keelin źle spała tej nocy. Wprawdzie poczucie zagrożenia, które towarzyszyło jej wcześniej, nieco zmalowało, ale wciąż była przekonana, że źle się dzieje w zamku Wrexton.

Gdyby miała przy sobie Ga Buidhe an Lamhaigh, zapewne mogłaby się pokusić o wyraźniejszą wizję. A tak, tylko rzucała się na szerokim łożu, walcząc przez sen z bezimiennymi demonami.

Ledwie za oknem pojaśniały pierwsze zwiastuny świtu, rozległo się ciche pukanie do drzwi. Keelin otworzyła oczy. W migoczącym świetle przygasającego ognia zwlokła się z łóżka i podeszła do progu.

W ciemnej galerii stał Marcus ze świecą w ręku. Przez chwilę nic nie mówił, jakby się zastanawiał, po co właściwie przyszedł.

- Mieliśmy dziś wyjechać na polowanie - rzekł wreszcie.

Keelin, chociaż zaspana, czuła na sobie jego spojrzenie. Wprost pożerał ją wzrokiem. Uświadomiła sobie, że jej nocny strój nie należał

do najskromniejszych, ale nie widziała potrzeby, aby wstydzić się swojego ciała.

- Och, prawda - powiedziała. Przypomniała sobie wczorajszą rozmowę. Wróciło jej poczucie rzeczywistości. - Tak, tak... z sokołami.

W myśliwskim stroju Marcus wyglądał na groźnego łowcę. Keelin odruchowo skrzyżowała ręce na piersiach.

Skinął głową, wszedł do komnaty i zamknął za sobą drzwi. Wyciągnął rękę w stronę Keelin.

- Ach! Dziękuję ci, Marcusie - zawołała Keelin i w obie dłonie chwyciła włócznię w skórzanej pochwie. Rozejrzała się w poszukiwaniu schowka.

- Tu bym ją ukrył - powiedział Marcus, kiedy już odzyskał zdolność mówienia. Stał przy łożu i uniósł róg siennika. Spod oka spojrzał na zmietoszoną pościel. Przyszło mu na myśl, że Keelin wierciła się tej nocy, ale nie wspominał o tym ani słowem. - Połóż ją przy samej ramie. Na pewno nikt jej nie znajdzie.

- Masz rację - zgodziła się Keelin i zrobiła dokładnie tak, jak kazał. - To najlepsza kryjówka. Wdzięczna jestem, że o tym pomyślałeś. I jeszcze raz dziękuję za przechowanie włóczni.

Marcus wygładził siennik i cofnął się o dwa kroki. Wciąż patrzył na Keelin. Była przekonana, że nie myślał o włóczni ani o polowaniu. Jasno zdawała sobie sprawę, że wystarczyłoby jedno małe pociągnięcie i lekkie poruszenie ciałem, żeby koszula luźno zsunęła się jej z ramion i opadła na podłogę. Keelin chciała kochać i być kochana.

Nie mogła jednak przedkładać własnych pragnień nad pomyślną przyszłość całego klanu, ponad żywotne sprawy rodu.

Udawała więc, że nie dostrzega znaczących spojrzeń Marcusa. Doszła do wniosku, że tak będzie najlepiej. Przecież za tydzień lub dwa, myślała, znajdzie się na statku płynącym do Irlandii. Adam już będzie zdrow i nic mnie nie powstrzyma przed powrotem do Carrauntoohil.

Szybko, żeby przypadkiem nie ulec przelotnej słabości, chwyciła Marcusa za ramiona, odwróciła go tyłem i popchnęła w kierunku drzwi.

- Zostaw mnie teraz samą, milordzie - powiedziała drżącym głosem. - Pozwól mi się ubrać. Spotkamy się na dole, w przedsionku.

Marcus stał przez chwilę pod zamkniętymi drzwiami komnaty Keelin i oddychał głęboko. Usiłował zebrać myśli.

Wciąż przed oczami miał jej delikatne ciało, jedwabistą skórę, włosy zwichrzone podczas snu i lekko zaspaną twarz.

Widział ją w łożu, piękną i kuszącą, z wyciągniętymi ramionami.

Nie. Miał swój rycerski honor i nie zamierzał mu się sprzeniewierzyć.

Źle uczynił, wchodząc do jej komnaty, zwłaszcza wówczas, gdy była w negliżu. Nie potrafił jednak się powstrzymać. Poza tym, musiał przecież przypomnieć jej o polowaniu... i tak, oddać włócznie.

Nie pozwolę, żeby mi uciekła tak jak wczoraj, w ptaszarni i pod koniec uczty na cześć biskupa Delforda, pomyślał.

Przeszedł na drugą stronę galerii i spojrzął w dół. Po schodach zszedł do wielkiej sali. Służba już się krzątała na powitanie dnia. Nosili pościel, opał, zapasy. Ludzie Delforda sprawdzali konie i bagaże przed czekającą ich podróżą.

Wszedł do kuchni i zajrzał do juków, żeby zobaczyć, co też kucharz przygotował myśliwym na dzisiejszy ranek. W oddzielnych koszach stał prowiant dla biskupa i jego świty. Marcus powiadomił służbę, że lady Keelin spędzi ten dzień poza zamkiem, ale że mają ją odszukać i przywołać, jakby coś złego działo się z Adamem.

Zadowolony z wyników oględzin, mimo chłodu poszedł do ptaszarni. Gerald sokolnik już na niego czekał wśród swoich skrzydlatych ulubieńców.

- Weźmiemy dzisiaj psy, milordzie? - spytał.

Marcus skinął głową. Potrzeba było sporo mięsa, aby zrobić zapasy na zimę dla wszystkich mieszkańców Wrexton. Marcus miał prawo polowania na jelenie i dziki w królewskich lasach, zamierzał więc przywieźć bogate trofeum, nie mówiąc już o ptactwie i pomniejszej zwierzynie.

- Lady Keelin do nas dołączy - oznajmił. Gerald nałożył kaptur na głowę Cleo.

- Wydaje mi się, że milady lubi obcować z sokołami. To prawda, pomyślał Marcus. Rzadko kto okazywał tym dumnym ptakom tyle zainteresowania.

- Naganka gotowa? - spytał. Zgarnął pod pachę kilka futer. Wiedział, że w polu i w lesie będzie bardzo zimno, a nie chciał, żeby Keelin niepotrzebnie marzła.

- Tak - potwierdził Gerald. - Wstali już dawno, żeby dopilnować reszty przygotowań. Czekaliśmy tylko na twój rozkaz, panie, czy wziąć psy.

- Bardzo dobrze.

Marcus skinął głową sokolnikowi i poszedł do szopy, w której tymczasowo trzymano konie po pożarze stajni. Wybrał łagodnego wierzchowca dla Keelin i kazał go osiodłać. Jego koń był już przygotowany.

Na dziedzińcu zgromadzili się uczestnicy łowów. Mimo wczesnej pory panował zgiełk i zamieszanie. Marcus przeszedł się między nimi, żeby znaleźć Keelin. Niestety, nigdzie jej nie zauważył.

Bystro popatrzył w stronę wieży i pod arkadami dostrzegł jakiś ciemniejszy cień o wyraźnie kobiecych kształtach. Rzucił wodze Boswellowi i podszedł w tamtą stronę.

Wbiegł po zewnętrznych schodach, przeskakując po dwa stopnie. Keelin stała owinięta płaszczem. Twarz miała prawie niewidoczną, tylko jej wielkie oczy błyszczały w półmroku. Z podnieceniem patrzyła na myśliwych, ale wyraźnie bała się wyjść na dziedziniec. To było u niej coś nowego. Dotychczas nic nie wskazywało na to, że widok licznie zgromadzonych ludzi mógłby ją onieśmielać.

Coś się w niej zmieniło po niemiłej przygodzie z Isoldą Coule.

- Jesteś gotowa? - zapytał Marcus. Keelin skinęła głową.

- Jesteś pewny, że powinnam pojechać z wami, Marcusie?

Zawahał się na ułamek sekundy, a potem ujął ją za rękę i pociągnął za sobą. Zeszli po schodach na dziedziniec. Żadne z nich nie zauważyło bladej i ściągniętej twarzy, jaśniejącej w wąskim wykuszu okna zamkowej wieży.

- Wyciągnij rękę, Keelin - poradził Marcus. - Wtedy do ciebie wróci.

Dziewczyna spełniła jego polecenie. Po chwili Guinevere łagodnie zniżyła lot i wczepiła się pazurami w grubą rękawicę.

Keelin instynktownie wtuliła głowę w ramiona. Marcus zaczął po cichu przemawiać do ptaka, żeby go uspokoić. Guinevere przyglądała mu się złotymi oczami. Nie wykazywała żadnego zdenerwowania. W nagrodę otrzymała okazały kawałek mięsa.

Serce Keelin biło radośnie, kiedy patrzyła na dumnego ptaka, który przycupnął na jej ręce. W życiu nie widziała czegoś równie pięknego.

Zauważyła, że Marcus z niezwyklej cierpliwością podchodził do ptaków. Na pewno byłby wspaniałym ojcem, gdyby tylko w ten sam sposób postępował ze swoimi dziećmi.

Już po raz nie wiadomo który przyrzekła sobie, że wyjedzie z Wrexton, jak tylko stan Adama wyraźnie się poprawi. Nie mogła zostać na zamku dłużej choćby ze względu na Marcusa. Nie chciała robić mu złudnych nadziei. Bóg jej świadkiem, że wcale tego nie pragnęła. Nie wiedziała, jak ona sama znieśie tę rozłąkę i smutek rozstania. Poczwała łzy pod powiekami. Miała ochotę odwrócić się i uciec - biec jak szalona poprzez wzgórza aż do kamiennej wieży zamku Wrexton.

Albo rzucić się w ramiona Marcusa.

- Chcesz ją ode mnie przejąć, mistrzu sokolniku? - spytała Geralda piskliwym i nieswoim głosem. Wstyd jej się zrobiło, że okazuje lęk.

- Nie, milady - odpowiedział Gerald. - Tym razem pora na prawdziwą próbę. Wyślij ją po łup, pani.

Zbliżył się do nich Marcus.

- Zdołasz ją jeszcze utrzymać czy jesteś zmęczona? - spytał.

- Zdołam - odparła Keelin. - Czuję się znakomicie. Marcus stanął stanowczo za blisko. Wolałaby nie patrzeć na jego długie rzęsy i niebieskie oczy. Nie chciała wiedzieć, że zapalał do niej głębokim uczuciem. Pora z tym skończyć jak najprędzej, uznała po raz kolejny.

Marcus skinął głową na Geralda. Sokolnik ruszył brzegiem jeziora do miejsca, w którym gnieździły się żurawie. To one miały stać się łupem dla Guinevere i Cleo.

Keelin szła przez las u boku Marcusa. Milczała, by przypadkiem nie zdradzić swoich emocji drzeniem głosu.

Znów pomyślała o dzieciach. Oczywiście, o dzieciach Marcusa. Wielka szkoda, że nigdy ich nie zobaczy.

- Żurawie są tam, za drzewami - w pewnej chwili odezwał się rycerz. - Gerald twierdzi, że jest ich tak dużo, iż możemy spokojnie kilka upolować, nie narażając na szwank liczebności stada.

- Na szwank? - powtórzyła Keelin. Uśmiechnął się, widząc jej zdumienie.

- Dobry łowca nigdy nie zabija za dużo - wyjaśnił - bo rok później nie miałby na co polować.

- To samo pewnie dotyczy jeleni - powiedziała domyślnie - i dzików.

Marcus skinął głową.

- Nie sądziłam, że ktoś mógłby się kłopotać o liczebność zwierzyny w lasach.

- I tu się zdziwisz - odparł. - Na szczęście lasy Wrexton oddano mi pod zarząd. Większość borów i kniei w naszym państwie należy wyłącznie do korony.

- Do syna zmarłego króla? - zapytała Keelin. - Przecież to jeszcze chłopię. Niemowlę prawie.

- Owszem - przytaknął Marcus - ale ma doradców, którzy pilnie dbają o jego interesy.

- Hm. Przy okazji pewnie także o własne. Marcus roześmiał się. Jego śmiech zabrzmiał cudownie w uszach Keelin.

- To bardzo trafna obserwacja jak na kogoś, kto jeszcze nie był na królewskim dworze - powiedział. - A może byłaś?

- Gdzie? - spytała z roztargnieniem. - Na dworze?

- Żartowałem, Keelin - odparł i zachwyconym spojrzeniem obrzucił jej zaróżowioną twarz. Widok dziewczyny, idącej z nim ramię w ramię przez las, w świeżym powietrzu poranka, działał na niego niczym najprzedniejsze wino. Keelin O'Shea była wysoka, piękna, dostojna, a sokół uczepiony ręki przydawał jej niemal królewskiego splendoru. Urodziła się po to, żeby ją uwielbiać, uznać.

A jednak coś go w niej zaniepokoiło. Była wyciszona, nieobecna duchem. Zauważył to od razu, jak tylko dostrzegł ją na schodach wieży zamku Wrexton. Był jednak pewny, że na polowaniu wróci jej dobry nastrój.

Minęła już ponad godzina, słońce wyszło zza horyzontu, a Keelin wciąż zachowywała się z nietypową dla siebie rezerwą.

- Zmęczyłaś się? - spytał wreszcie Marcus.

- Ależ nie! - odpowiedziała żywo, odzyskując dawny entuzjazm.

- A Guinevere jest wprost wspaniała. Mogłabym nosić ją całymi dniami.

- Jezioro jest tuż przed nami. Kiedy tam dotrzemy, pokażę ci, jak ją puścić w niebo.

- To cudownie. Jestem ci bardzo wdzięczna, Marcusie - powiedziała zupełnie szczerze. Zdawała sobie sprawę, że pamięć o dzisiejszych łowach będzie dla niej najmiłym wspomnieniem, jakie

zabierze ze sobą do Irlandii. Marcus z kolei po cichu liczył na to, że Keelin zmieni plany i zrezygnuje z wyjazdu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Dochodziło już prawie południe, zanim myśliwi zrobili pierwszy popas. Gerald znalazł żerdź dla sokołów, nałożył im kaptury i uwiązał za nogi do poprzeczki. Psy odprowadzono dalej, w dół zbocza, nakarmiono i pozostawiono na smyczach. Naganiacze rozsiedli się na trawie.

Wyciągnięto kosze pełne rozmaitego jadła pieczołowicie przygotowanego przez kucharza z Wrexton. Rozłożono na kocach nakrycia, pasztety, zimne mięsiwo, ser, chleb i suszone owoce. Wszystko to przyjechało bezpiecznie na wozie, ciągnącym za myśliwymi.

- Powinnaś pierwsza się posilić, pani - powiedział Gerald, podając misę Irlandce.

- Dziękuję - z uśmiechem odparła Keelin. Marcus rozłożył dla niej futro, a sam usadowił się obok. Zauważyła, że gdy misa dotarła do niego, szybko nałożył sobie nieco strawy i przekazał ją dalej, by inni nie czekali. Nikt z myśliwych nie śmiał przed nim rozpocząć jedzenia.

Dzień nie był już tak zimny jak rankiem. Mróz zelżał, ale w zamian na niebie pojawiły się ciężkie i posepne chmury.

- Klnę się na głowę pierworodnego syna, że jutro nas czeka śnieżycy - rzekł jeden z naganki, zezując na niebo.

- A kto by tam chciał jego łepetyny? - zażartował Marcus. - Przecie to pusty czerep.

- Słyszałem! - zaprotestował wspomniany pierworodny, czym oczywiście wzbudził śmiech zebranych.

Keelin śmiała się wraz z innymi. Było jej dobrze. Cieszyła się każdą chwilą, którą spędzała u boku Marcusa, nie trapiąc się o przyszłość. On zaś - wśród ludzi znanych od dzieciństwa - zachowywał się niczym mały chłopiec. Jej ojciec nigdy nie przejawiał aż takiej swobody w obcowaniu z poddanymi.

Marcus skrzyżował nogi. Przypadkowo dotknął kolanem jej uda.

Przeniknął ją dreszcz. Czym prędzej opuściła głowę, wbiła wzrok w ziemię i zacisnęła pięści, żeby powstrzymać drżenie dłoni. Wzięła głęboki oddech. Zaczęła myśleć o porannych łowach, żeby się czymś zająć. Guinevere spisywała się nadzwyczaj dzielnie.

- Zapolujesz jeszcze? - nieoczekiwanie zapytał Marcus.

- Nie, milordzie - odparła. Nie była pewna, czy zauważył jej zmieszanie. Chyba jednak nie zdawał sobie sprawy z tego, co się z nią działo. - Powinnam wrócić do zamku - dodała. - Adam...

- Przyślą po nas, gdyby się coś działo.

- Lordzie Marcusie - odezwał się syn łowczego - dobrze wiem, że kiedyś mam przejąć funkcję po swoim ojcu. Chciałbym nauczyć się strzelać z łuku. Ojciec powiada, że tylko ty, panie, mógłbyś zapoznać mnie z tą sztuką.

- I ma rację! - rzucił jeden z myśliwych. - Nikt lepiej od lorda Marcusa nie radzi sobie z łukiem.

Pozostali wydali pomruk aprobaty. Rozległy się potakiwania. Wreszcie Marcus wyraził zgodę na to, że zaraz po posiłku da chłopakowi pierwszą lekcję strzelania.

- Mogę się do was przyłączyć? - zapytała Keelin. Marcus lekko nastroszył brwi i spojrzał jej prosto w oczy. Nigdy dotąd nie słyszał, by jakaś niewiasta chciała strzelać z łuku, niezależnie od tego, czy z rzeczywistej potrzeby, czy tylko dla zabawy.

- Na pewno przyda mi się taka umiejętność, kiedy sama wyruszę w długą podróż do domu.

Gdyby umiała zrobić łuk i strzały, nie głodowałiby tak często z Tiarnanem, tuż po ucieczce z Irlandii. W zamian musiała łowić ryby i zastawiać sidła na małą zwierzynę. Rzadko się w nie coś łapało.

Nie wiedziała, co ją może spotkać w drodze do Kerry, ale nie chciała zbytnio ryzykować.

Marcus milczał. Chyba nie był w pełni zadowolony z jej prośby, lecz w końcu skinął głową i zgodził się na naukę. Twarz miał poczerwieniałą z zimna, ale oczy jasne niczym irlandzkie niebo. Kilka niesfornych złotych kosmyków opadało mu na czoło. Keelin miała ogromną ochotę je odgarnąć.

Nie zrobiła tego. Rozsądek podpowiadał jej, że nie powinna go dotykać częściej niż to konieczne.

- Chcesz wyjechać z zamku Wrexton, pani? - spytał ktoś.

- Tak - odparła. - Muszę, ale zostanę, póki Adam nie wydobrzeje.

- Pożycz mi swój łuk, Philipie - powiedział Marcus do jednego ze starszych chłopców. - Wydaje mi się, że na długość będzie najodpowiedniejszy dla lady Keelin.

Młodzieniec bez sprzeciwu wręczył broń swemu panu. Marcus chwycił kołczan pełen strzał i podszedł do miejsca, które wybrał na

lekcję. Syn łowczego, Dob, natychmiast podskoczył za nim. Reszta myśliwych zajęła się uprzążaniem naczyń po pikniku.

- Weź ten kawałek tkaniny, Dob, i zawiąż na wybranym drzewie
- rozkazał Marcus. - Posłuzь nam jako cel.

Chłopak pędem puścił się, by to zrobić.

- Strzelałaś już kiedyś z łuku, Keelin?

- Nie, Marcusie.

- W takim razie posłuchaj - zaczął. - Weź łuk w lewą rękę, a strzałę w prawą.

Keelin zrobiła to dość niezręcznie.

- Nie, nie tak. - Marcus stanął za jej plecami. Lewą rękę położył na jej ramieniu, a prawą pomógł założyć strzałę na cięciwę.

Keelin była teraz tak blisko, że czuł jej świeży zapach. Zadrżała, ciałniej więc objął ją ramionami.

- T... tak dobrze? - zapytała niemal bez tchu.

- O wiele lepiej - wyszeptał Marcus prosto do jej ucha.

- A strzała? Tak ją...

- Zaczekaj. Zaraz ci pokażę. - Odwrócił ją bokiem do drzewa, na którym Dob zawiązał jasną wstążkę, i wskazał zupełnie inny cel.

- Widzisz tę młodą brzozę z przegiętym pniem?

- Tak. - Odpowiedź Keelin była ledwo słyszalna wśród odgłosów lasu. Marcus domyślał się, że jej zakłopotanie nie było wywołane tremą przed nauką.

- Spróbuj w nią wycelować. Keelin sztywno uniosła łuk.

- Rozluźnij się - poradził Marcus. - W tej chwili sama przypominasz cięciwę.

Skinęła głową niczym drewniana lalka, ale poza tym w jej postawie nic się nie zmieniło.

- Ugnij kolana, kochanie - szepnął. - Lekko rozluźnij ramiona.

Jeżeli nawet usłyszała, że powiedział do niej „kochanie”, to w żaden sposób nie dała tego poznać po sobie. Z zapałem wypełniała wszelkie polecenia. Uginała kolana i prostowała plecy, przez co jeszcze bardziej do niego przywarła.

Tym razem to Marcus poczuł dreszcz rozkoszy. Niewiele brakowało, a rzuciłby łuk na ziemię, porwał Keelin w objęcia i obsypał pocałunkami. Ale w pobliżu krzatali się myśliwi, a i Dob już spieszył z powrotem w ich stronę.

- Teraz wyceluj - powtórzył Marcus chrapliwym szeptem. - Uważaj tylko, żeby przypadkiem nie pognieść palcami upierzenia strzały.

Keelin ostrożnie zmieniła ułożenie dłoni i znowu uniosła łuk.

- Napnij cięciwę - powiedział Marcus i pomógł jej wycelować. - A teraz strzel.

Keelin zwolniła cięciwę i spojrzała na lecącą strzałę. Przez ten czas nie poruszyła się ani trochę. Nie musiała czekać zbyt długo. Po chwili strzała z cichym stukiem utkwiała w pniu drzewa. Dziewczyna opuściła ręce, odwróciła się i z przejęciem spojrzała na Marcusa.

Jej usta znalazły się tuż przy jego twarzy. W zielonych oczach, okolonych czarnymi rzęsami, zamigotał błysk podniecenia.

- Wspaniały strzał, milady! - z uznaniem zawołał Dob, który zdążył już wrócić.

- Dziękuję, Dob - odpowiedziała Keelin, nie odrywając oczu od Marcusa. - Twoja kolej - dodała ze śmiechem.

Marcus z trudem nabrał powietrza w płuca.

Kawalkadą wjechali na dziedziniec Wrexton. Stajenni rzucili się, by przytrzymać konie, służba zajęła się ściąganiem upolowanej zwierzyny i ptactwa z wozów, psy zagoniono do psiarni. Marcus i Keelin poszli za Geraldem, który zabrał sokoły do ptaszarni.

Keelin spędziła wspaniały dzień. Poznała smak polowania, po kilku próbach już całkiem niezłe radziła sobie z łukiem i nie bała się jeździć konno. Prawdę mówiąc, nigdy przedtem w tak krótkim czasie nie doświadczyła tylu przyjemności.

- Pozwolisz, że pomogę ci przy sokołach, Marcusie? - spytała. Była bardzo zmęczona, ale chciała, by ten dzień nigdy się nie skończył.

- Oczywiście - odparł rycerz. - Chociaż prawdę mówiąc, niewiele będzie dla nas do roboty. Gerald starannie obejrzy ptaki, żeby sprawdzić, czy podczas polowania nie doznały jakiegoś uszczerbku. Jeśli nie, to zostawi je na noc na żerdzi. To wszystko.

- Pierwszy raz zdarzyło mi się polować z sokołami - przypomniała mu Keelin. - To dla mnie wielki zaszczyt. Chciałabym zatem zostać z nimi do samego końca i przed snem powiedzieć im „dobranoc”.

Marcus spoglądał na nią w taki sposób, jakby w ogóle nie myślał o ptakach i polowaniu. Keelin musiała się dobrze pilnować, aby nawet

najmniejszym gestem nie zdradzić, że to dostrzega. Kosztowało ją to wiele wysiłku, ale nie mogło być inaczej, jeśli naprawdę chciała wkrótce wyjechać z Wrexton.

- Będiesz je teraz karmił, mistrzu Geraldzie? - spytała. Musiała odchrząknąć, żeby móc się odezwać. Odwróciła się tyłem do Marcusa i poszła za sokolnikiem w najdalszy zakątek ptaszarni.

- Nie, milady - odparł Gerald. - Najadły się już dosyć. Ale, za pozwoleniem, możesz zdjąć smycz z nóg Gwin?

- Z wielką ochotą - odparła Keelin. Ucieszyła się, że ma okazję czymś się zająć.

Marcus przyniósł lampę, żeby im poświecić. Znowu stanął tak blisko, że Keelin zadrżała i przez chwilę nie mogła sobie poradzić z maleńką sprzączką.

- A to uparty drobiazg! Poczekaj, Gwin, już mi się udało.

Sokolica powoli przeszła na żerdź, nastroszyła pióra i przysiadła spokojnie.

Isolda czekała na nich w wielkiej sali. Służba zabrała płaszcze i podała kielichy z grzanym winem. W kominku płonął ogień, w zamku było więc ciepło i przyjemnie.

Marcus z pewnością cieszyłby się z takiego powrotu do domu, gdyby nie obecność kasztelanki. Zauważył, że Keelin czuła się nieswojo w towarzystwie Isoldy.

Nigdy nie zrozumie kobiet, pomyślał Marcus. Dobrze przynajmniej, że ostatnio zacząłem sobie z nimi jakoś radzić. To zasługa Keelin. Od czasu gdy ją poznałem, mniej się jąkam i mniej czerwienię. Ciekawe.

Gwar głosów wyrwał go z zamyślenia. Odwrócił się i zobaczył trzech swoich rycerzy, nadchodzących z drugiego końca sali. Na przedzie kroczył sir William, a z tyłu dwaj, których wysłał rankiem na patrol wzdłuż granicy posiadłości.

Nowo przybyli skłonili się z szacunkiem i pozdrowili obie damy.

- Coś nowego, Will? - zapytał Marcus. Rycerz pokręcił głową.

- Nie, milordzie - odparł. - W najbliższej okolicy nie kręci się nikt obcy, z wyjątkiem dwóch lub trzech wędrownych handlarzy.

Co prawda, Marcus chciałby jak najprędzej rozprawić się z Celtami, których słusznie obwinał o śmierć ojca, ale z zadowoleniem przyjął oświadczenie, że na jego ziemiach panuje spokój. To dawało

mu więcej czasu na właściwe przygotowania - i większe szanse na zwycięstwo w przypadku nagłego ataku.

- To świetnie! - zawołała Isolda. Wszyscy spojrzeli na nią ze zdumieniem. Miała błyszczący wzrok, jakby wypita nieco za wiele grzanego wina. Nerwowym ruchem wygładziła spódnicę i z uśmiechem zwróciła się do Keelin: - Nie wątpię, pani, że zechcesz się przebrać przed wieczerzą. Tu, na zamku Wrexton, nie zwykliśmy siadać do stołu w takich łańkach.

Keelin zbladła jak ściana. Wszyscy zamilkli z osłupieniem, nie wierząc własnym uszom. Marcus oniemiał. Jak można było tak obrazić kogoś, kto był jego gościem i w dodatku tyle bezinteresownie zrobił dla Adama?

Keelin powoli odstawiła kielich. Wyraźnie nie wiedziała, co odpowiedzieć na tę zniewagę, okraszoną fałszywym uśmiechem. Marcus szybko stanął tuż koło niej, żeby przypadkiem nie uciekła. Posepnie spojrział na Isoldę i przemówił nakazującym tonem, jak prawdziwy pan zamku.

- Strój lady Keelin w najmniejszym stopniu nie powinien cię obchodzić, pani, bowiem na czas wieczerzy udasz się do komnaty Adama. Będziesz go tam pilnować. Jeśli zaś o nas chodzi, to nie zwykliśmy zwracać uwagi na to, jak kto jada. Jesteśmy u siebie w domu, a nie na królewskim dworze.

- Ależ milordzie...

- Na przyszłość proszę cię, byś panowała nad swoim językiem, kiedy się zwracasz do moich gości, Isoldo - dodał. - Dopóki pozostaniesz w zamku, nie chcę więcej być świadkiem takiego zachowania.

Znowu zapadła cisza. Marcus wziął Keelin pod rękę, skinął głową rycerzom i skierował się w stronę schodów. Wprawdzie nie wiedział, co sprawiło, że w ten sposób odezwał się do Isoldy, lecz wcale tego nie żałował. Nikomu nie mógł pozwolić na taką obcesowość, o włos graniczącą z jawną wrogią.

Isolda miała doprawdy wiele szczęścia, że brzydził się przemocą wobec kobiet.

Keelin szła po schodach dumnie wyprostowana, niczym irlandzka księżniczka, którą w istocie była. Nie odezwała się ani słowem, dopóki nie znaleźli się przed drzwiami komnaty Adama. Dopiero

wówczas spojrzała na Marcusa. Oczy miała zaczerwienione, zniknęła jej pewność siebie.

- Chciałabym... chciałabym, żeby tu przyniesiono mi wieczerzę. Zjem z Adamem, tak jak mu obiecałam.

- Zjesz ze mną - łagodnie powiedział Marcus. Delikatnie pogładził ją po policzku i odsunął z jej czoła kosmyk ciemnych włosów. Słowa Isoldy dotknęły go do żywego, więc podziwiał Keelin za to, że zniosła to tak dzielnie. - Nie gustuję w wykwintnych strojach - dodał. - Ty dla mnie jesteś najważniejsza.

- Marcusie - Keelin cofnęła się pod ścianę - nie chcę, aby z mojego powodu doszło między wami do nieporozumienia. Wkrótce wyjadę z Wrexton, a Isolda...

Marcus nie pozwolił jej mówić dalej. Zawahał się tylko przez moment, po czym pocałował Keelin. Przez cały dzień czekał na tę właśnie chwilę.

Trwali złączeni w namiętym uścisku. Nagle Keelin odsunęła się i potrząsnęła głową.

- Nie, Marcusie - szepnęła. Głęboko zaczerpnęła tchu, chcąc się uspokoić. - To co do ciebie czuję... - Urwała i znów zaczęła: - Nie ma znaczenia, co się ze mną dzieje. - Samotna łza spłynęła jej po policzku. - Błagam! - krzyknęła, odwróciła się i uciekła do swojej komnaty.

Marcus stał na galerii i w milczeniu spoglądał za Keelin. Zachodził w głowę, dlaczego zaczęła płakać. Przecież on chciał jej tylko objawić siłę swoich uczuć. Była mu przeznaczona. Już wiedział, że ze wszystkich kobiet na świecie pragnie wyłącznie tej jednej, Keelin O'Shea.

Zmęczonym ruchem przesunął dłonią po twarzy. Nie pora na rozważania o miłości i ślubie, kiedy ciało El - dreda ledwie spoczęło w grobie, pomyślał. Miał jednak świadomość, że ojciec wcale by go za to nie potępił. Przez całe lata czekał, aż syn wreszcie dojrzeje do małżeństwa i znajdzie sobie odpowiednią żonę, którą pokocha namiętnie i szczerze, tak jak on kochał swoją Rhianwen.

Znalazłem tę właściwą, kobietę na całe życie, uznał Marcus. A skoro tak, to na pewno nie oddam jej bez walki.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Keelin otarła łzy z oczu i popatrzyła na siebie. Miała na sobie brązową suknię do konnej jazdy - tę samą, w której wyjechała na polowanie. Strój był czysty i schludny. Nie widziała w nim nic niestosownego.

Rzecz jasna, takie suknie na pewno wyszły już z mody i nie nadawały się na ucztę w zamku earla. Był to raczej praktyczny ubiór podróży, nadający się - jak to sprawdziła - także na polowanie. Nie włożyłaby przecież lepszej sukni, żeby później przedzierać się w niej przez lasy i chaszcze nad jeziorem albo siadać na ziemi.

Płaczliwie pociągnęła nosem i znów przetarła dłonią oczy. Suknia była najmniejszym zmartwieniem.

Cóż bowiem miała począć z Marcusem? Przecież oboje dobrze wiedzieli, że musi wrócić do Kerry. Teraz, po śmierci Cormaca, była potrzebna klanowi bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

A poza tym w Irlandii czekał mężczyzna, któremu została przyrzeczona. Keelin nie miała nawet najmniejszych wątpliwości co do tego, że ojciec wybrał jej młodego, wspaniałego wodza. Ślub z nim także uważała za swój obowiązek. Klan Ui Sheaghda musiał szybko znaleźć sobie bitnych sojuszników, jeśli chciał stoczyć zwycięską walkę z podstępными Mageanami.

W tej sytuacji jej uczucia się nie liczyły. Postanowiła, że do końca pobytu w Anglii będzie unikać Marcusa. Doskonale zdawała sobie sprawę, że nie będzie to łatwe, lecz nie widziała innego wyjścia. Musiała mu wyraźnie dać do zrozumienia, że nie pragnie jego pocałunków... ani niczego innego.

Ogień w kominku już prawie wygasł. Keelin dorzuciła kilka polan. Domyśliła się, że to Isolda zabroniła służbie wchodzić do jej komnaty. Od dnia, w którym przybyła do Wrexton, zdążyła się przekonać, że wszyscy zatrudnieni w zamku bardzo starannie wypełniają swoje obowiązki.

W gruncie rzeczy po cichu podziwiała kasztelanę za upór, z jakim usiłowała się jej pozbyć. Rzeczywiście jestem dla niej zagrożeniem, pomyślała. Do tej pory Isolda cieszyła się spokojem i poważaniem. Musiałaby się usunąć w cień, gdyby earl wziął sobie żonę. Dlatego pewnie chciała, by Marcus był jak najdłużej kawalerem.

Keelin westchnęła znowu. Doszła do wniosku, że powinna dać znać Isoldzie, że jej pozycja nie jest zagrożona. Może wtedy zostawi mnie w spokoju?

- Niemożliwe! - rzekł z zadziwieniem Tiarnan, kiedy Marcus z dumą opowiedział mu o tym, jak Keelin zachowała się na polowaniu. Mówił ściszym głosem, by przypadkiem nie zbudzić Adama, lecz widać było, że się bardzo cieszy z sukcesów swojej bratanicy. - Nauczyłeś ją strzelać z łuku?

Marcus uśmiechnął się.

- Owszem - przyznał z zadowoleniem. - Jeśli poćwiczysz jeszcze trochę, to stanie się prawdziwą mistrzynią.

- Jest wysoka i silna - podkreślił starzec.

To prawda, pomyślał Marcus. Była odpowiedniego wzrostu. A do tego jej oczy, włosy i uśmiech... Miała miękkie, kobiece ciało, ale emanowała z niej niespożyta energia i siła.

- Co z sokołami? - zapytał Tiarnan. - Mój brat nigdy nie pozwalał jej wchodzić do ptaszarni, ale dziewczyny nie udało się całkiem powstrzymać. Gdy tylko mogła, zakradała się tam po cichu.

- Potrafi sobie z nimi świetnie radzić - odparł Marcus. - Jakby się wręcz do tego urodziła.

- No właśnie! - triumfował Tiarnan. - Eocaidh nie potrafił się na niej poznać. Gdyby tylko...

Marcus zmarszczył brwi.

- Czy Keelin często kłóciła się z ojcem? - spytał, chcąc dowiedzieć się o niej jak najwięcej.

Tiarnan westchnął i pokręcił głową.

- Niełatwo na to odpowiedzieć. Musiałbyś znać mojego brata. To był prawdziwy wódz. Nie dbał o siebie, lecz wyłącznie o pomyślność klanu.

Marcus lepiej rozumiał teraz, skąd się brała obowiązkowość Keelin. Z domu ojca wyniosła poczucie rodowej więzi. Z tego co zdołał wcześniej zauważyć, przedkładała je nawet ponad własne dobro. Nie pochwalał jednak metod Eocaidha.

- Klan przede wszystkim - ciągnął starzec. - Mój brat gotów był poświęcić przyszłość własnej córki. - Umilkł i rzucił jakieś irlandzkie przekleństwo.

- Opowiadałeś mi kiedyś o jej bracie, Brianie.

- Och, tak, Brian - mruknął Tiarnan. - Eocaidh pokładał w nim wielkie nadzieje. Kiedy zginął w odmętach rzeki, mój brat stracił wszystko, co kochał na tym świecie.

- A Keelin?

- Rok trwało, zanim Eocaidh doszedł do wniosku, że powinien poświęcić jej więcej uwagi. Uznał wreszcie, że to właśnie od niej zależą sojusze klanu. Zaczął rozglądać się za odpowiednim mężem.

Chwilę trwało, zanim Marcus odzyskał zdolność mówienia, zebrał się na odwagę i spytał:

- I... znalazł?

- Tak - sucho odparł Tiarnan. - Wstępny kontrakt został zawarty i narzeczony wciąż na nią czeka.

W czasie pobytu na zamku Wrexton zdrowie Tiarnana uległo wyraźnej poprawie. Wygody, z jakich korzystał, i brak większych zmartwień sprawiły, że kaszał coraz rzadziej i już nie tak ciężko.

Poczytywał to za prawdziwy cud i z wolna odzyskiwał nadzieję, że może jeszcze trochę pożyje.

Zżymał się tylko, że nic nie widzi. Wciąż musiał wsłuchiwać się w głos mówiącego i szukać znaczenia w każdej zmianie tonu, przerwie i każdym westchnieniu, by poznać jego nastrój. To było bardzo męczące.

Młody earl nie zabawił długo. Sprawdził, co z Adamem, wezwał służbę do dalszej opieki i pomocy. Na sam koniec kazał odprowadzić Tiarnana do jego komnaty. Potem odszedł, chyba do siebie, by w spokoju przemyśleć wszystko, co usłyszał.

Tiarnan też zastanawiał się nad tą rozmową. Marcus de Grant potrafił skrywać swoje uczucia, lecz nie wystarczająco dobrze dla wprawnego ucha. Starzec od razu zauważył, jak wielkie wrażenie wywarła na nim wiadomość o narzeczonym Keelin. Może więc tutaj kryje się nadzieja? - dumiał.

Od dnia spotkania z Anglikami w leśnej chatce z uwagą śledził wszystko, co się działo wokół. Zdążył już poznać większość mieszkańców Wrexton i doszedł do słusznego wniosku, że jego bratanicy byłoby tu dobrze. Nie musiał nawet uciekać się do wizji, by wiedzieć, że w Carrauntoohil czekają na Keelin tylko ból i rozczarowanie. Jeśli Fen McClancy wciąż chodził po tym świecie, to bez wątplenia miał zamiar wyciągnąć po nią swoją brudną łapę.

Pewnie marzyli mu się potomkowie, którzy na zawsze mieli złączyć rody McClancy i O'Shea.

Jeśli zaś umarł, to członkowie klanu Ui Sheaghda uznają Keelin za wyrocznię - coś na kształt wiedzy u dawnych druidów. Tiarnan przeżegnał się zamasyście przy tej myśli. Tak czy owak, dziewczyna całkiem się zmarnuje. Nic tam po niej. Niech lepiej zostanie tutaj i cieszy się życiem.

Tam czekała ją tylko wojna. Stałaby się bezwolnym narzędziem w rękach starszyny klanu. Symbolem władzy. Nikt by w niej nie dostrzegał młodej kobiety, pełnej skrywanych uczuć, tęsknot i pragnień.

Tak. Tiarnan też chciał, by jego krewnym wiodło się jak najlepiej. Miał obowiązek zwrócić bratanicę i świętą włócznię do Carrauntoohil. Nie mogło się to jednak odbyć kosztem szczęścia Keelin. Nie za cenę jej całego życia. Ród O'Shea poradzi sobie bez jej wizji. A może znajdą kogoś innego, kto z pożytkiem dla całego klanu też posiadzie moc Ga Buidhe an Lamhaigh?

Tiarnan podjął już decyzję, chociaż przyszło mu to z wielkim trudem. Zbudził drzemiącego sługę i powiedział mu, że sam też chciałby się położyć. Wątpił jednak, czy uda mu się zasnąć tej nocy.

Nowy ranek wstał cieplejszy, lecz sypnęło śniegiem. Biały kobierzec pokrywający pola sięgał przechodzącym aż do kostek. Keelin z zachwytem spoglądała przez okno swojej komnaty, chociaż zdawała sobie sprawę, że to znacznie utrudni podróż.

Poczuła, że niedługo wydarzy się coś złego. Zimny dreszcz strachu przebiegł jej po plecach. W pobliżu czaiło się niebezpieczeństwo. Ale jakie? Przecież chyba nie Mageeanowie. Baliby się zaatakować Wrexton. Nie byli aż tak odważni ani głupi, pomyślała.

Zatem cóż to mogło być takiego?

Pora działać, westchnęła z ciężkim sercem. Jednak zdawała sobie sprawę, że jeśli teraz dotknie świętej włóczni, to wyczerpana wizją pozostawi Adama bez opieki na cały dzień. Trudno. Chłopiec, choć powoli, wracał do zdrowia, a ona przecież musiała wiedzieć, jaka groźba zawisła nad zamkiem.

Podeszła do łoża, odwinęła siennik i zawahała się przez moment. Zawsze się bała dotknąć Ga Buidhe an Lamhaigh. Ciężkim wzrokiem

patrzyła na ukrytą w skórzanym pokrowcu włócznię. Najwyraźniej nikt jej nie ruszał, bo leżała w tym samym miejscu, co przedtem.

Ktoś nieśmiało zapukał do drzwi. Keelin drgnęła, szybko wyrównała siennik i poszła otworzyć.

- Bardzo przepraszam, lady Keelin - powiedziała młoda pokojówka. - Nigdy nie ośmieliłabym się przeszkadzać, ale... - Dziewczyna niespokojnie spoglądała za siebie, w głąb mrocznej galerii.

- Wcale mi nie przeszkadzasz, Lizzie - zapewniła ją Keelin. - O co chodzi?

- O dziecko mojej siostry - wyjaśniła Lizzie. - Mała dostała dreszczy i codziennie jest z nią gorzej. Boimy się, że... że...

- Chcesz, żebym ją zobaczyła?

- Och, milady! - z wdzięcznością zawołała dziewczyna. - Zrobiłabyś to z łaski swojej?

- Oczywiście - odpowiedziała Keelin. Wprawdzie wolałaby zostać sam na sam ze świętą włócznią, lecz były przecież ważniejsze sprawy. - To dla mnie żaden kłopot. Gdzie jest dziecko?

- Na dole, w spiżarni, z matką - odparła pokojówka. - Jeśli pozwolisz za mną...

Spiżarnia okazała się małą schludną izbą, przylegającą do kuchni. Panowało w niej przyjemne ciepło od kuchennego pieca. Na półkach rozmieszczono zapasy, worki z ziarnem i przyprawami, olej i mąkę. Pod ścianami pyszniły się pękate beczki pełne warzonego piwa.

Keelin od razu usłyszała chrapliwe sapanie.

- Och, milady, jak to dobrze, że do nas zajrzałaś! Dziękuję. Zupełnie straciłam głowę. Nie wiem, co począć. Peg jest taka chora.

Keelin położyła rękę na plecach niemowlęcia.

- Przez cały czas tak głośno sapie? - spytała.

- Nie, przez dwa dni miała potworny kaszel. Dopiero dzisiaj, tuż po północy, zaczęła charczeć. Potem przyszła gorączka. Od samego rana ani razu nie otworzyła oczu.

Łzy płynęły ciurkiem po twarzy młodej matki. Keelin mogła bez wahania stwierdzić, że stan dziecka jest bardzo poważny. Niedobrze, że niemowlę tak długo pozostawało w omdleniu. Całe było rozpalone, a sapanie zdawało się przybierać na sile przy każdym oddechu.

Keelin nie była pewna, czy zdoła uratować dziewczynkę. Pomoc mogła okazać się spóźniona.

Postanowiła jednak spróbować.

- Możesz mi oddać ją na chwilę? - spytała, głaszcząc małą po złocistych włoskach.

- Ależ tak.

Wraz ze śmiercią Eldreda obowiązki earla i kasztelana przeszły na Marcusa. Na szczęście mieszkał we Wrexton przez pięć lat, od czasu gdy zamek trafił w ręce de Grantów. Miał więc czas, żeby nauczyć się wszystkiego, co teraz mogło mu się przydać. Wiedział, co powinien robić i czego oczekiwać w zamian.

Niedługo powinien objechać całe włości i dać się lepiej poznać swoim lennikom. Na razie miał jednak o wiele pilniejsze sprawy do załatwienia na miejscu, w zamku Wrexton.

Cały ranek spędził z rajcami pobliskiego grodu. Zabrał ze sobą rządcę i - nie bacząc na śnieg - już o świcie wyjechał za mury. Zanim wrócił, słońce stało już wysoko na niebie. Śnieżna biel połyskiwała złotymi plamkami.

Było pięknie - nawet za pięknie - jak na poważną rozmowę z Isoldą. Marcus wolałby nieco posepniejszą scenerię. Nie mógł jednak tego odkładać w nieskończoność. Musiał z nią wyjaśnić i ustalić pewne sprawy, i to jak najszybciej.

Kiedy znalazł się w wieży, od razu skierował się do kuchni. Myślał, że znajdzie tam Isoldę, jak zwykle wściekłą na kucharzy i służbę.

Chciał z nią pomówić teraz, zanim znowu ktoś przez nią będzie musiał płakać. Zamierzał stanowczo zabronić jej wszelkich złośliwości wobec Keelin. Wierzył, że uda mu się zachować spokój a zarazem zdecydowanie, tak jak by to uczynił Eldred.

Szybko uczył się swojej roli. Wszyscy dokoła wystawiali go na niejedną próbę - od wójta, po zarządcę Wrexton. Przekonywali się, że jest rozumny, wymagający i sprawiedliwy jak jego zmarły ojciec, i dochodzili do wniosku, że nie warto mu się sprzeciwiać.

Marcus wszedł do kuchni tylnymi drzwiami i ze zdumieniem rozejrzał się po niemal pustym wnętrzu. Zauważył kilku służących pogrążonych w przedziwnej beczynności. Zwykle kuchnia tętniła życiem. Wszak na zamku przebywało stale dużo ludzi, których trzeba było nakarmić.

Pojawił się kucharz.

- Co się stało? - zapytał groźnie, przekonany, że to znów sprawka Isoldy. - Dlaczego nic nie robicie?

- To przez tę małą córeczkę Annie - odpowiedział kucharz. - Dziecko zachorowało.

- Annie? - powtórzył Marcus. - Chodzi o żonę Johna? - Dobrze pamiętał ich ślub, mniej więcej sprzed roku. Eldred jak zwykle skorzystał z okazji, aby wypomnieć synowi, że nadal pozostaje w beżennym stanie.

Wkrótce potem Annie zaszła w ciążę i po jakimś czasie paradowała z wielkim brzuchem. Eldred zabronił jej podejmowania wszelkich cięższych robót.

Kilka tygodni temu Eldred de Grant posłał jej mały podarek z okazji chrzcin córeczki.

- Tak, milordzie - potwierdził kucharz. - Jest teraz z nią lady Keelin. Próbuje uratować małą.

Marcus pokiwał głową. To wcale go nie zdziwiło. Zauważył już wcześniej, że Keelin pozostawała w dobrej komitywie ze służbą. Cieszyła się ogromnym szacunkiem, bez niepotrzebnej poufałości. To ją wyraźnie odróżniało od Isoldy Coule.

- Gdzie one są?

Kucharz wskazał na drzwi ruchem głowy.

- W spiżarni, milordzie.

Marcus zatrzymał się na progu i jednym spojrzeniem ogarnął całą scenę. Keelin stała pośrodku izby, odwrócona do niego tyłem.

Włosy miała związane w gruby warkocz, sięgający aż do pasa, i była ubrana w tę samą zieloną suknię, w której widział ją po raz pierwszy. Stanik przylegał ściśle do ciała, a niżej sute fałdy materiału spływały aż do ziemi.

Od drzwi nie było widać, co robiła, ale w powietrzu unosiły się dziwne zapachy. Obłok pary buchał z wielkiej patelni stojącej na stole.

- Weź ją, Annie, i teraz potrzyмай nad patelnią - powiedziała Keelin i odwróciła głowę. Zobaczyła Marcusa i się zarumieniła.

Rycerz przyglądał jej się z zachwytem. Przez krótką chwilę wydawało mu się, że poza nimi w spiżarni nie ma nikogo. Miał ochotę jej dotknąć, z wolna przesunąć palcem po szyi i pocałować w oba ślicznie zaróżowione policzki.

Keelin zatroszczyła się o chore cudze dziecko jak o własne. Postąpiła tak samo z Adamem. W razie potrzeby nie wahała się zakasać rękawów i brać się do każdej pracy, niczym zwykła służąca.

Zawahała się na moment, po czym podeszła do niego i delikatnie wzięła go za rękę.

- Marcusie, wyślij kogoś na górę, żeby sprawdził, co u Adama - poprosiła. - I niech przyniesie moje zioła. Jeśli mam pomóc małej, muszę ich mieć o wiele więcej niż to, co znalazłam w spiżarni.

Marcus wrócił do wielkiej sali, nieco zaskoczony, że jak dotąd nigdzie nie spotkał Isoldy. Wezwał do siebie jedną z pokojówek i kazał jej natychmiast szukać kasztelanki. Powiedział, żeby przyszła do niego, do pracowni.

Wyszedł z sali i skierował się w stronę kaplicy.

Wąskie i kręte schody zawiodły go na piętro wieży, tuż pod blankami. Pchnął drzwi i wszedł do pomieszczenia, które od lat służyło za pokój do pracy wszystkim poprzednim earlom władającym Wrexton.

Komnata wcale nie była mała, bowiem pełniła także funkcję sali narad. Nie przytłaczała jednak swym ogromem. Trudno w niej byłoby odnaleźć choćby najmniejszy ślad kobiecej ręki. Takie typowo męskie otoczenie odpowiadało kasztelanom bywającym tu przed Marcusem.

W pobliżu kominka stał duży mahoniowy stół, a za nim - wygodny fotel z wysokim oparciem. Światło dnia wpadało przez wysokie okna. Wieczorami zapalano lampy oliwne, wiszące nad stołem na dużej żelaznej obręczy. W ich blasku można było swobodnie czytać lub pisać.

Kilka ksiąg, które Eldred przywiózł do Wrexton z posiadłości Northaven, trzymano w bibliotece poprzedniego earla, za grubymi drzwiami i pod kluczem. Księgi były stare, jeśli nie liczyć paru współczesnych woluminów, przepisanych starannie, barwnie ozdobionych i oprawionych w skórę. Marcus podkreślał z dumą, że wszystkie przeczytał.

Czekając na Isoldę, ostrożnie kartkował wielkie tomiszczce, samotnie leżące na stole. To była religijna księga, ostatnio zakupiona przez ojca. Nie zdążył jeszcze doczytać jej do końca przed brzemienną w skutki podróżą do Haverston.

Marcus wzdrygnął się, kiedy spojrzał na kolorową, lecz wstrętą w swej wymowie ilustrację przedstawiającą szatana. Z księgi patrzył

nań obleśnie uśmiechnięty satyr, wsparty nogami o otchłanie piekieł. Obok widniała przywiązana do pala, płonąca czarownica.

Zatrzasnął księgę bez poszanowania należnemu jej wielkiej wartości. Nie chciał oglądać ciemnowłosej wiedźmy wydanej na pastwę płomieni. Nie chciał myśleć o czarach i diabłach.

Wciąż pod wrażeniem tego, co zobaczył, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Ciemne chmury nisko pędziły po niebie i znów zbierało się na śnieżyce.

Gdzie jest Isolda? - pomyślał ze zniecierpliwieniem.

Nie musiał dłużej się zastanawiać, co jej powiedzieć. Plan był jasny. Teraz pozostawało mu już tylko znaleźć jej odpowiedniego męża, najlepiej z własnym majątkiem lub zamkiem.

O wiele bardziej ciekawiło go, czy Tiarnan O'Shea zna plany bratanicy. Czy wiedział, że Keelin już niedługo zamierza wracać do Irlandii? Że pozostanie sam, w dodatku niewidomy, tutaj, we Wrexton, wśród obcych, zdany na ich opiekę?

Marcus nie uważał Tiarnana za obcego; darzył go szacunkiem i zaufaniem.

Wrócił do stołu i otworzył opasłą księgę. Przerzuczał kartki, aż znalazł tę rycinę, która przedtem go tak poruszyła. Przeczytał opis. Chwilę później siedział w fotelu i z przejęciem czytał o zwyczajach wiedźm, strzyg i wilkołaków.

Kiedy skończył, był wstrząśnięty tym, czego się dowiedział. Ale przynajmniej nabrał przekonania, że Keelin nie jest czarownicą.

Nie wyobrażał sobie, żeby mogła zabić dziecko, by poświęcić je na ofiarę. Sam widział przecież, z jaką troską zajmowała się rannym Adamem i chorą córeczką Annie. Modliła się zapewne częściej od niego, w razie potrzeby wzywała irlandzkich świętych, nie dopuściła się bluźnierstwa ani świętokradztwa i nie zbezcześciła eucharystii. Za to uczestniczyła we mszy.

- Lordzie Marcusie?

- Wejść - mruknął pogrążony w myślach.

W progu stanął jeden ze służących. Powiadomił go, że w całym zamku nie można znaleźć lady Isoldy Coule.

- Zamieć staje się coraz gorsza, milordzie - dodał na koniec. - Na zamku stanął baron Albin Selby z rodziną. Byli w drodze, gdy zaskoczyła ich śnieżyca. Proszą o nocleg i strawę.

Marcus poznał Selby'ego przed paroma laty, ale się z nim nie zaprzyjaźnił. Wrexton było znane ze swojej gościnności. Nie powinno to się zmienić wraz ze śmiercią Eldreda.

- Wskaż im komnaty, Mathiew, i dopilnuj, żeby niczego im nie zbywało.

- Tak jest, milordzie - odpowiedział służący i odwrócił się, żeby odejść. - Aha, lordzie Marcusie, są jeszcze inni. Kilku rycerzy, wędrowni kupcy, wolni kmiecie.

- Znajdzie się miejsce dla wszystkich. Mniemam, że zapasów też nam nie zbraknie. Niech przyjezdni staną w wielkiej sali.

Wstał i poszedł w ślad za sługą w stronę schodów.

Chciał zobaczyć ludzi przybyłych na zamek. Ostrożności nigdy za wiele, uznał.

- Mathiew, poślij kogoś po sir Roberta - polecił. - Niech do mnie dołączy.

Wolał zbytnio nie ryzykować. Kilku rycerzy z Wrexton miało zawczasu czuwać w wielkiej sali, póki śnieżycy nie zmaleje. W gruncie rzeczy nie podejrzewał nikogo ze swoich gości o nieczyste zamiary, pamiętał jednak, że zwyczajna nuda i nadmiar wypitego piwa mogą zmienić we wrogów nawet najlepszych przyjaciół.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

W ciągu dnia pogoda uległa znacznemu pogorszeniu. Wiatr ostro hulał po murach i blankach, z gwizdem wpadając na dziedziniec. Nawet konary wiekowych drzew trzeszczały w jego podmuchach. Coraz więcej złamanych gałęzi czerniło się na białym śniegu. Przed wieczorem zaczął padać deszcz ze śniegiem przechodzący w gęstą śnieżycę.

Rzeka, płynąca tuż pod murami Wrexton, zwolniła biegu, wstrzymywana przez groźne lodowe zatory. Czegoś takiego nie widziano w zamku co najmniej od dekady. Ale też tegoroczna zima zapowiadała się bardzo groźnie. Starcy już dawno przewidzieli zamieć. Niektórzy z nich twierdzili nawet, że pierwsze oznaki mrozów dało się odczuć dawno, zaraz po ostatnich zbiorach.

Pod koniec dnia na zamek ściągnęli kolejni wędrowcy, zmęczeni i przemarznięci. Szukali bezpiecznego schronienia w ciepłych komnatach Wrexton. Marcus przyjmował ich bez wahania, świadom, że za murami mogą oczekiwać jedynie śmierci.

Nikt ze służby nie utyskiwał na dodatkową pracę, chociaż każdemu przybyło obowiązków. Wszyscy myśleli tylko o jednym - o chorym dziecku Annie.

Keelin modliła się o zdrowie niemowlęcia, nie ustając w zabiegach mających przywrócić maleństwu zdrowie. Wzięła dziecko na ręce i odesłała młodą matkę do męża, na krótki wypoczynek. Przez parę ostatnich dni żadne z nich nie spało.

Niemowlę oddychało ciszej, bowiem Keelin trzymała je w ten sposób, żeby się nie męczyło. Wydawało się nieco spokojniejsze niż przedtem. Aromatyczne zioła, prażone na patelni, zrobiły swoje. Na wszelki wypadek Keelin roztopiła masło, wysmarowała nim pierś dziecka i dla pewności trzykrotnie uczyniła znak krzyża. Teraz pozostawało już tylko czekać.

- Jak ona się czuje? - zapytał Marcus.

Keelin drgnęła i uniosła głowę. Nie słyszała, jak wszedł do spiżarni.

- Chyba odrobinę lepiej - odpowiedziała.

- Musisz być bardzo zmęczona - zauważył. Oderwał się od drzwi i podszedł bliżej.

- To prawda - westchnęła Keelin. - Siedzę tutaj już od ładnych paru godzin. Przez ten czas przeżyłam prawdziwą wojnę nerwów.

Chyba wiesz, o czym mówię. Nie byłam pewna, czy zrobiłam wszystko, co potrzeba. A jeśli zapomniałam o czymś bardzo ważnym? A może czegoś nie dopilnowałam?

- Cokolwiek się stanie...

- Nawet tak nie mów, Marcusie - zaprotestowała stanowczym tonem. - Nie lubię słuchać o tym, co „mogło być”, a co „nie mogło”.

Marcus pogładził ją po policzku i delikatnie ujął pod brodę.

- Zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy - zapewnił.

- A teraz daj, ja potrzymam małą, a ty choć trochę rozprostuj ramiona.

- Naprawdę zrobisz to, Marcusie? - zapytała mile zdziwiona.

- Oczywiście - odparł. - Czekam.

Trochę niezgrabnie wziął od niej maleństwo, lecz zaraz uniósł je i oparł sobie na ramieniu. W ten sam sposób na pewno będzie kiedyś piastował własne dzieci, z rozrzewnieniem pomyślała Keelin. A wśród nich - piękną córeczkę o blond włosach. Taką samą jak Peg.

Keelin odwróciła się szybko i zaczęła przestawiać naczynia. Choć na chwilę musiała czymś zająć myśli i ręce. Na płacz jej się zbierało, kiedy wyobraziła sobie, jak będzie się zajmował swoimi dziećmi, podczas gdy ona będzie w Kerry.

Do tej pory skupiała się na planowaniu podróży. Nie chciała myśleć o chwili, gdy na zawsze opuści Wrexton... i Marcusa. Teraz jednak wszelkie wybiegi na nic się zdały. Bolesnie uświadomiła sobie, że będzie jej bardzo ciężko rozstać się z Marcusem.

Nigdy dotąd nie zawahała się przed spełnieniem spoczywających na niej obowiązków. Nawet wtedy, kiedy musiała porzucić bliskich i ojczyznę, zrobiła to w jednej chwili, bez zbędnych pytań czy wątpliwości. Teraz jednak coś się zmieniło. Pierwszy raz w życiu nie czuła się w pełni związana z klanem Ui Sheaghda.

- Keelin?

Zamrugnęła powiekami i ukradkiem otarła łzy, gromadzące się w kącikach oczu. Powoli odwróciła głowę i przez ramię spojrzała na Marcusa.

- Ja tylko...

- O co chodzi? - zapytał earl, marszcząc brwi z niekłamaną troską. - Czy się martwisz?

- Nie, Marcusie - odpowiedziała różnym tonem i zabrała ze stołu patelnię wypełnioną wodą. - Otwórz mi drzwi, żebym mogła to wylać, dobrze?

- Najpierw mi szczerze powiedz, co cię trapi.

- Tylko ta mała. Boję się, że...

- Odstaw patelnię, Keelin. Może poczekać. Akurat ty nie musisz kłopotać się sprzątaniami. Odpocznij, przynajmniej teraz, póki tu jestem. Za moment pójdę do wielkiej sali, gdzie czeka na mnie tłum nieproszonych gości. Śnieżyca zagoniła tutaj i szlachtę, i włóczęgów. Ktoś musi się nimi zająć, a wypada, żeby gospodarz się pokazał.

Keelin posłusznie odstawiła patelnię na stół. W głowie kłębiło jej się od natłoku myśli. Usiłowała jakoś nad nimi zapanować, by nie popaść w rozpacz. Wolałaby więcej nie spoglądać w przyszłość. Nie chciała korzystać z „daru”, który jak dotąd nic jej nie przyniósł poza cierpieniem i zgryzotą - i uczynił z niej zakładniczkę klanu.

To było za ciężkie brzemie.

A gdzież w tym wszystkim było miejsce na jej własne pragnienia? Na uczucia, które musiała ukrywać? To nie miało żadnego znaczenia? W ogóle się nie liczyło? A gdyby tak zechciała związać się, na przykład, z Marcusem de Grantem i bez wahania przyjąć jego opiekę i miłość?

- Oboje mamy wiele do zrobienia, Marcusie. Lepiej... lepiej będzie, jeżeli teraz zajrzę do Adama - powiedziała. - Nie byłam przy nim od dawna, na pewno więc zachodzi w głowę, co się ze mną stało.

Zanim Isolda weszła do wielkiej sali, goście już byli nakarmieni. Usadowili się wygodnie, by w cieple przetrwać noc i bezpiecznie doczekać świtu. Rodzina Selbych - baron Albin, jego żona i dwie córki - przeniosła się do wyznaczonych komnat w południowej wieży. Marcus zwolnił kroku na widok Isoldy. Wciąż pamiętał o czekającej ich rozmowie. Teraz jednak nie miał na nią najmniejszej ochoty. Rano będzie dość czasu, pomyślał i skierował się do komnaty zajmowanej przez Adama.

Tiarnan siedział przy zasypiającym chłopcu. Bez wątplenia znów prawił mu o swojej młodości i o zamierzonych, legendarnych czasach, kiedy Irlandia była krainą magii, wróżb i bohaterskich czynów.

Marcus rozejrzał się po komnacie w poszukiwaniu Keelin, lecz jej nie było.

- Chłopak zdrowieje ci z dnia na dzień - cicho powiedział Tiarnan. - Jeszcze trochę i będzie mógł swobodnie siadać, nie odczuwając bólu.

Twarz Adama odzyskała normalny, zdrowy wygląd. Chłopiec oddychał całkiem spokojnie.

Chyba zasnął, pomyślał Marcus. Ostrożnie usiadł na łóżku i położył dłoń na głowie Adama.

- Przeżył naprawdę ciężkie chwile - rzekł Tiarnan.

- Tak, to prawda - westchnął Marcus, wracając myślami do dnia bitwy i wszystkich późniejszych wydarzeń. - Ty i Keelin uczyniliście dla nas tak wiele.

- Nie ma o czym mówić - wpadł mu w słowo starzec. - To był nasz najzwyczajniejszy w świecie chrześcijański obowiązek. Rad jestem, że wszystko poszło jak należy, bez poważniejszych komplikacji. Mam na myśli nie tylko Adama.

- Co to znaczy?

- Keely jest tu bezpieczna - wyjaśnił Tiarnan. - Nie musi się obawiać zbirów Mageeana.

Miał rację. W taką pogodę nikt nie odważyłby się szturmować Wrexton. Zbrojni Marcusa byli gotowi do odparcia każdego ataku. Już wiedzieli, jak sobie poradzić z Mageeanami.

- Pewnie słyszałeś, że twoja bratanica ma zamiar wrócić do Kerry - zagadnął Marcus.

- Podejrzewałem, że wpadła na ten pomysł. Zwłaszcza po tym, jak miała wizję i zobaczyła śmierć Cormaca. Doszła do wniosku, że klan jej potrzebuje.

- Śnieżycy zatrzyma ją tutaj.

- Przynajmniej na pewien czas - zgodził się Tiarnan.

Nieświadomie potwierdził najgorsze obawy Marcusa. Zdawał sobie sprawę, że musi szybko działać, jeżeli zamierza odwieść Keelin od pomysłu powrotu w rodzinne strony. Pograżony w myślach, nawet nie zauważył, że Tiarnan też popadł w zadumę. Dłuższy czas siedzieli w milczeniu. Wreszcie starzec pierwszy przerwał ciszę:

- Cóż, mam nadzieję, że nic jej się nie stanie, kiedy znów dotknie włóczni.

Marcus gwałtownie poderwał głowę i spojrzał na ślepego.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał. - Zasląbnie jak wtedy, gdy ujrzała zabójstwo Cormaca?

- Tak, mój chłopcze - potwierdził Tiarnan. Wyczuł bez trudu, że Marcus zerwał się z miejsca i podszedł do drzwi. - Po każdym kontakcie z Ga Buidhe an Lamhaigh traci przytomność i przez kilka godzin nie może przyjść do siebie. Nie chciałbym, aby w takiej chwili była sama.

Zanim zdążył dokończyć, Marcus już wypadł na korytarz. Tiarnan wygodniej usadowił się w fotelu, przy łożu śpiącego Adama. Miał nadzieję, że dobrze zrobił, popychając młodego earla wprost w ramiona swojej bratanicy.

Czas ucieka, pomyślał starzec. Za dużo bólu na tym świecie. A tam, w Kerry, czekają ją dalsze cierpienia. Pora działać.

Służba prześcigała się, by przygotować kąpiel dla Irlandki. Każdy uważał to za swój przywilej. Keelin przez cały dzień czuwała nad Peg, aż wreszcie dziewczynka zaczęła swobodnie oddychać. Połowa mieszkańców zamku była przekonana, że Keelin posiada dar uzdrawiania. Rodzice Peg uważali ją niemal za anioła, zesłanego z niebios przez Boga.

Keelin marzyła o kąpieli i wypoczynku. Postanowiła nie brać do ręki włóczni. Kontakt z Ga Buidhe an Lamhaigh wymagał dobrej kondycji i siły. Ona zaś po całym dniu była zbyt zmęczona, by podejmować jeszcze jeden tak wielki wysiłek.

Nie opuszczało jej jednak przekonanie, że w pobliżu czai się niebezpieczeństwo. Coś miało się wydarzyć w zamku.

Służba rozpałała ogień i postawiła balię w pobliżu kominka. W komnacie było ciepło i przyjemnie. Keelin powoli rozebrała się i weszła do nagrzanego wody.

Westchnęła z ulgą i wsparła głowę na nieco chropowatych deskach balii.

Balia była dla niej za mała, lecz nie zamierzała narzekać. W ciągu minionych lat nie co dzień miała okazję do gorącej kąpieli. Podejrzewała, że pokojówki skradły kawałek pachnącego mydła z toaletki Isoldy - ale nie będzie im tego wypominać. W gruncie rzeczy nic się nie stało.

Spokojnymi, metodycznymi ruchami namydliła całe ciało. Rozkoszowała się każdą chwilą, nie wiedząc, kiedy znów nadejdzie moment wytchnienia.

Nagle ktoś bez pukania gwałtownie otworzył drzwi komnaty. Keelin zamarła. Marcus był nie mniej zaskoczony od niej i zatrzymał

się na progu. Przez pewien czas żadne z nich nie wykonało najmniejszego ruchu.

Potem Marcus niepewnie dał krok naprzód i drzwi same się za nim zamknęły.

Keelin drgnęła i skrzyżowała ramiona, żeby zasłonić nagie piersi. W takich okolicznościach Marcus nie miał prawa wchodzić do jej komnaty. Żaden mężczyzna nigdy dotąd nie widział jej bez ubrania. Ten przywilej był zastrzeżony wyłącznie dla męża. No... dla przyszłego męża.

Marcus podszedł bliżej.

- Marcusie - szepnęła zmieszana Keelin.

Popatrzył na nią z uwielbieniem. Nie miała siły się bronić; powoli opuściła rękę.

- Jesteś taka piękna - powiedział cicho, podał jej dłoń i pomógł wyjść z balii.

Zalała ją fala uczuć. Nie była przygotowana na to, aby stawić czoło tak wielkim emocjom. Choć jeszcze mokra i nieubrana, wcale nie odczuwała zimna. Wręcz przeciwnie, ciało paliło ją żywym ogniem.

Nie mogła nawet unieść ręki, aby sięgnąć po prześcieradło kąpielowe, starannie przygotowane jej przez pokojówkę. Wpatrywała się w pociemniałe nagle, niebieskie oczy Marcusa.

- Keelin - rzekł z emfazą.

Położył ręce na jej ramionach, pochylił się i musnął ustami policzek. Keelin zachłannie oczekiwała pocałunku.

Marcus wyjął jej grzebień i spinki z włosów. Przesunął dłońmi wzdłuż jej ciała, rozkoszując się miękkim dotykiem jedwabistej skóry. Czuł, że zadrżała pod jego dotknięciem, lecz dobrze wiedział, że był to dreszcz rozkoszy.

Bez oporu poddała się jego pocałunkom. Marcus poczuł w sobie ogromną moc - w obronie Keelin był stanie przeciwstawić się każdemu zagrożeniu. W pewnym momencie Keelin rozwiązała rzemyk wiążący mu tunikę. Za moment stał już rozebrany do pasa i patrzył na jędrne piersi dziewczyny.

- Jesteś doprawdy urodziwym rycerzem, Marcusie - powiedziała Keelin. Pocałowała go w szyję. Wstrzymał oddech. - Po raz pierwszy ujrzałam cię bez ubrania nad strumieniem płynącym obok leśnej chaty - dodała, muskając ustami jego tors - i już wówczas doszłam do

wniosku, że do samej śmierci nie znajdę nikogo piękniejszego od ciebie. Tak pełnego męskiej siły i zarazem delikatności.

Marcus z trudem nad sobą panował.

- Wtedy chciałam cię dotknąć - ciągle szeptała Keelin - ale...

- Nie wiesz, co się ze mną dzieje, gdy całujesz mnie i mówisz tak cudowne rzeczy.

Znów połączył ich pocałunek. Marcus na równi z Keelin drżał cały, ogarnięty cudownym przecuciem rozkoszy, jakiej oboje mogą zaznać.

A przecież zajął do komnaty z zupełnie innego powodu. Ani przez chwilę nie zamierzał złamać ślubów czystości, złożonych przed kilkoma laty, na pobożowiskach Francji. Był człowiekiem honoru - co więcej, rycerzem wiernym zasadom uświęconym przez Kościół i tradycję. Jeśli pożądał tej niewiasty, to tylko jako żony. Nie zamierzał jej uwieść, rozkochać i porzucić jak zwykłą dziewczkę albo markietankę, ciągnącą za taborami.

Odsunął się, westchnął głęboko i podał jej lniane prześcieradło. Sam okrył jej nagość, starannie unikając pytającego wzroku. Migotliwy blask ognia, płonącego w kominku, mieszał się z łagodnym światłem lamp olejnych. W komnacie panowała cisza, choć za oknem hulał zimny wicher.

Marcus ujął Keelin pod ramię i bez słowa podprowadził do wyściełanego fotela przy kominku. Skłonił ją, aby usiadła, potem zaś uklęknął i wziął ją za rękę.

- Keelin - rzekł poważnym tonem, patrząc jej w oczy. - Jesteś dla mnie kimś bardzo ważnym. Najważniejszym. Nie pohańbię cię. Nie będę cię uwodził w twej własnej komnacie, w sytuacji i miejscu, w którym jesteś bezbronna. - Zamilkł na dłuższą chwilę. -

W zamian proszę cię o rękę. Chcę, żebyś została moją żoną.

Keelin aż dech zaparło. Było widać, że nie spodziewała się oświadczeń i że jest nimi całkowicie zaskoczona.

Marcus nie miał jej tego za złe - dopiero co obmacywał ją niczym najzwyklejszy prostak, a później skromnie okrył prześcieradłem i padł na kolana, żeby się oświadczyć.

Na czole Keelin, między brwiami, pojawiła się pionowa zmarszczka. Jej piękne oczy były pełne bólu. Parę razy otwierała usta, żeby coś powiedzieć, lecz nie zdołała. Delikatnie ujęła jego twarz w

obie dłonie. Marcus musiał powstrzymać się ze wszystkich sił, żeby nie porwać jej w ramiona. Jesteś rycerzem, upomniał się w duchu.

- Mam spory majątek, Keelin - ciągnął, udając spokój. - Jeśli się zgodzisz, porozmawiam z twoim stryjem.

Keelin opuściła ręce i szybko pokręciła głową.

- Marcusie - wyszeptała - nie mogę. - Prawdopodobnie nie zdawała sobie sprawy, że łzy płyną jej po policzkach. - Przecież wiesz, że muszę wrócić do Kerry, do swojego klanu.

- Keelin...

- Dobrze znam swoje obowiązki - powiedziała, ocierając łzy. Marcus przyglądał się jej w milczeniu. - Nie mogę wyprzeć się swojego klanu. Zwłaszcza teraz, kiedy moi krewni najbardziej potrzebują mocy zaklętej w Ga Buidhe an Lamhaigh.

- Czy nikt nie może cię zastąpić? Czy naprawdę do tego potrzebne są czary włóczni?

- Niestety, tak - odpowiedziała nieszczęśliwym tonem. - Taki jest los każdego, kto wywodzi się z rodu O'Shea.

- Poświęcisz wszystko, całą naszą przyszłość, dla dobra klanu?

Cofnęła ręce i gwałtownie zerwała się z fotela.

- Nic nie rozumiesz! - zawołała. - To nie mój wybór! Nie ja o tym decyduję. Klan Ui Sheaghda od wieków pełni pieczę nad Ga Buidhe an Lamhaigh. Zawsze był ktoś, kogo mogli nazwać swą wyrocznią. Moja matka i babka, a przed nią jej matka.

Marcus wciąż klęczał w tym samym miejscu przed fotelem. Zrozumiał, że teraz nie zdoła jej przekonać, aby zmieniła zdanie. Miał jednak w zapasie kilka pomysłów. Jeszcze nie wszystko stracone.

Wstał, przeszedł na środek komnaty, schylił się i podniósł z podłogi porzuconą tunikę. W pierwszej chwili zamierzał znów podejść do Keelin, lecz po namyśle z tego zrezygnował. Gra szła o zbyt wysoką stawkę, aby tak głupio ryzykować. Wszystko lub nic, pomyślał. Zamierzał zgarnąć całą pulę.

Zatopiony w myślach, bez słowa opuścił komnatę.

Poszedł od razu do siebie, nie wiedząc, że z ciemności na końcu galerii obserwuje go para czujnych oczu.

Stuknęły drzwi za wychodzącym Marcusem. Keelin poczuła nagle, że opuszczają ją wszystkie siły. Zmęczonym ruchem osunęła się na podłogę i wybuchnęła płaczem.

Ogarnęły ją sprzeczne emocje. Dręczyło ją, że nie mogła dać Marcusowi właśnie tego, czego oboje najbardziej pragnęli; przyjąć jego oświadczyn i zostać jego żoną. Oznaczałoby to jednak sprzeniewierzenie się najstarszym i najbardziej żywotnym tradycjom klanu. Co gorsza, pozbawiałoby jej krewnych ochrony przed zaciętym i nieubłaganym wrogiem.

Cóż zatem miała począć? Już od dawna pragnęła być jego żoną. Z pewnością narzeczony, wybrany jej przez Eocaidha, nie dorastał Marcusowi do pięt. Dla jej ojca najważniejsza była władza, siła i nienawiść do Ruairca Mageeana.

Marcus dbałby o nią jak nikt na świecie. Tego była najzupełniej pewna. Mieliby wspólne troski i marzenia i patrzyliby na dorastające dzieci. A ona by się zestarzała u boku lorda Wrexton.

Byłaby damą jego serca, a nie zwykłą irlandzką żoną.

Och, nie wolno mi tak myśleć! - skarciła się w duchu. To niegodne prawdziwej szlachcianki, rodem z Kerry. Powoli wsunęła się pod delikatną pościel, przygotowaną specjalnie dla niej. Zacisnęła powieki z mocnym postanowieniem, że zaraz zaśnie.

Dobrze wiedziała, że przed chwilą stoczyła zaledwie pierwszą z wielu bitew, jakie czekały ją w najbliższej przyszłości. Musiała dobrze się pilnować, by nie ulec namowom Marcusa.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Jak myślisz, stryju, kto zostanie wodzem na miejsce Cormaca? - zapytała Keelin, niespokojnie krążąc

przed kominkiem w komnacie Tiarnana. Był wczesny ranek, ale służba już zaczęła codzienną krzątanie. W ciągu nocy śnieżyca ustała i można było uprzątnąć dziedziniec i podjazdy.

- Nie wiem, maleńka - odparł Tiarnan ze swojego łoża. - Eric i Laoghaire są mądrzy i waleczni.

- Ależ stryju, to przecież zaledwie chłopcy! Ród O'Shea o wiele bardziej potrzebuje...

- Byli chłopcami, kiedy wyjeżdżałaś z Carrauntoohil, Keely - spokojnie przypomniał jej Tiarnan. - Teraz to już mężczyźni.

- Myślisz, że jakoś dają sobie radę bez Ga Buidhe an Lamhaigh? - spytała powątpiewającym tonem

- Równie dobrze jak pozostałe klany zdane na własny spryt, przemyślność i siły.

Keelin powoli przesunęła dłonią po gzymsie kominka. Nie zauważyła, że stryj zrobił zadowoloną minę.

- A jak długo jeszcze poradzą sobie bez włóczy? Tiarnan wzruszył ramionami.

- Moim zdaniem, tak długo, jak to będzie konieczne.

- Co zatem ze mną? - zapytała. Przysiadła na brzegu łóżka stryja.

- Jak im mogę służyć radą i pomocą? Co zrobią bez wrózb?

- Keely, o co ci właściwie chodzi? Niecierpliwisz się, bo chcesz wyjechać z Wrexton i jak najszybciej wrócić.

- Nie! - zawołała, zrywając się z miejsca. - To znaczy... Och, stryju, sama nie wiem, co to wszystko znaczy.

- Keelin...

- Kiedyś było o wiele łatwiej, zwłaszcza przed...

- Przed?

- Przed Marcusem - powiedziała cicho.

- Lubisz go, moje dziecko?

- O, tak - przyznała szczerze Keelin. - Lubię. Ale mam swoje obowiązki wobec klanu. Nie mogę zostać we Wrexton.

- A Marcus chce, żebyś została?

- Prosił mnie o to - przytaknęła Keelin.

Tiarnan westchnął. Cztery lata temu zażądałby stanowczym tonem, by dziewczyna zabrała Ga Buidhe an Lamhaigh i wróciła do Carrauntoohil tak szybko, jak to tylko możliwe.

Od tego czasu zmienił zdanie. Lata tułaczki i doświadczeń sprawiły, że inaczej patrzył na życie swego klanu. Wiedział, że ludzie potrafią dać sobie radę bez świętej włóczni. Oraz bez Keelin.

Chociaż był ślepy, zorientował się, że Keelin dobrze czuje się w zamku Wrexton. Marcus de Grant dbał o nią, czego nigdy nie zrobiłby Fen McClancy. Nie zapewniłby jej także takich warunków życia, jakie na co dzień miała tutaj, w Anglii.

Tiarnan wolał nie myśleć, co by się stało z Keelin, gdyby przypadkiem wpadła w ręce Mageeanów. Kto zaręczy, że nie będą czyhać na nią na trasie wiodącym z Wrexton nad morze lub nieco dalej, w okolicach Kerry?

Cóż zatem miał jej powiedzieć? Jakiej udzielić rady? To przecież ona była obdarzona zdolnością widzenia przyszłych wydarzeń, tego, co było tajemnicą dla innych. To jej należało wierzyć, a nie słuchać sentymentalnych mrzonek wyczerpanego życiem starca.

Z całego serca życzył Keelin spełnienia marzeń i pragnień, choć zdawał sobie sprawę, że to praktycznie niemożliwe. Na pierwszym miejscu stało dobro i bezpieczeństwo klanu Ui Sheaghda.

- Kochana Keely - powiedział wreszcie, ze zmarszczonymi brwiami. - Wierz mi, że chciałbym ci udzielić mądrej odpowiedzi. Sęk w tym, że sam jej nie znam. Chyba dość słów już padło na ten temat. Teraz powinnaś iść za głosem swojego serca

- Nie, stryju - gwałtownie zaprotestowała Keelin. - Nie mogę ufać swemu sercu!

Głośny trzask zamykanych drzwi przerwał ich rozmowę. Keelin wybiegła z komnaty, żeby sprawdzić, co się stało. W głębi galerii, przed jej pokojem, czekała

Annie z dzieckiem na rękach. Wzrok miała wbity w ziemię. Dziecko płakało. Przed nimi stała Isolda, wsparta pod boki, z zagniewaną miną. - Twój rewir jest na dole, prawda? - spytała kasztelanka donośnym głosem.

- Owszem, milady, ale...

- Lady Isoldo, proszę się nie gniewać - szybko wtrąciła Keelin, spiesząc z pomocą Annie. Wyjęła dziecko z rąk służącej i popatrzyła na Isoldę. - Dla mnie to żaden kłopot.

- Nie zgadzam się, by jakaś zwykła pomywaczka przerywała wypoczynek gościom - syknęła kasztelanka ze źle skrywaną złością.

Annie skuliła się, jakby ją ktoś uderzył.

- Ale...

- Żadnego pyskowania.

- Wolę, jak służba mnie niepokoi - spokojnie powiedziała Keelin - niż gdybym miała słuchać fałszywych porad, jak się zachować przed biskupem.

Isolda otworzyła usta, lecz zaraz je zamknęła. Usiłowała dumnie unieść głowę, ale tym razem zabrakło jej pewności siebie. Strzeliła oczami w lewo, potem w prawo, wreszcie spojrzała na Marcusa, który nagle wyrósł jak spod ziemi, i stanął za Keelin. Prędko odeszła w stronę schodów, bojąc się nowej konfrontacji.

- To właśnie mnie szukałaś, Annie? - zapytała Keelin i popatrzyła na młodą matkę. Nie wiedziała, że Marcus stoi parę kroków za nią.

- Tak, milady - odpowiedziała Annie niemal szeptem. Nie wiedziała, jak się ma zachować. Kasztelanka odeszła z gniewem, a pan patrzył na nią tak dziwnie.

- Jak tam maleństwo? - zagadnęła Keelin. Kołysała dziecko w ramionach tak długo, aż przestało płakać. - Oddycha o wiele lżej.

- Tak, już jej lepiej - wyjąkała Annie. - Przyszłam spytać, czy nie masz, pani, tych ziół, co to je przedtem sypałaś na patelnię.

- Ależ mam! - żywo odpowiedziała Keelin, jakby przed chwilę nie stało się nic złego, choć była przejęta kolejną utarczką z Isoldą. Otworzyła drzwi swojej komnaty. - Przed jesienią zrobiłam spory zapas. Chodź, dostaniesz słuszną miarę, Annie.

- Och, milady. - Służąca chyłkiem weszła do pokoju. - Jesteś dla mnie... dla nas... tak niezwykle dobra. Jeśli mogę ci się jakoś odwdzięczyć.

- Nie ma o czym mówić. Najważniejsze, by Peg wyzdrowiała. To będzie dla mnie najlepsza nagroda.

Marcus przez większą część dnia wypełniał nudne, lecz konieczne obowiązki kasztelana. W gruncie rzeczy był nawet rad, że ma jakieś zajęcie, które pozwalało mu, z dala od Keelin, spokojnie przemyśleć, co począć z upartą Irlandką.

Początkowo chciał przejść do porządku dziennego nad zachowaniem Isoldy, ale potem doszedł do wniosku, że nie może tego

tak zostawić. Musiał z nią porozmawiać i o Keelin, i o jej niewłaściwym stosunku do służących. Nie wiedział przecież, ile czasu zajmie jej znalezienie odpowiedniego kandydata na męża, sam ślub, wesele i późniejsza przeprowadzka. Nie miał ochoty z nią się spierać, lecz nie widział innego wyjścia.

Tym razem nie posłał po nią służby, ale sam wspiał się po tylnych schodach do słonecznej komnaty, w której Isolda najchętniej przebywała. Dotarł do ciężkich dębowych drzwi i usłyszał podniesione głosy. Kobięce głosy, nabrzmiałe złością i pełne zjadliwości. Odczekał z ręką na klamce, wreszcie westchnął ciężko, zebrał się na odwagę, pchnął drzwi i wszedł do komnaty.

Na jego widok nagle zapanowała cisza.

Isolda siedziała w fotelu przy kominku. Szybko otarła łzy. Jej towarzyszka, Beatrice, stała tyłem do Marcusa, nie mógł więc zobaczyć jej twarzy.

Kasztelanka zerwała się ze swego miejsca, zrzucając na podłogę tamborek z niedokończonym haftem. Zdaje się, że wyszywała obrus na ołtarz.

- Marcus! Ja... jestem ci potrzebna? - spytała zakłopotana. Mimo wysiłków nie udało jej się odzyskać zwykłego spokoju.

Rycerz podniósł tamborek. Wprawdzie nie wiedział, co przed chwilą zaszło pomiędzy Isoldą a Beatrice, ale to nie miało dla niego znaczenia. Pomyślał, że nawet lepiej, jeśli obie usłyszą, co zamierzał powiedzieć. Obecność Beatrice mogła mu się nawet przydać. Teraz i tak już by nie zawrócił z raz obranej drogi.

- Isoldo - zaczął - źle odnosisz się do lady Keelin. Moim zdaniem, to co robisz, jest najzwyczajniej wstrętne. Dokuczasz jej, wciąż ją obrażasz. Nie - uniósł dłoń, by zawczasu uciąć jej protesty - nie zaprzeczaj. Dzisiaj rano byłem świadkiem twojego zachowania.

- Wybacz, milordzie, lecz Isolda... - wtrąciła Beatrice.

- Nie chciałbym się powtarzać - wpadł jej w słowo Marcus. - To co powiem, zapamiętajcie sobie raz na zawsze. Jeśli usłyszę, że znów obraziłaś Keelin - zwrócił się do Isoldy - to natychmiast odejdiesz z zamku, bez względu na to, czy będziesz, czy nie będziesz miała kogoś, kto się tobą zajmie.

- Ale Marcusie...

- Nie chcę być wobec ciebie niegrzeczny, Isoldo - ciągnął stanowczym tonem. - Nie zostawiasz mi jednak

wyboru. Nie mogę, a raczej nie pozwolę, aby moi goście byli źle traktowani.

- Błagam cię o wybaczenie - szepnęła kasztelanka. Pochyliła głowę i tak mocno zaciskała pięści, aż jej zbieleły kostki. Zdołała już się opanować i zachowywała się teraz z nienaturalnym spokojem. - Nigdy... nigdy nie chciałam... to znaczy...

- Oszczędź mi wszelkich tłumaczeń i wymówek - uciął Marcus te usprawiedliwienia. - Na to chyba już trochę za późno. Zapamiętaj sobie, że nie wolno ci ani słowem, ani postępkami obrazić lady Keelin lub jej stryja. I postaraj się lepiej traktować służbę. Od dnia śmierci mojego ojca wszystkich tyranizujesz. Zamilkł na dłuższą chwilę, po czym podjął:

- Tak jak ci to obiecałem wcześniej, dostaniesz dobrego męża. Zapewnię ci hojny posag, nie musisz więc obawiać się o to, że resztę życia spędzisz w biedzie.

Żadna z kobiet obecnych w komnacie nie odezwała się ani słowem. Stały w milczeniu, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Pewnie upłynie kilka tygodni, zanim znajdę odpowiedniego kandydata - rzekł Marcus, kończąc swoją przemowę. - Oczekuję, że tymczasem zastosujesz się do moich poleceń i nie będziesz mi sprawiać kłopotów.

Stał przez moment, zastanawiając się, czy nie należy jeszcze czegoś dodać. Chyba nie, doszedł do wniosku. Powiedział wystarczająco dużo. Odwrócił się i niespiesznie opuścił słoneczną komnatę.

Cieszył się w duchu, że ma już to za sobą. Nawet nie zauważył grymasu wściekłości, który w tej samej chwili wykrzywił pomarszczoną twarz Beatrice.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Nie za zimno na lekcję? - spytał Marcus, kiedy szli w kierunku strzelnicy. Z początku Keelin się wahała czy wznowić ćwiczenia z łukiem, ale potem wrócił jej dawny zapał. Teraz, ubrana w ciepły płaszcz, dzielnie zmierzała u boku rycerza na plac treningowy, na którym zwykle widać było zajętych ćwiczeniami zbrojnych.

Z dziedzińca uprzątnięto lód i zwały śniegu, zatem bez trudu dotarli na tyły wieży, gdzie nawet zabłąkane strzały nie wyrządziłyby nikomu krzywdy

- Nie, Marcusie - szczerze odpowiedziała Keelin. - Cieszę się, że miałam okazję wyjść z domu i odetchnąć świeżym powietrzem.

Prawdę mówiąc, minione dwa dni były dla niej wyjątkowo trudne, chociaż nie mogła narzekać na brak rozrywek.

Wśród przypadkowych gości, których śnieżycą przygnała na zamek Wrexton, znalazła się grupa kolędników. Wędrowali, czasem z całymi rodzinami, po najbogatszych angielskich rejonach, występując na placach i dworach ze śpiewogrami i misteriami związanymi z Bożym Narodzeniem. Tego ranka przenieśli się do grodu, szczęśliwi, że pogoda uległa poprawie na tyle, by mogli bez większych przeszkód kontynuować podróż.

Przedtem jednak dwa razy wystąpili na zamku, ku wielkiej uciesze wszystkich tam zgromadzonych.

Marcus trzymał się z dala od Keelin. Od pamiętnej przygody podczas wieczornej kąpieli nie narzucał się jej ze swoim towarzystwem. Ona zaś nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Dniem i nocą żyła w nieustannej rozterce.

Tęskniła za nim bardzo.

Oczywiście miała się rozmaitych zajęć, byle tylko nie marzyć o Marcusie. Adam wciąż jeszcze wymagał opieki i trzeba było doglądać małej Peg. Jednak w trakcie różnych zajęć wracała wspomnieniami do czulej sceny przed kominkiem w jej własnej komnacie. Miała świadomość, że niewiele wtedy brakowało, by uległa Marcusowi.

- Widzisz tę czerwoną szmatkę, zawiązaną tam, na wielkim dębie? - spytał Marcus. Zatrzymali się na linii strzału.

Keelin wyteżyła wzrok i chwilę później pokiwała głową.

- Tak.

- To będzie twój pierwszy cel. A gdy się już trochę wprawisz, to przejdziemy do następnych, bardziej oddalonych.

Keelin nerwowo oblizwała usta. Dłonią przygładziła włosy, uniosła łuk i nałożyła strzałę na cięciwę - tak jak jej to wcześniej pokazywał Marcus.

- Nie, Keelin - powiedział rycerz i stanął tuż za nią.

- Ciągłe jesteś zbyt spięta. Pamiętasz, co ci mówiłem? Postaraj się rozluźnić. - Poczwała rozkoszny dreszcz oczekiwania, kiedy położył ręce na jej ramionach. Usiłowała skupić się na lekcji, ale nie mogła. Strzała, łuk i tarcza - to wszystko było mało ważne w obecności Marcusa.

- O, trochę lepiej - rzekł, chociaż ona sama nie zauważyła poprawy. Wręcz przeciwnie, zdawało jej się, że jest bardziej sztywna niż przedtem. - Teraz wyceluj. Łuk wyżej.

Wziął ją za rękę i pomógł stanąć w prawidłowej postawie. Keelin poczuła szorstki dotyk jego brody na swoim policzku. Zamknęła oczy i głęboko wciągnęła powietrze w płuca, chłonąc przyjemny, męski zapach.

Marcus też dał się ponieść nastrojowi chwili, ale potrafił zapanować nad uczuciami. Instynkt podpowiadał mu, że jeśli zamierza Keelin zatrzymać przy sobie na zawsze, to nie powinien się zbyt szybko spieszyć. Zmuszał się więc do spokoju, choć to było dlań prawdziwą torturą.

Godzinami przesiadywali w towarzystwie barona.

Albin Selby okazał się dobrym kompanem. Sypał jak z rękawa rozmaitymi dykteryjkami i anegdotami. Marcus wolałby ten czas spędzić sam na sam z Keelin. Co i rusz przyłapywał się na tym, że rozbiera ją w myślach.

Męczył się z dala od niej, męczył, gdy była blisko. Tak źle i tak niedobrze. Bywały momenty, kiedy nie wierzył w powodzenie swoich planów. Obawiał się, że ulegnie pięknej kusicielce i tym samym wszystko zepsuje.

- Wypuść strzałę - polecił.

Pierzasty pocisk śmignął w powietrzu i lekko drżąc, utkwiał tuż obok celu

Marcus nie cofnął ręki. Zresztą Keelin wcale by sobie tego nie życzyła.

- Spudłowałam - szepnęła, nieznacznie odwracając głowę. Jej usta, niby przypadkiem, znalazły się tuż przy jego twarzy. Marcus

czuł na policzku jej oddech. Powoli wyprostował plecy i odsunął się o pół kroku.

Chrząknął dwa razy, zanim zaczął mówić.

- Zupełnie nieźle - oznajmił, siłąc się na obojętny ton, i sięgnął do kołczana po następną strzałę. - Rzecz jasna, jak na nowicjuszkę.

Keelin nic nie powiedziała, ale szybko spojrzała przed siebie, jakby chciała wzrokiem dokładnie zmierzyć odległość dzielącą ją od celu. Wyjęła strzałę z rąk Marcusa i we dwoje powtórzyli poprzednie czynności. Tym razem Marcus jeszcze mocniej przywarł do jej szczupłego ciała. Wszystkie uwagi szeptał jej do ucha uwodzicielskim tonem. Zapomniał się i powiedział do Keelin „najdroższa”.

Znów spudłowała.

Zła na siebie, sama wybrała następną strzałę. Miała rozgniewaną minę, ale stanęła prosto jak świeca, uniosła łuk i wycelowwała.

Kiedy grot stuknął w twarde drzewo, Keelin wydała okrzyk radości, odwróciła się i zarzuciła Marcusowi ręce na szyję.

- Trafiłam!

- Rzeczywiście, kochanie - odparł i cmoknął ją prosto w nos. Tylko na tyle mógł sobie pozwolić, jeśli nie chciał spłoszyć Keelin.

Zebrał się w sobie i z udawaną nonszalancją wyswobodził się z jej objęć.

- Spróbujesz raz jeszcze? - spytał.

- Oczywiście! - odpowiedziała bez namysłu. Godzinę później znów zaczął padać śnieg. Czerwony

cel niemal zniknął im z pola widzenia. Nie było rady - resztę nauki musieli odłożyć na później i wracać do ciepłych komnat.

Marcus radował się w duchu z takiego obrotu sprawy. Coraz trudniej mu było utrzymać ręce z dala od Keelin, która, trzeba przyznać, strzelała coraz lepiej. W trakcie nauki miała zwyczaj ciągle coś mrużyć pod nosem, co pobudzało go do śmiechu, lecz zachowywał powagę, żeby jej nie przeszkadzać.

Z westchnieniem ulgi sięgnął po kołczan, kiedy zdecydowali, że już pora wracać. Jak dotąd, plan był bez zarzutu. Wszystko szło tak, jak sobie to ułożył - a może nawet trochę lepiej.

Ale to była tylko drobna potyczka. Jedna z wielu, jakie go jeszcze czekały, jeśli chciał zatrzymać Keelin. Odwrócił się i poszedł za nią w stronę ośnieżonej wieży. Po drodze objął ją ramieniem. Ot, tak - na wszelki wypadek.

Wyraźnie poczuł, że zadrżała, czując na sobie jego rękę. Ach, zwycięstwo bywa najśłodsze, pomyślał z zadowoleniem.

- Nie pogniewasz się, gdy postawię na stole stroik, Marcusie? - spytała Keelin, zatrzymując się przed ostrokrzewem. - Wiem, że obowiązuje cię żałoba po ojcu, ale zbliżają się święta, być może więc należałoby o tym też pamiętać.

- Oczywiście - zgodził się z nią od razu. - Prawdę mówiąc, zamierzałem zaraz po powrocie wysłać kilku ludzi do zagajnika, żeby przynieśli parę świeżych sosnowych gałęzi dla przystrojenia wielkiej sali.

Keelin uśmiechnęła się z radością.

- Tu, w Anglii, mamy jeszcze jeden zwyczaj - ciągnął Marcus. - Na suficie albo nad drzwiami wieszamy jemiolę.

- Właśnie! - szybko przytaknęła Keelin. - W Kerry robimy to samo, dla ochrony maleńkich dzieci.

- Co to znaczy?

- Ludzie wierzą, że jemiola ma w sobie coś magicznego. Jeśli ją przyczepić do kołyski, to elfy nie ukradną dziecka.

Marcus uniósł brwi ze zdumienia.

- A jeśli ktoś musi wyjść nocą, to też bierze ze sobą gałązkę jemioli, żeby... Nie uśmiechaj się tak, Marcusie! Nawet nie wiesz, ilu niewinnych wędrowców uniknęło śmierci z łap krwiożerczych bestii i upiorów, które czyhają w mroku.

Pokręcił głową.

- W zamku Wrexton działają inne czary. Keelin popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- To prawda. Chodź, coś ci pokażę.

Wziął ją za rękę i poszli wąską ścieżką, przetartą w głębokim śniegu, aż doszli do kępy drzew.

- Widzisz rosnącą tu jemiolę? - spytał Marcus.

- Widzę - odpowiedziała Keelin, zobaczywszy znajome listki.

Marcus odłożył łuk i kołczan, stanął na palcach i odłamał gałązkę jemioli.

- To także dobry środek na majaki - powiedziała Keelin. Marcus z namysłem patrzył na gałązkę. Nic nie mówił. Keelin domyślała się, że trudno mu było na głos rozprawiać o czarach. Ona też niechętnie wspominała o mocy zaklętej w Ga Buidhe an Lamhaigh.

Marcus uniósł wysoko rękę i spojrzał na Keelin. W jego oczach ujrzała znajomy błysk pożądania. Dreszcz oczekiwania przebiegł jej całe ciało. Wiedziała już, jak słodkie są pocałunki Marcusa. Odruchowo zamknęła oczy, lekko uniosła głowę i czekała, kiedy poczuje na ustach jego wargi.

Nie doczekała się.

Uniosła powieki. Marcus pochylił się, zabrał z ziemi łuk i kołczan, pokręcił głową, jakby czemuś przeczył i popatrzył spod oka na Keelin.

- Pokażę ci, jak działa magia, ale w odpowiedniej porze - powiedział. Na powrót wziął ją pod rękę. Szli tą samą ścieżką. W pewnej chwili odchrząknął i rzekł: - Trzeba też będzie zapalić stos na święta. Ojciec na pewno by się ucieszył, gdyby całe Wrexton wzięło udział w świątecznej zabawie.

Chwilę trwało, zanim jego słowa w pełni dotarły do Keelin. Nie była przygotowana na tak nagłą zmianę tematu. Potem jednak uprzytomniła sobie, że dla Marcusa będą to pierwsze święta Bożego Narodzenia, które w rodzinnym zamku spędzi bez ojca. Z pewnością czekały go niełatwe chwile. Nie tylko jego - bowiem Eldred był powszechnie lubiany i szanowany.

Nie zdążyła jednak mu odpowiedzieć słowem pocieszenia, bo na dziedzińcu, do którego zdążyli już dojść, ukazał się jeden ze stajennych. Biegł na ich spotkanie.

- Lordzie Marcusie! - krzyczał już z daleka.

- Co się stało, Dob? - zapytał młody earl.

- Chodzi o Friedę! Mistrz Boswell posłał mnie po ciebie! Jesteś nam bardzo potrzebny!

Marcus wręczył mu łuk i kołczan.

- Zostań tu z lady Keelin - polecił i w te pędy rzucił się do stajni.

- Odprowadź ją do wieży! - zawołał jeszcze przez ramię.

- Tak, milordzie!

Patrzyli za nim, póki nie zniknął za załomem muru. Keelin zwróciła się do chłopaka.

- Co się stało? - spytała. - Kto to jest Frieda?

- To klacz lorda Marcusa - odparł Dob, próbując ukryć zdenerwowanie. - Dziś właśnie miała się ożrebić, ale wystąpiły trudności.

Keelin przypomniała sobie dwie piękne klacze, jedną kasztanowej maści, a drugą szarą jak popiół, obie już mocno ocieźzałe. W czasie pożaru jako jedne z pierwszych wyprowadzono je z płonącej stajni. Miała ochotę pobiec za Marcusem i pomóc mu w razie potrzeby, lecz nie była pewna, czyby jej nie zganił. Jej ojciec stanowczo odpędzał od rodzącej klaczy każdego, kto się przy niej znalazł. Marcus także mógł nie życzyć sobie obecności osób trzecich w podobnej sytuacji.

- Boswell prosił go o pomoc? - zapytała Doba.

- Tak, milady - odparł chłopak. - Lord Marcus wie wszystko o koniach. Już trochę nawet mnie nauczył.

- To mu się bardzo chwali - z roztargnieniem zauważyła Keelin. Z jednej strony, w duchu podziękowała opatrności, że odwołano go do stajni, z drugiej - zżymała się, że nie mogli dłużej pobyć razem.

Doszli już prawie do zewnętrznych schodów, kiedy uświadomiła sobie nagle, że w wielkiej sali bez wątpienia natknie się na Isoldę. Przy tak okazałej liczbie nieproszonych gości ktoś przecież musiał nadzorować służbę. Keelin nie chciała z nią rozmawiać.

- Nie ma z tyłu drugiego wejścia? - zagadnęła idącego obok niej stajennego.

- Pewnie, że jest, milady - odparł. - Tędy. Keelin poszła w ślad za sługą. Minęli wysoki mur,

ciągnący się aż do baszty. Dziewczyna uniosła głowę. Gdzieś w górze, wysoko nad nią, majaczyły zębate blanki. Dopiero teraz wyraźnie było widać rozmiary i potęgę zamku Wrexton. Marcus nie miał się czego wstydzić. W porównaniu z jego dziedzictwem, przejętym po zmarłym ojcu, twierdza Carrauntoohil wydawała się zwykłym kamiennym szańcem.

Z góry spadła pecyna śniegu. Keelin odruchowo spojrziała w tamtą stronę i wydało jej się, że czyjaś postać mignęła w wąskim oknie. Nie mogła jednak rozróżnić szczegółów. Nie wiedziała też, czyje komnaty są po tej stronie wieży.

Mimo woli zadrżała i przysunęła się bliżej muru. Ogarnęły ją złe przeczucia.

Tutaj, pod spodem, płynie rzeka - zauważył Dob i wskazał przed siebie. - Lord Marcus siedział tam kiedyś w lochu. To było jeszcze za starego earla.

- Eldred zamknął własnego syna! - zawołała Keelin, do żywego wstrząśnięta słowami chłopca.

- Ależ nie, milady - szybko wyjaśnił Dob. - To był ten stary earl, jeszcze sprzed lorda Eldreda. To ciekawa historia. Kiedyś powinnaś jej wysłuchać.

Keelin po cichu przyznała mu rację, ale teraz nie miała na to czasu. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że zaraz stanie się coś bardzo złego. Nie wiedziała, co, lecz chciała jak najszybciej znaleźć się w wieży, w komnacie stryja Tiarnana, gdzie byłaby bezpieczna.

- Później, Dob - zdecydowała i przyspieszyła kroku. - Powiesz mi o tym innym razem, w nieco wolniejszej chwili. To będzie twój przywilej.

Chłopak uśmiechnął się z zadowoleniem na myśl, że czeka go następne spotkanie z lady Keelin.

- Tu jest piwniczka - objaśnił ją, ze swadą wchodząc w rolę opiekuna i przewodnika. - A zaraz za nią wąskie schodki wiodące w dół, do dawnej celi lorda.

- Pokaż mi, gdzie jest tylne wejście do wieży - przerwała mu Keelin. - Chciałabym...

- Oczywiście, milady - szybko powiedział Dob. - Skręcimy tutaj i za tymi drzwiami. Uwaga! - krzyknął i czym prędzej zepchnął ją ze ścieżki.

Olbrzymi kawał kamiennego gruzu o cal minął jej ramię i z hukiem rąbnął o zmarzniętą ziemię. Dob padł w śnieg na kolana, obok leżącej Keelin.

- Milady! - zawołał ze strachem. - Nic ci nie jest?!

Keelin usiadła. Zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

- Co się stało? - spytała, tocząc wokół na wpół przytomnym wzrokiem. - Ten... łoskot...

Popatrzyła w górę, na dach wieży, a potem na leżący kamień.

- To na mnie spadło?

Dob trzymał się za głowę, jakby sam oberwał. Nie wiedział, co o tym sądzić. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w wieżę, a później zerknął na Keelin.

- Nie mam pojęcia, jak to mogło spaść, milady - rzekł przerażony. - To okropne. Nie jesteś ranna?

- Nie - odpowiedziała Keelin. - Zdaje się, że mam tylko stłuczone ramię.

- Pozwól, że pomogę ci wstać.

Podał jej rękę. Keelin dźwignęła się z ziemi. Jasno zdawała sobie sprawę, że cudem uniknęła śmierci. Gdyby Dob w porę jej nie odepchnął, już nigdy nie wróciłaby do Kerry.

Ciekawe, czy ten wypadek może mieć coś wspólnego z moimi przeczuciami, pomyślała. A jeśli to tylko wstęp do czegoś znacznie gorszego?

- Wejdźmy do środka - ponaglił chłopak. - Zaraz pobiegnę do stajni i powiem o tym lordowi Marcusowi.

- Nie, Dob - powstrzymała go Keelin. Widziała, że stajenny był mocno przejęty, a nie chciała, by się obwiniał o to wydarzenie. Przede wszystkim musiała jak najszybciej dostać się do komnaty stryja Tiarnana. Przy nim czuła się bezpiecznie. - Lepiej mnie odprowadź na piętro. Nie ma potrzeby kłopotać tym lorda Marcusa. Przecież nic się nie stało.

- Ale, milady... - usiłował się sprzeciwić, zupełnie dezorientowany.

- Żadnych „ale”, młodzieńcze - powiedziała stanowczo. - Idziemy.

Keelin znalazła Tiarnana przy łóżku Adama. Zdażyła zdjąć płaszcz i przebrać się w zieloną suknię. Czuła się już odrobinę lepiej. Kiedy weszła do komnaty chłopca, opuściło ją poczucie zagrożenia. Nie chciała martwić Adama ani stryja opowieścią o niebezpiecznej przygodzie. Wystarczyło, że może ich zobaczyć.

Adam powitał ją radosnym uśmiechem.

- Och, lady Keelin. Lord Tiarnan właśnie mi opowiadał, jak kiedyś powiązałaś rzemienie w cizmach wszystkich gości śpiących w wielkiej sali, w domu twojego ojca.

- Stryju Tiarnanie! - Keelin na moment zapomniała o groźnych przeczuciach i kamieniach spadających z wieży. - Jak możesz karmić biednego chłopca takimi opowieściami? Zawsze zachowywałam się jak przystało na irlandzką damę.

- Raczej jak na irlandzką srokę! - oświadczył Tiarnan.

Obaj, Adam i Tiarnan, wybuchnęli donośnym śmiechem. Spodobało im się to określenie. Keelin także się uśmiechnęła. Zmartwienia odchodziły w cień, gdy patrzyła na zdrowiejącego stryja. Służył mu pobyt we Wrexton. Miał tu przyjaciół - choćby Adama i Marcusa, ale też i rycerzy, którym wrył się w pamięć wspólny pobyt pod jednym dachem w leśnej chacie.

Byłby tutaj szczęśliwy, pomyślała Keelin. Chyba bez obaw mogę go zostawić, w przekonaniu, że już do końca życia nie zazna głodu ani biedy.

Adam też czuł się coraz lepiej. Nabierał sił i odgrażał się, że łąda dzień wreszcie wstanie z łoża. „Bez niczyjej pomocy!” - dodawał zadziornym tonem. Jadł coraz więcej z dużym apetytem. To ją cieszyło.

Nieubłaganie zbliżała się godzina rozstania. Keelin myślała o tym z niechęcią. Nie cieszyła jej już perspektywa powrotu do Irlandii. Robiła jednak dobrą minę do złej gry, nie chcąc zasmucać najbliższych przyjaciół.

- Powinieneś wiedzieć, paniczku Adamie - powiedziała z udawaną powagą i nadąsaniem - że jestem córką Eocaidha O'Shea, najwyższego wodza i władcy Kerry. Nie wolno się ze mnie naśmiewać.

- Keelin!

Marcus wbiegł do komnaty. Wyglądał okropnie - ubranie miał powalane krwią i błotem, a twarz ściągniętą i bladą.

Najwyraźniej już słyszał o wypadku na ścieżce i o głazie, który runął z wieży. Keelin powstrzymała się z najwyższym trudem, by nie rzucić mu się w ramiona.

- Och, Marcusie. - Wstała z łoża, odwracając się tyłem do Adama. Ukradkiem dała znak Marcusowi, żeby milczał. Nie chciała burzyć spokoju Tiarnana takimi opowieściami. - Co z Friedą? - zapytała. - Poród się udał?

Twarz Marcusa pociemniała z gniewu, lecz w lot zrozumiał, o co jej chodziło. Odpowiedział, że źrebię przyszło na świat zdrowe, chociaż trzeba było się przy tym napracować. Gorzej z kłaczą. Jeszcze nie wiadomo, czy wyżyje, a jeśli tak, to czy w przyszłości będzie się znówu źrebić.

- Zdechnie? - cichym i pełnym przejęcia głosem zapytał nagle Adam. Marcus i Keelin spojrzeli nań, zdziwieni, że los Friedy wywarł na chłopcu takie wrażenie.

- Nie, Adamie - odparł Marcus i przyklęknął u wezglowia łoża. - Ufam, że mistrz Boswell otoczy ją dobrą opieką. A ty zaczekaj, aż zobaczysz źrebię. Wyrośnie z niego wspaniały ogier. Przejął po ojcu wszystko, co najlepsze.

Chłopiec wyraźnie uspokoił się po tych słowach.

- Ale Frieda? - chciał się upewnić. - Co z nią będzie?

- Adamie - westchnął Marcus - nie wiem. Nie mogę ci nic obiecać. Poród był bardzo ciężki, ale klacz pozostanie w troskliwych rękach Boswella.

- Mogę ją zobaczyć, Marcusie?

- To wykluczone - odparł rycerz. - Sam jeszcze nie wydobrzałeś, młody człowieku. Nie pozwolę ci wyjść na mróz prosto z wygrzanej komnaty.

- Ale Marcusie...

- Nie chcę więcej o tym słyszeć. Obiecuję, że będę do niej zaglądał jak najczęściej i za każdym razem powiem ci, jak się czuje. Kiedy zupełnie wyzdrowiejesz, odwiedzisz Friedę i Isabellę w ich tymczasowej stajni. Nie wcześniej. - Zwrócił się do Keelin: - Chodź na chwilę. Chcę z tobą porozmawiać.

Marcus nie puścił ręki Keelin. póki nie weszli do jej pokoju. Starannie zamknął za sobą drzwi i zasunął skobel.

Keelin odwróciła się i przytuliła się do Marcusa, który zamknął ją w swych objęciach.

- Nie jesteś ranna? Dob mi mówił, że kamień musnął cię w ramię. Przewróciłaś się.

- Tak, to prawda - odparła. Zadygotała, gdy uprzytomniła sobie, jak była bliska śmierci. - Dob mnie odepchnął i dzięki temu nie stało się nic gorszego.

- Bogu dzięki - westchnął earl.

- I dzięki Dobowi.

- Prawda - przytaknął grubym głosem, nabrzmiałym wzruszeniem. - Dostanie sowitą nagrodę.

Gdyby nie przytomność umysłu chłopaka, pewnie nie byłoby co zbierać. Wolał o tym nawet nie myśleć. Żyła i miał ją blisko siebie. To było teraz najważniejsze.

Odsunął się i rozwiązał tasiemki sukni Keelin, która go nie powstrzymała ani nie zapytała, dlaczego to robi. On zaś zamierzał przekonać się, czy nie doznała poważniejszego urazu.

Delikatnie zsunął suknię z ramion Keelin. W poświacie gasnącego zimowego dnia jej jasna skóra zdawała się promieniować blaskiem. Miał ochotę pochwycić ją w ramiona i z całej siły przyciągnąć do siebie, bał się jednak, że nieopatrznie może przysporzyć jej niepotrzebnego bólu.

- Które to ramię? - spytał cicho.

- Lewe - odpowiedziała i lekko się odwróciła. Ostrożnie zdjął ramiączko halki. Keelin stała zupełnie nieruchomo, jedynie falujące piersi i drżenie rąk świadczyły o jej wielkim wzburzeniu.

Marcus obiecał sobie, że powstrzyma się od wszelkich pieszczot, nie potrafił jednak się pohamować i nie dotknąć Keelin. Lekko przesunął palcem po jej szyi i zadrżał, ogarnięty nagłym pożądaniem.

Na jej ramieniu zobaczył czerwone zadrapanie, wokół którego już zaczynał ciemnieć pokaźny siniec. Pewnie ją to bolało przy każdym gwałtowniejszym ruchu, ale na szczęście kość nie została złamana.

Przeniósł spojrzenie na twarz Keelin, która pod wpływem jego wzroku zaczerwieniła się po korzonki włosów.

Wystarczył przecież jeden ruch ręką, by Keelin stanęła przed nim naga. Marcus walczył z pokusą. Nie zdołał jednak zapanować nad przemożnym pożądaniem. Nie zaszkodzi popatrzeć, pomyślał. Może nawet dotknąć? Lecz to wszystko. Przecież nic się nie stanie.

Ale i to było już za wiele.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

- Marcusie - szepnęła Keelin.

- Jesteś tak piękna. - Ucałował jej dłoń. Potem pochylił się i delikatnie pocałował ją w stłuczone ramię.

Schylił się jeszcze niżej i musnął ustami jej różowy i mocno nabrzmiały sutek. Nigdy dotąd nie posmakował czegoś tak wspaniałego. Keelin wplotła mu ręce we włosy i wygięła się, by łatwiej mógł sięgnąć do jej piersi.

- Marcusie! Błagam.

On jednak wyprostował się i naciągnął halkę na jej ramiona. Miał nadzieję, że Keelin to zrozumie. Nie chciał, by potem oboje żalowali tej chwili zapomnienia.

- Keelin, lepiej będzie, jak teraz sobie pójdę.

- Nie.

- Tak - odparł sucho. Znalazł w sobie dość siły, by na nowo zawiązać tasiemki jej sukni. - Zostawiam cię na jakiś czas. Muszę się wykąpać i przebrać. Spotkamy się przy wieczerzy. Zjemy ją razem, w wielkiej sali.

- Marcusie...

Uciał dalszą rozmowę szybkim pocałunkiem.

- W wielkiej sali - powtórzył. - Na wieczerzy.

W komnacie czekała na niego nagrzana balia, ale nie tracił czasu na wysiadanie w wodzie. Umył się szybko, na stojąco, lecz dokładnie. Wprawdzie nie pozbył się zmęczenia, ale splukał z siebie brud, pot i krew rodzącej klaczy. Nie miał pojęcia, jak długo wytrzyma z dala od Keelin. Pożądał jej tak, jak nigdy dotąd nie pragnął żadnej innej kobiety. Obiecał sobie jednak, że nie uczyni niczego, co naraziłoby na szwank jej dumę i jego rycerski honor.

Ucieszył się, że zbytnio nie ucierpiała w wypadku pod wieżą. Musiał się o tym przekonać na własne oczy. Przy okazji dowiedział się, że Keelin tęskniła do jego pieścizot.

Staraj się myśleć o czymś innym, nakazał sobie w duchu, nie o niej.

Oblał się wodą, by splukać resztki mydła, i wyszedł z balii. Miał jeszcze dużo do zrobienia przed wieczerzą.

Ubrał się szybko. Na korytarzu było już zupełnie ciemno, zabrał więc ze sobą kaganek. Na galerii nikogo nie spotkał. I bardzo dobrze,

pomyślał z satysfakcją. Skręcił za załom korytarza i wąskimi schodami wspiął się na szczyt wieży.

Chciał sprawdzić, jak to się stało, że kawał gzymsu runął na dół. Musiał to zrobić teraz, zanim murarze wezmą się z rana do naprawy. Nie przypominał sobie, żeby blanki w którymś miejscu kruszały. Sądził raczej, że to wichura obluzowała jakiś kamień.

Na schodach panował chłód i mrok. Marcus wszedł na górne piętro. W świetle kaganka zauważył, że na kilku ostatnich stopniach bielila się cienka warstwa śniegu.

Zmarszczył brwi. Nie powinno być szpary pod drzwiami, a przynajmniej nie tak dużej, by śnieg dostawał się do środka.

Otworzył drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Biały kobierzec, pokrywający taras na dachu wieży, jaśniał widmowym blaskiem w wątlej poświacie rzucanej przez kaganek.

Marcus od razu zauważył ślady.

Co prawda, były lekko zatarte, lecz wciąż widoczne. Ktoś niedawno wyszedł na taras, pobył tam chwilę, a potem wrócił. Przez to nawiało śniegu na schody.

Lecz po co ktoś miałby tu spacerować? Chyba że...

Nie. Nawet nie chciał myśleć o takiej potworności. To pewnie jeden z kamieniarzy lub rządcą ubiegł go, żeby sprawdzić, skąd spadł kawałek muru. Najlepiej będzie, jak tuż po wieczery porozmawiam z mieszkańcami zamku i dowiem się, kto z nich już słyszał o wypadku Keelin i kto tu włóczył się po dachu, zdecydował.

Uniósł lampkę i podszedł do krawędzi tarasu. Popatrzył w dół. Nic nie mąciło mu widoku na wąską ścieżkę. W polu widzenia nie było żadnych drzew lub krzewów. Rozejrzał się po zębatych blankach, by znaleźć wyłom w murze.

I znalazł. Lecz nie tam, skąd kamień spadł na Keelin.

Keelin zajmowała honorowe miejsce za stołem. Służba przynosiła jej wykwintne dania. Czowała się wyróżniona tym, że siedziała po prawej ręce przy Marcusie, panu na zamku Wrexton. Przepelniały ją jednak nie tyle uczucia dumy i satysfakcji, co radość z bliskości ukochanego i pragnienie ponownego znalezienia się w jego ramionach.

Mijający dzień był wyjątkowo pełen wrażeń. Najpierw lekcja strzelania z łuku, wciąż przerywana przez Marcusa ukradkowymi

pieszczotami, potem wypadek, z którego szczęśliwie wyszła cała, wreszcie sam na sam w jej komnacie.

Spoglądała spod oka, jak Marcus kroił mięso i unosił do ust kielich wina. Oddychała o wiele głębiej, żeby choć trochę poczuć jego zapach. Ten siedzący obok mężczyzna, którego obecność napawała ją poczuciem bezpieczeństwa, budził w niej tak silne pożądanie, że czuła się zakłopotana.

Postanowiła cieszyć się chwilą i nie myśleć o wyjeździe. Zostawiła to sobie na później. Na razie próbowała dodać sobie odwagi łykiem wyśmienitego wina. To pomagało jej zapanować nad emocjami.

Baron Selby siedział po lewej ręce Marcusa. Dalsze miejsca przeznaczono dla jego żony i córek. Jak zwykle tryskał jowialnym humorem, choć trochę się zżymał, że śnieżycy zmusiła go do tego, aby przerwał podróż. Zamek Wrexton mijał w drodze powrotnej z odwiedzin u rodziców lady Selby.

- Nie spodziewałem się tak paskudnej pogody - rzekł. - Kto by to pomyślał? Jeszcze przed świętami? Gdybym mógł to przewidzieć, nawet nosa bym nie wychylił z zamku Rentford, gdzie mieszka ojciec mojej żony.

- Tato - odezwała się jego młodsza córka, Elga - przecież dziadek cię ostrzegał.

- Hola, hola, moja młoda panno! - zmitygował ją Selby. - Nie próbuj się sprzeciwiać starszym. Dziadek nie był zupełnie pewien, czy po ostatnich deszczach pogoda się odmieni.

I tak to trwało. Przekomarzali się po przyjacielsku niemal przez całą wieczerzę. Co najdziwniejsze, Isolda nie zasiadła do wspólnego stołu, choć wydawałoby się, że powinna uczestniczyć w podejmowaniu gości. Keelin była jej za to wdzięczna. Czuła się swobodniej, gdy nie czuła na sobie karcącego spojrzenia kasztelanki.

W wielkiej sali ustawiono prowizoryczne stoły i wniesiono ławy, tak że wszyscy mogli uczestniczyć w wieczerzy, nie tylko gospodarze i najważniejsi goście. W rogu skakali akrobaci w kolorowych kostiumach, a dwóch minstreli stroiło instrumenty, by zaśpiewać ballady o odwadze i miłości.

- Dobrze już radzisz sobie z łukiem, pani? - spytał sir Robert, siedzący nieco dalej od Keelin.

Roześmiała się.

- Jeszcze daleko mi do tego, żeby być mistrzynią, sir - odparła. - Staram się, jak tylko mogę. Chyba robię postępy.

- Lord Marcus jest wspaniałym instruktorem - zauważył sir William. - Nie zdarza się, by chybił raz obranego celu.

Keelin przyjrzała mu się uważniej. Wydawało jej się, że zauważyła jakiś szczególny błysk w oczach sir Williama, ale nie była tego pewna.

- Rzeczywiście - przyznała. - Czy równie dobrze radził sobie z ruchomym celem?

- Chyba tak - odparł Robert. - A ty sam, co o tym sądzisz, milordzie? - zwrócił się do Marcusa.

- Przechodziłem już rozmaite próby - oschle powiedział earl. - Nie chwaląc się, ze wszystkich wyszedłem zwycięsko.

- Lady Keelin - rozległ się nagle kobiecy głos. To Isolda stanęła obok krzesła Keelin. Mówiła cicho, a na jej twarzy malował się wyraz zakłopotania. - Mogę z tobą chwilę porozmawiać?

Keelin wolałaby odmówić, lecz Isolda wyglądała na mocno przejętą. Widocznie stało się coś złego. Może chodzi o dziecko Annie? - pomyślała. A może ktoś inny zachorował? Wstała bez słowa i skinęła głową. Marcus dopiero teraz zauważył Isoldę.

- Dokąd idziesz? - zapytał, z niepokojem spoglądając na Keelin.

Wzruszyła ramionami i odruchowo potarła ręką obolałe miejsce.

- Będę w pobliżu, Marcusie - odpowiedziała. - Jedz spokojnie i nie kłopotz się. Zaraz wrócę.

Marcus pokręcił głową.

- Jeśli pozwolisz, to wolałbym pójść z tobą - rzekł na pozór uprzejmie, ale stanowczo.

Keelin była mu nawet wdzięczna, że tak się o nią troszczył, choć jego obecność nadal wprawiała ją w rozterkę.

Odeszli parę kroków od stołu. Marcus stanął za Keelin. Miała ochotę wesprzeć głowę na jego szerokiej piersi.

- Lady Keelin - zaczęła Isolda, starannie omijając wzrokiem barczystą sylwetkę earla - bardzo żałuję swojego zachowania i tego, że naraziłam cię na te wszystkie przykrości podczas pobytu na zamku Wrexton. - Powiedziała to cicho, lecz sprawiała wrażenie szczerze przejętej.

Zaskoczona Keelin nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Isolda jednak nie czekała, ale mówiła dalej:

- Te... postęпки były złośliwe, dziecinne i głupie. Doprawdy nie wiem, co mnie podkusiło. Wybacz mi zatem. Z całego serca, chociaż późno, witam cię w naszych progach i zrobię wszystko, aby twój pobyt tutaj upłynął jak najprzyjemniej.

Rzuciła okiem na Marcusa, a potem znów spojrzała na Keelin.

- Dziękuję ci, Isoldo - powiedziała Keelin i przyjacielskim ruchem wyciągnęła do niej obie ręce. Isolda szybko uściśnęła jej dłonie, odwróciła się i uciekła.

Keelin przypatrywała jej się jeszcze chwilę, póki nie zniknęła za plecami licznie zgromadzonych gości. Potem wróciła do stołu. Robert i William byli mimowolnymi świadkami przeprosin Isoldy. Robert uśmiechał się szeroko, z wyraźnym zadowoleniem, ale William siedział z ponurą miną, jakby nie wierzył w dobre intencje kasztelanki.

- To było bardzo miłe - powiedziała Keelin do Marcusa, kiedy znów zajęli miejsca za stołem. Chciała, żeby usłyszał to także sir William. W głębi serca wierzyła, że Isolda naprawdę żałowała swojego wcześniejszego postępowania.

Marcus bił się z myślami. Z jednej strony podzielał sceptycyzm Willa, z drugiej - przed chwilą widział twarz Isoldy. Chyba nie kłamała.

Pozostawało jeszcze pytanie, co było przyczyną wczorajszego wypadku Keelin - i czy naprawdę chodziło o wypadek. Marcus od razu skierował swoje podejrzenia na Isoldę, ale dowiedział się od służby, że w krytycznym momencie na pewno przebywała wśród gości, w wielkiej sali. Zatem to nie ona zostawiła ślady na tarasie.

Kto zatem mógłby pałać nienawiścią do Keelin? Służba darzyła ją miłością i szacunkiem, zwłaszcza po tym, jak wyleczyła małą Peg. Co i rusz słyszał słowa zachwytu i wdzięczności, wypowiedane pod adresem pięknej i mądrej Irlandki. Pokojówki chodziły do niej z pełnym zaufaniem, prosząc ją o radę i pomoc w różnych sprawach.

A zatem może kamień spadł jednak przypadkiem? Świt pokaże, pomyślał Marcus. Nie zamierzał zbyt szybko porzucać śledztwa. Obawiał się, że w ciemnościach mógł coś przeoczyć.

Keelin zdawała sobie sprawę, że Marcus wolałby nie gościć tylu przybyszów. Przecież niedawno pochował ojca. Czas żałoby ma swoje wymogi. Co innego gałązki sosny i ostrokrzewu, którymi ozdobiono

zamkowe komnaty i sale, a co innego wystawne uczyły ze śpiewem i cyrkowymi popisami.

A jednak gościom należało się nieco wytchnienia po trudach ciężkiej zimowej podróży. Marcus zupełnie mądrze nie zakazał tańców i zabawy, chociaż sam nie brał w nich udziału.

Spośród gości, którzy czasowo zatrzymali się w zamku, Keelin zaniepokoiła obecność dwóch młodzieńców - z wyglądu rycerzy i braci. Nie byli tak dorośli, jak w pierwszej chwili jej się zdawało.

Obaj mieli długie i ciemne włosy. Jeden z nich wyróżniał się dołkiem w brodzie i kolorem oczu. Jedno miał niebieskie, a drugie brązowe. Wiedziano o nich, że wyjechali w podróż z polecenia swojego pana, wicehrabiego Lincoln i nieomal pobłądzili w szalejącej zamieci. Keelin pomyślała sobie, że ów wicehrabia nie należał chyba do najbogatszych osób w królestwie Anglii, skoro dał rycerzom tak zaśnieżone zbroje i postrzępiony ubiór.

Zauważyła także, iż wszystkie niewiasty z zamku dalekim łukiem omijały niezwykłych przybyszów. Postanowiła robić to samo.

Siarczasty mróz skłaniał wszystkich do przesiadywania w wieży. Z dnia na dzień było coraz zimniej. Marcus rozkazał służbie rozdać gościom dodatkowe pledy i płaszcze.

W tak dużej grupie nietrudno było o rozmaite waśnie. Ludzie earla stanowczo rozdzielali skłóconych wartogłówów, zanim doszło do poważniejszej bitki. Wciąż jednak mieli pełne ręce roboty. Służba wprost nie nadążała z wykonywaniem różnych poleceń. Marcus zagonił wszystkich do roboty, nie wyłączając gości.

Niemal każdy z utęsknieniem czekał na zmianę pogody. Tylko Marcus był tutaj wyjątkiem, bo dla niego oznaczało to rozstanie z Keelin. Miała przecież zostać na zamku tylko do końca kuracji Adama, a stan zdrowia rannego chłopca wyraźnie poprawiał się z dnia na dzień. Już zaczął pomału wstawać z łóżka.

Przez kilka ostatnich dni Marcus nie rozmawiał z Keelin o wyjeździe. Uznał, że lepiej będzie zostawić ją w spokoju. Jej uczucia musiały dojrzeć. Zorientował się, że dziewczyna bije się z myślami.

Wreszcie doszedł do wniosku, że pora zacząć działać. W wielkiej sali panował spokój. Paru najbardziej zaufanych rycerzy ze świty earla pilnowało porządku.

Marcus świetnie zdawał sobie sprawę, że Keelin nie odmówi mu wspólnej wyprawy do ptaszarni. Spytał ją zatem, czy nie chciałaby

obejrzeć ćwiczeń młodych drzemlików. Kilka razy rozmawiał o tym z Geraldem i dowiedział się, że ptaki powinny już pomału przyzwyczajać się do ludzi.

- Och, milordzie! - zawołał Gerald na widok Marcusa i Keelin wchodzących do długiego budynku ptaszarni. - Właśnie... właśnie miałem wychodzić.

- Nie, Geraldzie. Jeszcze nie - odparł Marcus. Sokolnik postępował w myśl jego instrukcji. Marcus prosił go przedtem, żeby za każdym razem dyskretnie się usuwał, ilekroć przyjdą z Keelin do ptaszarni. - Zostań i pokaż nam pisklęta.

- Tak, milordzie. - Sokolnik uśmiechnął się szeroko. - To doprawdy wspaniałe ptaki. Już przywykły do kaptura i dzwonek. Spędziły też całą noc na dworze.

- W takim razie są prawie gotowe do wabienia.

- Tak, milordzie.

- Co to znaczy, mistrzu Geraldzie? - zapytała Keelin z zaciekawioną miną.

Gerald wdał się w obszernie wyjaśnienia i pociągnął ją za sobą w głąb ptaszarni. Marcus szedł dwa kroki z tyłu. Znając miłość dziewczyny do sokołów, miał nadzieję, że zdoła ją namówić na wspólną wycieczkę poza mury zamku, żeby przyjrzała się ćwiczeniom.

Gdyby na to wyraziła zgodę, musiałaby zostać trochę dłużej.

Doszli do żerdzi, na której siedziały dwa młode ptaki.

- Zachowuj się teraz jak najciszej, milady - spokojnym i łagodnym głosem powiedział Gerald. - Na razie znają tylko mnie, zatem...

Wyciągnął rękę. Jeden z drzemlików usiadł na jego rękawicy. Gerald przemówił doń czułym tonem, potem podsunął go dziewczynie. Delikatnie pogłaskała sokoła po głowie. Ptak siedział nieruchomo, nie zdradzając objawów zaniepokojenia. Z ciekawością rozglądał się po wnętrzu ptaszarni, w której panował półmrok.

Marcus wziął Keelin za rękę i nałożył jej rękawicę. Gerald ostrożnie przekazał jej sokoła. Oczy dziewczyny błyszczały z radości i podniecenia.

- Przemów do niej łagodnie, pani - poradził jej Gerald, głaszcząc sokolicę.

- Piękna jesteś. - Drzemlik lekko nastroszył pióra, ale po chwili się uspokoił, kiedy Keelin nie przestawała mówić.

Całkiem inaczej było z Marcusem. Stanął jak mógł najbliżej i z lubością słuchał jej słodkiego głosu.

- Może pozwolisz, że już sobie pójdę, milordzie - odezwał się Gerald. - Kaptury ptaków leżą tam, na półce.

Marcus przyzwalajaco skinął głową.

Keelin wciąż przemawiała do drzemlika. Zasłuchany Marcus nie rozróżniał słów, urzeczony dźwięcznym i melodyjnym głosem.

Cicho skrzypnęły drzwi zamykane przez wychodzącego Geralda. Marcus pochylił się i poczuł, jak włosy Keelin muskają mu brodę. Głęboko wciągnął w nozdrza jej zapach. Nie wykonywał jednak żadnych gwałtowniejszych ruchów, żeby przypadkiem nie przestraszyć sokoła.

Jedyna pochodnia paliła się w pobliżu wejścia, w budynku panował więc półmrok. W ciemnościach majaczyły sylwetki pozostałych ptaków. Niektóre siedziały na wysokich żerdziach, mniej więcej na wysokości męskich ramion, inne znów bardzo nisko, tuż przy samej ziemi. Z tyłu był spory kawałek wolnej przestrzeni, przeznaczony do lotów i ćwiczeń.

- Ach, uwielbiam dźwięk twoich dzwoneczków, maleńka - powiedziała Keelin. - Marcusie, po co im dzwonki? - zapytała tym samym tonem, nie odwracając głowy.

- Żeby sokolnik słyszał ich ruchy - wyjaśnił półgłosem. - W ptaszarni przez cały czas ktoś czuwa. Albo Gerald, albo też któryś z jego pomocników.

- Nic o tym nie wiedziałam. Chociaż powinnam się domyślić. To przecież bardzo cenne ptaki.

- Wybierzesz się z nami na trening? - spytał. Keelin zastanawiała się przez chwilę. Marcus przeszedł na drugą stronę, by na nią spojrzeć. Wyjął z jej rąk sokolicę i posadził ją z powrotem na żerdzi.

- Kiedy pogoda się poprawi, zabierzemy je na pole i zobaczymy, co potrafią. - Wyciągnął dłoń i ujął Keelin pod brodę. - Powiedz, że z nami pójdiesz.

Wpatrywała się w niego jak urzeczona. Blask pochodni zamigotał w jej oczach złotym płomieniem. Keelin na moment przymknęła powieki.

- Tak, Marcusie - szepnęła. - Pójdę. Uśmiechnął się, słysząc tę odpowiedź, i pogładził ją lekko po włosach.

- Spójrz w górę.

Uniosła głowę i popatrzyła na ciemne belki.

- Och, jemiola.

Skinał głowę. Keelin z ciekawością przypatrywała się gałązkom.

- Mówiłeś o czarach - przypomniała sobie. Jej głos brzmiał cicho i nieśmiało w tak wielkiej przestrzeni.

- Wielu to powtarza - odparł. Przez chwilę bawił się pasmem jej włosów.

- Wystarczy powiesić taki pęk jemioly? - spytała. Marcus uśmiechnął się półgębkiem.

- Właśnie - odparł - i mieć koło siebie ukochaną.

- Ukochaną? - szepnęła.

- Tak - odpowiedział i zawładnął jej ustami, wkładając w pocałunek całą swą namiętność.

Keelin była pełna obaw, ale jednocześnie czekała z nadzieją, że coś takiego się wydarzy. Mimo wysiłków nie udało jej się pozostać obojętną. Pokochała Marcusa. Tak, była tego pewna. Nikt jednak nie zwolnił jej z obowiązków wobec klanu Ui Sheaghda. Musiała porzucić ukochanego i wracać do Irlandii. To było źródło jej nieustannych wątpliwości, rozterek, ba, nawet rozpacz. Zapragnęła, by pęk jemioly miał taką moc, żeby na zawsze zatrzymał ją we Wrexton, przy Marcusie.

Przywarła do niego, drżąca i zmieszana, on zaś pogładził ją po głowie, ramionach i plecach. Zdawała sobie sprawę, że być może takie czułe sam na sam już nigdy się nie powtórzy. Przecież pora wyjazdu zbliżała się nieubłaganie.

- Och, Keely - szepnął Marcus. Pocałował ją w szyję. - Nawet nie wiesz, jak bardzo cię pragnę.

Wiem, pomyślała. Samotna łza spłynęła jej po policzku. Tak samo jak ja pragnę ciebie, ale nie mogę do tego przyznać się na głos.

Wplotła mu ręce we włosy i przez dłuższą chwilę pozwalała się pieścić.

- Marcusie - z lubością wypowiadała imię ukochanego.

Mocniej przygarnął ją do siebie. Musnął ustami czułe miejsce tuż za jej uchem.

- To prawdziwa magia - powiedziała, choć wiedziała, że jej uczucia do Marcusa były tak silne, iż czary nie były potrzebne.

Nieoczekiwanie odsunęła się od niego.

- Keelin? - zapytał z niepokojem.

- Marcusie - powiedziała łamiącym się głosem. - Nie możemy. To niemożliwe.

- Keelin, nic nie mów.

- Błagam! - krzyknęła i odwróciła się od niego.

- Nie utrudniaj i tak już niełatwej sytuacji. Muszę jechać do domu.

- Nie - odparł gniewnie.

- Nie mogę zostać - powiedziała ciszej i odeszła parę kroków. - Nawet gdybym tego pragnęła z całego serca.

Mocniej owinęła się płaszczem i wyszła z ptaszarni. Szła ciężko, nogi miała jak z ołowiu. Przecież mogłaby jeszcze wrócić i wtulić się w jego ramiona.

Gwałtownym ruchem uniosła spódnicę i puściła się biegiem do wieży. Pędziła, jakby sam diabeł deptał jej po piętach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

- Nie wyjedziesz w taką pogodę - powiedział Tiarnan, nasłuchując krzątający bratanicy. - To zbyt niebezpieczne.

- Śnieg wiecznie nie będzie padać - odparła Keelin i włożyła kolejną suknię do sakwy. Drewniany kufer zostawiła stryjowi. Zabierała ze sobą tylko to, co było najpotrzebniejsze w drodze.

- A co z Ga Buidhe an Lamhaigh? - spytał. - Kto obroni was podczas podróży?

- Znajdzie się jakiś sposób, stryju - odpowiedziała, pewna, że powinna wyjechać jak najszybciej, zanim uczucie do Marcusa jej to uniemożliwi. Nim oboje będą mieli złamane serca. - Może opłace kilku rycerzy z Wrexton, by zapewni mi ochronę.

- Rozmawiałś już o tym z Marcusem? - zapytał Tiarnan z wyraźnym rozdrażnieniem. Nigdy na nią nie podnosił głosu, lecz teraz widać było, że jest bardzo zdenerwowany. Czyżby naprawdę nie rozumiał, że musiała zawieźć Ga Buidhe an Lamhaigh do Carrauntoohil?

- Nie - odparła.

Tiarnan ze zniecierpliwieniem uderzył się dłonią w udo.

- Skoro podjęłaś już decyzję, to dlaczego płaczesz? Keelin pociągnęła nosem i otarła łzy.

- Nie... nie płaczę - zaprzeczyła donośnym tonem, chociaż wcale nie była pewna, czy stryj Tiarnan uwierzy w to kłamstwo. - Tylko...

- Co tylko? - burknął.

Prawdę mówiąc, lojalność Keelin wobec klanu i jej poczucie obowiązku były godne pochwały. Została w tym duchu wychowana. Od małego wpajano jej określone zasady i przekonanie, że przejmie po matce dar jasnowidzenia, co zresztą się stało. Tiarnan jednak pragnął, by Keelin żyła w szczęściu i spokoju, a powrót do Kerry jej tego nie gwarantował. Przeciwnie, na rodzinnej ziemi będzie narażona na ciągle niebezpieczeństwo. Poza tym, każda dłuższa podróż wiązała się z poważnym ryzykiem, a zimowa pogoda jeszcze je powiększała. W dodatku Keelin będzie miała przy sobie świętą włócznię, bezcenny skarb, i to nie tylko dla klanu Ui Sheaghda, ale i dla Mageeanów, którzy od dawna chcieli ją zawładnąć.

Tiarnan był przekonany, że jego ukochana bratanica znalazła drogę do serca Marcusa de Granta. Ten dzielny, szlachetny i przyzwoity młodzieniec najwyraźniej zakochał się w Keelin i chciał ją

zatrzymać przy sobie. W Kerry nie znalazłby się nikt lepszy od niego, ani wśród młodych, ani wśród starych, nie wyłączając oczywiście obleśnego Fena McClancy'ego, któremu Eocaidh O'Shea obiecał córkę, kierując się wyłącznie potrzebami klanu.

Może do pewnych rzeczy trzeba po prostu dorosnąć?

A może trzeba się zestarzeć, żeby w pełni docenić wartość ideału? Przez całe życie byłem samotny, myślałem o Tiarnan. Gdybym tak teraz mógł je przeżyć znowu, na pewno poszukałbym bratniej duszy. Niewiasty, którą mógłbym się opiekować, dzielić z nią troski i radości, kogoś, kto za moje starania odpłacałby mi szczerą miłością.

Szkoda, że Marcus nie zaciągnął Keelin w jakieś ustronne miejsce i nie przypieczętował ich znajomości tak, by dziewczyna nie miała wyboru i została jego żoną. Tiarnan starał się, jak mógł; wysłał go do jej komnaty, wiedząc, że Keelin będzie brała kąpiel.

Niestety, nic z tego nie wyniknęło. Przynajmniej on o niczym nie słyszał. Wciąż nikt nie mówił o rychłych zaręczynach, a Tiarnan zrobiłby wszystko, żeby tych dwoje młodych wartościowych ludzi połączyło swe losy.

- Stryju, nie mam wyboru - powiedziała Keelin, unosząc materac. Wyjęła ze schowka świętą włócznię i szybko odłożyła ją na łóżko, jakby bała się trzymać ją dłużej w dłoniach. - Ciągłe nachodzi mnie przeczucie, że stanie się coś bardzo złego. Muszę zabrać Ga Buidhe an Lamhaigh i pojechać do Kerry, zanim ród O'Shea popadnie w kłopoty.

- Ale Marcus...

- To nie ma z nim nic wspólnego. Miłuję go i pewnie już nigdy nie pokocham innego. - Odeszła parę kroków. Starzec wyczuwał jej zdenerwowanie, a po chwili usłyszał, że przemierza nerwowo komnatę. - Zrozum wreszcie, że nie pozostawiono mi wyboru! Muszę przekazać włócznię starszyźnie klanu Ui Sheaghda. Dobrze wiesz, ile dla nich znaczy Ga Buidhe an Lamhaigh. Nie da się jej niczym zastąpić i tylko ja mogę przekazać, na co święta włócznia wskazuje.

- Keely, maleńka.

- Stryju! Ciiicho.

- Co się stało? Zadrzała.

- Ktoś słyszał naszą rozmowę.

- Kto?

- Nie mam pojęcia. Wyraźnie czułam, że ktoś słyszał każde nasze słowo... o włócznie i o mojej podróży do Kerry. Ktoś źle mi życzy.

- Kasztelanka?

- Nie wiem.

Tiarnan pamiętał, że w sytuacji zagrożenia Keelin brała do ręki włócznie, żeby upewnić się co do swoich podejrzeń, wyjaśnić wątpliwości czy wzmocnić przeczucie. Jednak kontakt z włóczęm, ujście przyszłych zdarzeń na kilka godzin wcześniej, poddanie się wizji odebrałyby Keelin siłę. Jeśli zaś wróg znajdował się blisko...

- A co z twoim przeczuciem? - zapytał cicho. - Może chodzi o Wrexton? Wszak z tym miejscem jesteś równie mocno związana jak z Carrauntoohil.

Keelin pokręciła głową.

- Nie wiem, stryju - szepnęła. - Nie wiem.

Keelin nie przyszła do wielkiej sali na wieczerzę. Marcus siedział sam, wściekły i stęskniony. Był zły na siebie, że jej nieobecność sprawia mu tak wielką przykrość. Jednym uchem przysłuchiwał się temu, o czym mówił baron Selby, i spod oka patrzył na kolędników, przedstawiających kolejny „dramat z życia wzięty”.

Tym razem była to sztuka o zalotach. Pokraczny błazen w cudacznym stroju umizgiwał się do pięknej panny. Oczywiście, wśród postaci przewinał się też bitny rycerz, ale zginął już w pierwszym akcie. Błazen za to bez wytchnienia ponawiał swoje próby, by zdobyć serce ukochanej.

Nieporadne zaloty błazna przypominały Marcusowi własną nieśmiałość, którą latami odczuwał wobec kobiet. Wiedział też, że niełatwo trafić na tę jedną, jedyną, z którą jest się gotowym dzielić smutki i radości życia.

A teraz, kiedy ją odnalazł, wkrótce miał ją stracić.

Pociągnął solidny łyk piwa i w ponurym milczeniu patrzył na aktorów. Zabity rycerz wreszcie ożył, polany święconą wodą. Rany zniknęły z jego ciała, zabrał drewniany miecz i przez błoto i pluchę udał się w długą wędrówkę, by odnaleźć swoją bogdanę. Tę, na którą błazen także miał ochotę.

Marcusa znużyły występy. Wypił piwo i podniósł się od stołu. W obecnym nastroju i tak nie pasował do rozbawionego towarzystwa.

Wyszedł posępny jak chmura gradowa. Po drodze zarzucił płaszcz na ramiona i opuścił wielką salę. Nawet nie wiedział, dokąd

idzie. Ogarnęła go wściekłość. Bał się, że może kogoś skrzywdzić złym słowem lub uczynkiem.

Pogoda uniemożliwiała samotną przejażdżkę konno wokół zamkowych murów. Marcus osłonił się przed wiatrem i poszedł do ptaszarni. Tam zawsze było coś do roboty. To rękawica do naprawy, to smycz do przycięcia. Mógł też na parę chwil zająć się młodziakami. Wszystko, byle nie myśleć o Keelin.

Otworzył drzwi, lecz musiał je dobrze przytrzymać, żeby wiatr ich nie wyrwał z zawiasów. Wszedł do środka i rozejrzał się po ciemnym wnętrzu.

Zapalił lampę i zdrętwiał ze zgrozy. Ktoś tu niedawno buszował.

Gwin i Cleo zniknęły ze swoich żerdzi. Nie było także dwóch drzemlików, które niedawno rozpoczęły trening.

Ale gdzie Gerald?

Marcus z lampą w ręku uważnie rozglądał się po pomieszczeniu. Jedna ławka była wywrócona, szuflady powyciągane.

- Gerald! - zawołał Marcus. Poszedł w głąb, wyteżając wzrok, by dostrzec coś w półmroku.

Nie doczekał się odpowiedzi, kontynuował więc obchód. Zauważył brak dwóch następnych ptaków - podobnie jak poprzednie, najcenniejszych z jego kolekcji.

Wreszcie spostrzegł podłużny kształt, rozciągnięty na ziemi. Podeszedł bliżej, pełen najgorszych przeczuc. Postawił lampę na podłodze i odwrócił sokolnika twarzą do góry. Na czole Geralda widniała krwawa rana, ale oddychał.

- Geraldzie! - zawołał Marcus.

Sokolnik jęknął, lecz nie otworzył oczu. Marcus potrząsnął nim łagodnie. Wreszcie, po kilku próbach, przywrócił go do świadomości. Gerald spojrzał na niego półprzytomnie.

- Lord Marcus... - wykrztusił z trudem.

- Co się stało? - zapytał earl. - Masz jeszcze jakieś inne rany?

- Nie, milordzie - odpowiedział Gerald. Marcus pomógł mu usiąść. - Chyba nie. Jestem tylko porządnie potłuczony.

- Powiedz mi, co się stało. Kto to zrobił? - Marcus powiódł wzrokiem po zniszczonej ptaszarni.

- Jacyś dwaj - mruknął Gerald i ostrożnie dotknął obolałej głowy.

- Kto?

- Tego nie wiem, milordzie - powiedział. - Na pewno nie byli z wioski ani z naszego zamku. Pewnie przybysze. Ktoś z tej grupy, która koczuje w wielkiej sali. Wybacz, milordzie, we łbie mi huczy.

- Nie wstawaj - rozkazał mu Marcus. - Siedź tu, gdzie jesteś. Sprowadzę pomoc.

Szybko przebiegł przez skuty mrozem dziedziniec i zawołał kilku myśliwych i stajennych. Kazał im zająć się Geraldem i uprzątnąć ptaszarnię.

Masztalerz Boswell stał pośrodku całego bałaganu. Wziął się pod boki i pokręcił głową.

- A co się stało z sokołami? - spytał.

- Ukradli je - odparł Marcus. To była jedyna rozsądna odpowiedź. Złodzieje przeszukali cały budynek, zabrali też rzemienie i kaptury. - Jeśli zdołają uciec dość daleko, sprzedadzą je za niemałą cenę.

- Ruszamy w pościg? Marcus potrząsnął głową.

- Najpierw pošlij kogoś do bramy. Niech spyta, czy jacyś ludzie ostatnio opuszczali zamek. A my poszukamy tutaj - od piwnic, aż po same dachy.

- Naprawdę chcesz wyjechać? - spytał Adam. Na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiego smutku.

- Tak, Adamie - odparła Keelin. Jej też wcale nie było do śmiechu. - Jak tylko pogoda nieco się poprawi, ruszam w podróż. Mówiłam ci już, że mam obowiązki wobec swoich krewnych.

- A co ze mną? Jesteś mi potrzebna!

Adam nie był zbyt skory, aby kogokolwiek błagać o przysługę, lecz wobec Keelin wyczerpał już wszystkie argumenty, a za wszelką cenę chciał ją zatrzymać w zamku.

- Co z Marcusem? - zapytał. - Pomyślałaś chociaż przez chwilę, co z nim będzie, jeśli stąd wyjedziesz?

- Bez wątpienia da sobie radę. Taki człowiek jak on nie pozostanie długo w bezzennym stanie. Poza tym ma Isoldę.

- Mylisz się, Keelin! - krzyknął Adam. - Nigdy nie patrzył na Isoldę w taki sposób, jak przez te dni spoglądał na ciebie. Za każdym razem gdy wuj Eldred namawiał go do małżeństwa, niezmiennie odmawiał.

Zakłopotana Keelin odwróciła wzrok. Nie była pewna, co chłopiec jeszcze zauważył.

- To prawda - zapierał się Adam. - Widziałem też, jak ty niego patrzysz!

- Adamie, jesteś jeszcze stanowczo za młody, żeby zrozumieć pewne ważne rzeczy - powiedziała. - Na ludziach ciężą obowiązki, które... które... - Urwała, odetchnęła gwałtownie i z wyraźnym bólem. Zwinęła się, jakby ktoś ją uderzył. Szeroko rozwartymi ustami łapczywie wdychała powietrze, a przed jej oczami formowała się wyraźna wizja.

Zobaczyła na wpół rozwaloną szopę. Śnieżycą hulała wokół jakiejś kamiennej rzeźby czy budowli. Z konarów drzew zwisały ciężkie sople lodu. Na ziemi czerwieniły się liczne plamy krwi, a Ga Buidhe an Lamhaigh... zniknęła?

Powróciło dojmujące poczucie zagrożenia. Nieszczęście zbliżało się wielkimi krokami. Nie widziała jednak, co to będzie. Może gdyby...

- Keelin? - z niepokojem zawołał Adam. - Co się stało? Co się z tobą dzieje?

Zmusiła się do powrotu do rzeczywistości. Nie chciała denerwować chłopca.

- Nic, nic, Adamie - uspokoiła go, choć nie zdołała zapanować nad głosem. Z wolna odzyskiwała spokój po szoku wywołanym wizją. - Przypomniałam sobie, że mam jeszcze coś bardzo ważnego do zrobienia. No, już późno - dodała raźniejszym tonem. - Najlepiej będzie, jak spróbujesz zasnąć. Życzę ci dobrej nocy i miłych snów.

Zamierzała nawiązać kontakt z włóczęgą dopiero po powrocie do Kerry, jednak bieg wypadków skłaniał ją do tego, żeby uczynić to jak najszybciej. Musiała wiedzieć, co powinna zrobić, by nie stracić Ga Buidhe an Lamhaigh.

Czekał ją zatem kolejny seans - i kilka godzin osłabienia. Nie miała jednak innego wyjścia.

Idąc galerią do swej komnaty, dobrze słyszała głośny gwar i hałasy, dobiegające z dołu, z wielkiej sali. Po paru kolejnych kłótniach, które miały miejsce ostatnimi dniami, Marcus coraz dłużej przebywał wśród przybyszów, których musiał gościć. Chciał mieć na nich oko. Świadomość tego, że był tak blisko, działała na nią uspokajająco.

Nie powiedziała Tiaraanowi, że zamierza odwołać się do potęgi włóczni. Stryj zawsze bał się o nią, kiedy to robiła. Poszła prosto do swojej komnaty, zapaliła lampę i odrzuciła siennik.

Ga Buidhe an Lamhaigh tam nie było. Zniknęła także sakiewka ze złotymi monetami, która leżała ukryta wraz z włócznią.

Keelin zapaliła jeszcze jedną lampę i zaczęła przeszukiwać całą komnatę. Dobrze pamiętała, że schowała włócznię i sakiewkę, zanim odprowadziła Tiarnana. Stryj na pewno nie wrócił tutaj. Nie przeszedłby tak daleko o własnych siłach. Nie odnalazłby właściwej drogi, nie mówiąc o tym, że po omacku nie zdołałby przewrócić ciężkiego siennika.

Włócznia nie mogła tak po prostu zniknąć! - gorączkowo myślała Keelin, chociaż nie wyczuwała jej obecności w komnacie.

Straciła wiele cennych minut na bezowocne poszukiwania. Przekonała się, że skradziono jej nie tylko włócznię i sakiewkę, ale też inne cenne rzeczy - małą złotą broszkę, która kiedyś należała do jej matki, i wykładany klejnotami sztylet, własność ojca.

Złodziej zabrał wszystko, co według niego przedstawiało jakąkolwiek wartość. A jednak coś tu się nie zgadzało. Intuicja podpowiadała Keelin, że chodziło o coś poważniejszego niż zwykła kradzież. Zresztą nieważne. Musiała jak najszybciej odnaleźć Ga Buidhe an Lamhaigh. To było najważniejsze.

Postanowiła poszukać Marcusa.

Do tej pory starała się go unikać, żeby nie przysparzać sobie i jemu jeszcze większych cierpień. Pewnie się złościł, że nie zasiedli razem do wieczerzy. Teraz musiała poprosić go o pomoc. Doskonale zdawała sobie sprawę, że sama nigdy nie odnajdzie włóczni.

Wyszła z komnaty i nieomal zderzyła się z Beatrice. Nigdy ze sobą nie rozmawiały, lecz Keelin wyraźnie wyczuwała niechęć starej dwórki.

Beatrice była podobna do pajaka, broniącego się przed atakiem. Keelin aż się wzdrygnęła na to porównanie.

- Coś zginęło, milady? - zapytała Beatrice. Keelin spojrzała na nią podejrzliwie. Nie, pomyślała,

Beatrice nie byłaby tak głupia, żeby okradać gości swego pana. Nic nie wiedziała także o włóczni, chyba że to właśnie ona podsłuchiwała jej rozmowę z Tiarnanem. Na pewno nie była bez winy.

- Tak - odpowiedziała Keelin, patrząc jej prosto w oczy. - Spróbuj mi to wyjaśnić, Beatrice.

Stara błysnęła oczami w półmroku. Keelin nagle uprzytomniła sobie, że to te oczy tyle razy śledziły ją z ukrycia.

- Zjawił się tutaj pewien człowiek - zaczęła Beatrice. - Jeden z gości, rycerz, choć trochę dziwny. Jedno oko miał piwne, a drugie niebieskie. Szukał wartościowych rzeczy, jak na przykład książki lorda Marcusa. Takich rzeczy, które łatwo wynieść.

- Wybiegł z gabinetu pana i omal mnie nie przewrócił. Potem wszedł do twojej komnaty. Gdy stamtąd wyszedł, to powiedział, że będzie bogaty.

- Co jeszcze, Beatrice? - dopytywała się Keelin. - Co jeszcze powiedział?

- Nic - padła odpowiedź. - Wspomniał tylko, że znalazł lepsze miejsce, żeby przeczekać najgorszą śnieżycę. Takie, w którym nikt go nie znajdzie.

- Chyba cię polubił, skoro był taki gadatliwy. Beatrice wzruszyła ramionami.

- Być może - odparła.

- Mówił coś jeszcze?

- A dlaczego miałabym ci się ze wszystkiego zwierzać, pani? - spytała Beatrice. Zacisnęła pięści, cofnęła się aż pod ścianę galerii i dodała: - Zatrąłeś nam życie swoim przybyciem! Teraz z Isoldą musimy odejść z Wrexton.

- Odejść? O czym ty mówisz, kobieto?

- Lord weźmie cię za żonę - ze złością syknęła stara. - Nie jesteśmy mu już potrzebne.

Keelin niecierpliwie pokręciła głową. Wszyscy wiedzieli, że zamierzała jak najszybciej wyjechać do Kerry. Poza tym, cała ta rozmowa nie pomoże mi w odzyskaniu Ga Buidhe an Lamhaigh, pomyślała. Niech złodziej zatrzyma sobie broszkę i sztylet, ale w zamian musi mi oddać włócznie!

- Powiedz mi więcej o tym draniu, który buszował po mojej komnacie - zażądała i pochyliła się groźnie w stronę starej.

- Napomknął coś o starej szopie, w dolinie, na zachód od zamku.

Keelin widziała tę szopę wtedy, gdy miała wizję. Zrujnowana budowla z belek i kamieni, z przeciekającą strzechą. Ciekawe, czy ją znajdzie?

Beatrice burknęła coś pod nosem, lecz nie dodała nic istotnego. Keelin nie mogła pojąć, skąd tyle jadu i nienawiści brało się w tej kobiecie. Głęboko zaczerpnęła tchu, by się uspokoić, i zeszła na dół, do wielkiej sali, żeby poszukać Marcusa.

Nie zauważyła złośliwego błysku w oczach Beatrice.

Występ kuglarzy dobiegł już końca. Minstrele wygrywali smętną melodyjkę. Kilkoro gości tańczyło, a reszta przygotowywała się do spania. Układali sienniki jak najbliżej ognia. Parę matek usypiało dzieci. Baron Selby z rodziną najwyraźniej też udał się do siebie, na nocny spoczynek.

W sali nie było ani Marcusa, ani żadnego z jego rycerzy.

Keelin poczuła, że z wolna ogarnia ją coraz większe przerażenie. Wypytywała służbę, ale odpowiedź była wciąż ta sama. Nikt nie widział Marcusa. Nie wiadomo, dokąd poszedł.

Wreszcie znalazł się pewien służący, który wiedział coś więcej od innych. Wspomniał, że earl pilnie wezwał rycerzy do ptaszarni. Co się tam mogło zdarzyć? Keelin z niepokojem wróciła do komnaty, ubrała się cieplej i narzuciła płaszcz na ramiona.

Szybko przebiegła przez dziedziniec. Koło ptaszarni skupił się tłum ludzi, ale Marcusa wśród nich nie dostrzegła.

Co miała robić?

- Ach, Geraldzie! - krzyknęła po wejściu do budynku. Z osłupieniem spojrzała na pobojuwisko i sokolnika z zakrwawioną głową. - Wszyscy święci w niebie! Co się stało?

- Złodzieje, milady - odparł Gerald.

Keelin delikatnie zdjęła mu kawałek szmaty, zastępujący opatrunek.

- Skradli Guinevere i Cleo, i oba młodsze ptaki.

- Och, nie - jęknęła, opadając obok niego na ławę. Marcus pewnie był zrozpaczony utratą cennych ptaków. Jeśli złodziej chciał go naprawdę skrzywdzić, to nie mógł wybrać nic lepszego.

Czy ci sami ludzie zabrali Ga Buidhe an Lamhaigh? Pewnie tak, pomyślała Keelin. W końcu ilu złodziei mogło zawitać do Wrexton? Keelin z rozpaczą pokręciła głową. Jeśli ten sam człowiek zrabował jej kosztowności i okradł ptaszarnię, to w obu przypadkach posłużył się całkiem inną metodą.

Cóż to miało w tej chwili za znaczenie? Pora zacząć działać, pomyślała. To przecież ja, Keelin O'Shea, byłam strażniczką włóczni.

Teraz Ga Buidhe an Lamhaigh zniknęła razem z kosztownościami i cennymi sokołami Marcusa.

W ptaszarni nie miała już nic do roboty. Rana na głowie Geralda okazała się niezbyt groźna, a służba gorliwie sprzątała wewnątrz budynku.

Chyba powinnam raczej udać się na poszukiwanie Marcusa, pomyślała Keelin. Złodziej ma moją włóczęgę i jego sokoły. Jeśli znajdziemy jedno, znajdzie się i drugie.

Wierzyła w to, że włóczęga przyciągnie ją swoją mocą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Keelin, nie zatrzymywana przez nikogo, bez kłopotu opuściła zamek. Nie musiała tłumaczyć się straży przy bramie. Wartownicy niewiele widzieli z powodu gęstego śniegu i przypuszczali pewnie, że to jakiś zapóźniony rycerz z oddziału Marcusa.

Przejechała przez wieś. Końskie ślady, widoczne w grubej warstwie śniegu zalegającej ziemię, wyraźnie wiodły na południe. Chociaż zimny wiatr przenikał do szpiku kości, Keelin uparcie podążała dalej. Nie miała wyboru - musiała odzyskać włóczę. Tylko ona mogła tego dokonać. Nikt inny by nie wyczuł, że włócznia znajduje się w pobliżu.

Wreszcie dojechała do niskiego drewnianego mostu, przerzuconego przez wąski, zamrznięty strumień. Na otwartej przestrzeni hulał lodowaty wiatr, skuliła się więc w siodle, żeby trochę ogrzać się od konia.

Marcus musiał odsadzić się na sporą odległość, bo jego tropy zdołała już po trochu pokryć warstwa świeżego śniegu. Keelin ledwo je widziała.

Przejechała na drugą stronę mostu i już miała popędzić konia do szybszego biegu, gdy po raz pierwszy poczuła wyraźną obecność Ga Buidhe an Lamhaigh.

Włócznia nie była przed nią, tam, dokąd jechał Marcus. Moc napływała gdzieś z zachodu, zza wzgórz za Wrexton. Keelin spojrzała w prawo. Wiedziała, że tam znajduje się włócznia. Marcus pojechał prosto. Nie mogła za nim podążać. Musiała odpowiedzieć na wezwanie włóczni i tylko mieć nadzieję, że po pewnym czasie Marcus zawróci, gdy się zorientuje, że udał się w niewłaściwym kierunku. Należało się pospieszyć. Jeśli złodziej odjedzie na tyle daleko, że Keelin nie będzie wyczuwała Ga Buidhe an Lamhaigh, święta włócznia zostanie na dobre odebrana klanowi Ui Sheaghda.

Złodzieje musieli wyjechać z zamku wcześniej, niż przypuszczał Marcus, albo też bardzo popędzali konie. Przecież niemożliwe, by zdołali aż tak daleko uciec.

Wciąż gnali na południe. Ślady pozostawione przez złodziei były coraz mniej widoczne. Marcus, któremu towarzyszyli William i Robert, nie mógł przeboleć, że dwóch łotrów, najwyraźniej udających zacnych rycerzy, tak go oszukało. Nie tylko ośmielili się pogwałcić odwieczne prawo gościnności, to jeszcze nie wystarczyło im złoto lub

cenne stroje, zamknięte w skrzyniach. Sięgnęli po to, co najbardziej wartościowe.

A jego ukochane sokoły? Marcus aż kipiał ze złości. Drogo mi zapłacą za to, że narazili na szwank ptaki, myślał.

- Lordzie Marcusie! - zawołał sir William. - Musimy zwolnić. Konie są już zmęczone. Nie pójda dalej w tym tempie.

Tymczasem pogoda się pogorszyła. Dał wiatr i zadymka przybrała na sile. Na kilkanaście kroków niczego nie było widać. Ślady złodziei zniknęły, ale Marcus był przekonany, że uciekinierzy nie mogą być już daleko. Ich konie też były zmęczone, a w dodatku wieźli ze sobą ptaki.

- Jedziemy dalej - zdecydował, zaciągając poły płaszcz dla ochrony przed przejmującym mrozem. Pocieszał się myślą, że Keelin była całkiem bezpieczna w ciepłych i przyjaznych murach zamku Wrexton.

Pewnie już spała, zagrzebana w miękkiej pościeli, lub - leżąc w łóżu - słuchała przejmującego wycia wichru hulającego po blankach i dachach. Marcus dałby doprawdy wiele, żeby spocząć teraz koło niej i poczuć obok siebie jej cudowne ciało.

Idiota! - zwymyślał się w duchu i zacisnął zęby. Był jak ten błazen ze sztuki kolędników. Uganiał się za dziewczyną, chociaż dobrze wiedział, że wkrótce na zawsze opuści Wrexton, wróci do domu i wyjdzie za mężczyznę, którego nawet nie znała. Będzie piastować jego dzieci.

Piekło i potępienie! Nie mógł jej na to pozwolić!

Nie był błaznem. Jeśli już miał odegrać jakąś rolę, to był raczej rycerzem przywróconym życiu. To on, na końcu sztuki, poślubi piękną Keelin. I wara od niej jakiemuś nieznanemu irlandzkiemu wodzowi! Zrobię wszystko, żeby to zrozumiała, zarzekał się w duchu.

- Milordzie!

Marcus zatrzymał się na szczycie wzgórza i spojrzał w dół, w wąski parów. Śnieżyca zelżała, wyraźniej więc było widać okolicę. Przed nim poruszały się jakieś dwa cienie. Jeźdźcy! Marcus nadstawił ucha. Doszły go ich głosy zniekształcone przez wicher.

- Pokrzykują do siebie - powiedział cicho do swoich towarzyszy.

- Nie usłyszą, że się zbliżamy - zauważył sir Robert.

- A potem już będzie za późno - dodał Will.

- Naprzód!

Ruszyli z kopyta. Zanim uciekinierzy się spostrzegli, znaleźli się w zasięgu strzału. Gdy zobaczyli pościg, usiłowali pognać zmęczone konie, lecz chwilę później wjechali w głęboką zaspę. Jeden z nich spadł z siodła, a drugi zgubił pakunek.

Marcus i jego ludzie byli coraz bliżej.

- A żebyś tak zgnił na dnie piekła, Ned! - zaklął ten, który leżał w śniegu. - Twój brat mówił przecież, że na tym szlaku znajdzie się jakieś schronienie!

- Było, a raczej będzie! - zawołał drugi. Zeskoczył z konia, aby podnieść zgubę. Spod oka zerknął na nadjeżdżających. - Jeszcze możemy ich zgubić.

- Stać! - krzyknął Marcus. Popatrzył na złodziei, którzy usiłovali dosiąść koni. Słysząc było skrzek wystraszonych ptaków. Jeśli coś im się stało, pomyślał, to nie daruję tym nędznikom.

- Nie strzelaj! - rzucił do Willa. Rycerz posłusznie opuścił łuk i czekał na rozkazy earla.

- Wciąż usiłują uciec - zauważył Robert.

- Jedźmy! - warknął Marcus, zdeglustowany widokiem gramolących się w śniegu złodziei. - Czas z tym skończyć.

Uciekinierzy kłócili się zawzięcie. Ich podniesione głosy dolatywały do uszu Marcusa przez szum wiatru.

- ...stara mówiła, że wie, gdzie schować włócznię!

- A co cię to obchodzi, prostaku? To akurat nie twoja sprawa.

Marcus zsunął się z siodła i złapał pierwszego z nich za gardło. William zajął się drugim.

- Co mówiłeś o włóczni?

- Nic. O niczym nie wiem! - wycharczał złodziej. Marcus rzucił go na kolana. Nie zrobił mu jeszcze żadnej krzywdy, a łotr już dygotał ze strachu.

- Odpowiadaj! Co to za włócznia?

- To nie ja, milordzie! - zawołał rzezimieszek. - To wina mojego brata. On ją ukradł.

- I dokąd zabrał?

Złodziej wił się w żelaznym uścisku rycerza. Marcus wymierzył mu solidny cios w szczękę.

- Gadaj!

- Nie wiem! - krzyknął złodziej. - Stara na zamku kazała mu zabrać włócznię i wszystkie cenniejsze rzeczy z komnaty milady.

- Dokąd pojechał?

- Nie mam pojęcia. Powiedziała tylko, by oddalił się, ile tylko zdoła. - Twarz mówiącego poczerwieniała. Zaczął się dusić. - Była przekonana, że lady...

Urwał nagle, jakby zrozumiał, że powiedział za dużo.

- Jaka lady? - Marcus potrząsnął nim z całej siły, pełen coraz gorszych obaw. - Mówże!

- Nic! Nie wiem! Nie byłem przy tym!

- Kto to jest „stara”? - Nagłe podejrzenie zrodziło się w umyśle Marcusa. - Znasz ją?

- Ta w białym czepku! - zawołał drugi złodziej, przytrzymany przez sir Williama. - Chciała się pozbyć młodej lady.

- O to chodzi! - ryknął Marcus. - To sprawka Beatrice! Ona kazała ukraść włóczęgę z komnaty lady Keelin! Tak było?!

Odepchnął złodzieja, który padł na brzuch i potoczył się po śniegu. Marcus pochwycił go ponownie. Tym razem już nie bawił się w żadne subtelności.

- Bez wykrętów odpowiesz na każde pytanie - wykrzyknął po dwóch pierwszych druzgocących ciosach. - Mów!

- Nie było mnie tam. - Złodziej mówił z trudem przez obolałe, zakrwawione usta. - Mój brat, Bren, kazał mi zabrać sokoły i odjechać. Sam poszedł po włóczęgę i ruszył w przeciwną stronę dla zmylenia pogoni.

- Czego żądała od niego Beatrice? - zapytał Marcus. - Jaki był w tym jej udział?

- Nie wiem - wykrztusił złodziej. Wypluł wybity ząb na ziemię. - Powiedziała tylko, że lady na pewno pojedzie za nim w pościg. Dodała, że Bren może zrobić z nią, co mu się spodoba.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Stłuczone ramię bolało ją przy każdym ruchu. Było jej zimno. Żałowała, że nie ubrała się jeszcze cieplej. Rękawiczki zupełnie przemieękły i nie czuła palców. Mróz szczypał ją w nos i uszy, chociaż głowę osłaniał kaptur.

Ziąb przenikał do szpiku kości. Keelin drżała jak w febrze, ale godziła się na wszelkie niewygody, byle tylko odzyskać Ga Buidhe an Lamhaigh. Teraz jednak musiała się pilnować, żeby przypadkiem nie spaść z konia.

Noc już zapadła, choć nie było zupełnie ciemno. Świat tonął w przedziwnej poświacie. Gęsto padający śnieg ograniczał pole widzenia do kilku kroków. Ślady złodzieja się zatarły. Na szczęście moc włóczni była wciąż wyraźna.

Keelin jechała truchtem. Starła się myśleć wyłącznie o włóczni, nie zwracając uwagi na śnieg, mrok i przejmujące zimno. Za przewodnika służyła jej siła emanująca z Ga Buidhe an Lamhaigh.

W wyobraźni ujrzała pradawną włócznię, którą jej przodkowie otrzymali całe wieki temu nad Loch Gur. Ga Buidhe an Lamhaigh miała niezaprzeczalną władzę nad jej życiem. Ona zaś w zamian, jako jej strażniczka, musiała zrobić wszystko, aby ją odzyskać. To był obowiązek Keelin. Obowiązek? Coś więcej - brzemie.

Prastara siła nie dawała szczęścia ani wytchnienia. Była raczej przekleństwem dla wszystkich, którzy się z nią zetknęli. Członkowie klanu Ui Sheaghda z góry patrzyli na swoich ziomków, bo uważali się za lepszych. Stąd ciągłe walki i nieszczęścia.

Z całego rodu O'Shea jedynie Keelin знаła prawdę.

Musiała jednak zawieźć włócznię z powrotem do Kerry. To była jej powinność jako strażniczki świętej włóczni i uczucia do Marcusa nie mogły jej powstrzymać.

Los Keelin był już od dawna przesądzony. Zgodnie z przeznaczeniem, zamierzała poślubić mężczyznę, którego wybrał ojciec i który czekał na nią w Irlandii. Nie znała go i na pewno go nie pokocha, skoro serce oddała Marcusowi. Nieważne. W pewnych sferach małżeństwa nie zawierało się z miłości, lecz ze względu na dobro klanu czy rodu. Liczył się sojusz lub rozejm, połączenie ziem i sił. Potęga.

Keelin mocniej chwyciła wodze w zgrabiałe dłonie. Tak naprawdę to teraz gra szła o przeżycie.

Zmęczony koń szedł coraz wolniej. Szron pokrywał mu grzywę. Należało jak najszybciej rozejrzeć się za schronieniem.

Keelin z niechęcią myślała o przerwaniu pościgu, ale w końcu doszła do wniosku, że jednak lepiej będzie wrócić do Wrexton i tam zaczekać na Marcusa. Ściągnęła wodze, stanęła i rozejrzała się po okolicy.

Nie zauważyła charakterystycznych punktów krajobrazu. We wszechobecnej bieli jedynie wzgórza majaczyły gdzieś w oddali. Śnieg przysypał nawet jej własne ślady.

Zabłądziła.

W tej sytuacji nie pozostawało jej nic innego, jak nadal podążać za głosem włóczni. Złodziej na pewno też miał dość wędrówki i był w równie opłakanym stanie.

Na skraju wsi Marcus natknął się na dwóch rycerzy z Wrexton. Wieźli ze sobą wypchane sakwy, jakby się wybierali na dłuższą wyprawę.

- Właśnie cię szukaliśmy, milordzie!

- Will! Robert! - zawołał earl do swoich towarzyszy. - Zabierzcie więźniów do szeryfa. - Potem odwrócił się do nowo przybyłych. - A wy zawieziecie sokoły na zamek. Ja zaś...

- Z przeproszeniem, milordzie, lady Keelin zniknęła!

Marcus aż zachwiał się w siodle. Spełniły się jego najgorsze obawy. Zatem złodziej powiedział prawdę. Mimo śnieżycy pojechała sama, żeby odzyskać świętą włócznie.

Co za uparta kobieta!

- Dajcie mi cieplejszą odzież.

- Wzięliśmy dodatkowe pledy, panie! - zawołał rycerz, odczepiając toból od siodła. Podał go Marcusowi. - I nieco zapasów na drogę.

- Świetnie. Teraz wracajcie do Wrexton – odparł earl. - Dopilnujcie porządku w wielkiej sali i znajdźcie Beatrice. Zamknijcie ją gdzieś.

- Ale, milordzie...

- Zróbcie, co powiedziałem! - Marcus podniósł głos i zatoczył koniem. - Dobrze czuwajcie nad zamkiem! - krzyknął na odjezdnym. - Wróć, jak tylko znajdziesz lady Keelin!

Ruszył na zachód. Na południu nie miał już czego szukać. Złodzieja włóczni na pewno tam nie było. Od północy ciągnęły się

skaliste góry, za trudne do przebycia, zwłaszcza w taką pogodę. Po wschodniej stronie płynęła rzeka, teraz skuta zdradliwym lodem.

Marcus dostrzegł na śniegu niewielkie zagłębienia, przypominające zasypane odciski końskich kopyt. Miał nadzieję, że to ślady wierzchowca Keelin.

Bał się jak nigdy w życiu. Bał się, że znajdzie ją zamarzną, sztywną i nieruchomą. Może straciła orientację i jeździła w kółko, nie mogąc znaleźć kryjówek?

A jeśli, nie daj Boże, natknęła się już na złodzieja?

Marcus od dawna podejrzewał, że bracia nie są rycerzami. Bardziej mu wyglądali na banitów, ukrywających się w przebraniu. Początkowo chciał ich wyrzucić z zamku, bez względu na pogodę, ale potem doszedł do wniosku, że lepiej mieć ich na oku. No i zawiódł się w swoich rachubach. Ale dość o tym.

Teraz najważniejsze było dobro Keelin. Dobro, a może i życie.

Po jakie лихо uganiała się za tą przekłętą włóczęgą?

To właśnie przez nią zamierzała wyjechać do Irlandii. Gdyby straciła ją na zawsze, pewnie zostałaby we Wrexton. Z czasem nakłoniłbym ją też do tego, aby przyjęła moje oświadczenia, uznał Marcus.

Niewiele brakowało, a życzyłby złodziejowi szczęścia.

Nie, złażał się w duchu. Nie wolno mi tak myśleć. Utrata włóczęgi byłaby dla Keelin dramatycznym przeżyciem. Nigdy by sobie nie darowała, że nie upilnowała powierzonej sobie włóczęgi, tak ważnej dla jej klanu. Marcus był gotów poświęcić wszystkie siły, byle tylko zwrócić Keelin Ga Buidhe an Lamhaigh.

Tylko po to, żeby zawiozła ją do Carrauntoohil.

Nie pojechałaby tam sama. Podjął już decyzję, że wyruszą razem, gdy tylko pogoda się poprawi. Przekazą włóczęgę starszyźnie klanu, on zaś uczyni wszystko, by jego ukochana nie wyszła za nieznanego, nieokrzesanego Irlandczyka.

Pomyślał, że ów narzeczony wybrany przez Eocaidha O'Shea wcale nie musiał okazać się barbarzyńcą, takim jak najemnicy przysłani przez Mageeana. Może to miły i czarujący chłopiec lub jakiś mędrzec podobny do Tiarnana? A może Keelin będzie szczęśliwsza wśród swoich niż na obczyźnie, w Anglii?

I tak będę o nią walczył, zdecydował nieodwołalnie.

Popędził konia. Pierwszą potyczkę o Keelin przyjdzie mu stoczyć już teraz. Musiał ją znaleźć, zanim napastnik zdąży jej wyrządzić krzywdę.

Keelin zrozumiała, że popełniła błąd, wyruszając samotnie w pogoń. Żadne modlitwy do świętej Brygidy i świętego Patryka nie mogły jej uratować. Wiedziała, że zamarźnie na tym pustkowiu, wśród wzgórz, tak blisko Wrexton, że w letni dzień prawdopodobnie doszłaby tam na piechotę.

Zbierało jej się na płacz, ale łzy nic by nie pomogły. Zabłądziła, mogła więc tylko jechać naprzód tak długo, póki koń nie padnie. Pocieszała się myślą, że może oboje dotrąją do ranka i w świetle dnia znajdzie jakieś schronienie.

Coś wysokiego i ciemnego zamajaczyło w oddali. Było za duże na jeźdźca. Czy to budynek? Nie była pewna, czy to przypadkiem nie ta sama szopa, którą widziała wcześniej, podczas wizji.

Tak. Już po chwili wszystko się wyjaśniło. Znów ogarnęło ją poczucie wielkiego zagrożenia. Wiedziała jednak, że tu znajdzie włóczęgę. Miała jednak cichą nadzieję, że nie natknie się na złodzieja.

Rozejrzała się po okolicy, ale nikogo nie dostrzegła. Koń, czując w pobliżu schronienie, niepoganiany przyspieszył kroku. Kiedy stanęli na niewielkim podwórku, Keelin była zbyt skostniała i zziębnięta, żeby od razu zsunąć się z siodła. Poruszała się bardzo powoli, dygocząc na całym ciele.

Drzwi szopy były zamknięte. Z nagich konarów drzew, rosnących dookoła, zwisały się długie sople. Wszystko wyglądało tak jak w jej wizji - brakowało jedynie plam krwi na śniegu.

Keelin szarpnęła skobel i napała na drzwi, ale była zbyt słaba, żeby je otworzyć. Mocowała się przez kilka minut, zanim zdołała je uchylić na tyle, żeby przecisnąć się przez wąską szczelinę. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że przy tym płakała. Wreszcie znalazła się w mrocznym wnętrzu. Zmęczonym ruchem osunęła się na klepisko.

Drgnęła, kiedy za nią rozległ się jakiś hałas. Nerwowo spojrzała przez ramię i zobaczyła, że to jej koń usiłuje się wcisnąć do szopy. Uśmiechnęła się mimo woli. Miał więcej siły, drzwi więc ze skrzypnięciem rozwarły się trochę szerzej. Zamknąć je już było łatwiej. Keelin westchnęła cicho i rozejrzała się, szukając czegoś, co mogłoby posłużyć na rozpałkę.

W szopie na pierwszy rzut oka nie było żadnych narzędzi ani sprzętów. Na szczęście na ziemi leżało dość połamanego drewna, żeby zrobić z tego niewielkie ognisko. Keelin zebrała całe naręcze patyków i rzuciła je na palenisko. Skrzesała ogień i wyciągnęła zmarzniętą rękę nad płomieniem.

W migotliwym świetle szopa ujawniła swoje prawdziwe przeznaczenie. Nie była też pusta, jak początkowo się wydawało. Koło paleniska stało zardzewiałe kowadło. Przy nim wałyły się połamane obcęgi. Na ścianach wisiały sparciłe rzemienie. Keelin domyśliła się, że kiedyś mieściła się tu kuźnia. Ciekawe, co się stało z kowalem?

Koń parsknął głośno i wstrząsnął całym ciałem, zrzucając z siebie śnieg. Keelin drgnęła, wyrwana z chwilowego zamyślenia.

- Przykro mi, że nie mam dla ciebie nawet odrobiny ziarna - powiedziała, szczękając zębami. - Sama też jestem głodna.

Koń parsknął znowu, jakby nie zgadzał się z Keelin.

Obeszła wnętrze kuźni. Co prawda, nie znalazła nic do jedzenia, lecz przynajmniej mogła się napić wody z rozpuszczonego śniegu. Nie zamierzała tutaj zostawać długo - najwyżej do świtu. Planowała wrócić do Wrexton i wezwać pomoc. A wtedy...

Skrzypnęły otwierane drzwi.

W pierwszej chwili Keelin pomyślała, że źle je zamknęła i że same otworzyły się pod naporem wiatru. Wystarczył jednak jeden rzut oka, by przekonała się o swojej pomyłce.

Przybył złodziej świętej włóczni.

- Proszę, proszę. - Jego głos zahuczał złowrogo w pustej kuźni.

Keelin rozpoznała go od razu. To był ów rycerz o oczach w dwóch różnych kolorach, który od początku wydał się jej podejrzany.

- Pobłądziłem - powiedział, wchodząc do środka - lecz na szczęście znalazłem twoje ślady i po nich dotarłem aż tutaj.

Na razie był zbyt zmęczony i zziębnięty, żeby rwać się do niecných czynów, ale co zrobi później? Keelin spodziewała się wszystkiego najgorszego z jego strony i z rozpaczą rozejrzała się po kuźni w poszukiwaniu broni. Niestety, nie zauważyła niczego przydatnego poza połamanymi obcęgami. Była całkowicie zdana na łaskę bandyty.

Bren rzucił sakwy w pobliżu paleniska i wyciągnął rękę do ognia.

Keelin dała ostrożny krok do tyłu i przyjrzała się pakunkom. To w nich ten nędznik musiał ukryć włócznie. Gdyby tak zdołała ją wydobyć... I co potem? Jak uciec? Jak wyprowadzić konia?

Znalazła się w pułapce. W tę pogodę nie zajechałaby daleko.

- Przytulnie tutaj - zauważył Bren. Zarechotał nieprzyjemnie i rozsiadł się przy palenisku. - Miło, że rozpałałaś ogień.

Keelin postanowiła, że będzie się bronić do upadłego. Nie pozwoli, by ten nędznik ją skrzywdził. Najważniejsza jednak była włócznia. Jak się do niej dostać?

- Stara wiedźma mówiła prawdę, że znajdę tu niezłą kryjówkę - rzekł Bren. Wyjął z juków cynowy kubek i postawił go tuż przy ogniu. Zachowywał się tak, jak gdyby nic się nie stało.

Keelin popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Jaka wiedźma? - spytała.

- Ta w białym czepku - odparł. Zajrzał do sakwy, jakby czegoś szukał. - Chociaż z mojego punktu widzenia można ją raczej nazwać świętą.

- Beatrice? - zapytała Keelin. W całym zamku jedynie powiernica Isoldy ciągle paradowała w białym czepku.

- O, właśnie. Ta sama.

- Ona cię tu przysłała? Znow się roześmiał.

- Ba, żeby tylko!

Keelin zatarła ręce z zimna, ale bała się podejść do ognia, żeby nie znaleźć się zbyt blisko Brena.

- A co jeszcze? - spytała.

W odpowiedzi rzucił na kamienny podest kilka złotych monet. Z szerokim uśmiechem dołożył do tego broszkę i inkrustowany sztylet. Keelin pochyliła głowę, nie mogąc znieść spojrzenia jego niesamowitych oczu.

- Trochę potrwa, zanim sprzedam włócznie - rzekł. - Nawet nie wiem, czy ktoś zechce ją kupić. Ale to...

- Możesz je zatrzymać - wtrąciła Keelin. - Oddaj mi tylko włócznie. Nie potrzeba mi... - Urwała, bo ryknął śmiechem.

- Mogę zatrzymać? - powtórzył z przekąsem. - Moja młoda damo, to już jest wszystko moje! A może wezmę jeszcze coś więcej?

Keelin wstrząsnęła się z obrzydzenia. Jak miała z nim pertraktować? Jak sobie z nim poradzić? Był silniejszy, uzbrojony - ze smutkiem stwierdziła, że nie ma szans.

- Lord Marcus...
- Ma teraz całkiem inne zmartwienia - wpadł jej w słowo. - Ugania się za sokołami. Ani mu w głowie coś innego.
- Ty?! - krzyknęła. - Ty je ukradłeś? Zaprzeczył.
- Mój brat, do spółki z jakimś głupcem, zrobił najazd na ptaszarnię. Jak już odjedzie dość daleko, to na pewno zostawi ptaki tak, żeby earl je znalazł. - Podniósł się i pomału ruszył w jej stronę. - Nikt cię nie będzie szukał, moja droga. Przynajmniej na razie.
- Nie zbliżaj się!
- Wiesz co? Ta pogawędka trochę mnie rozgrzała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Śnieżycą zmalowała na tyle, że Marcus mógł jechać szybciej. Jak wichler przemknął przez opustoszałą równinę, dzielącą posiadłość Wrexton od walijskiej granicy. Przypomniawszy sobie, że gdzieś niedaleko była opuszczona kuźnia, w której Keelin mogła stanąć na popas lub nocleg. Skierował więc konia w tamtą stronę.

Jechał, nieczuły na mróz i zadymkę, gnany troską o bezpieczeństwo ukochanej. Po drodze modlił się żarliwie. Prosił Boga, by Keelin znalazła bezpieczne schronienie w starej kuźni i żeby Bren tam się nie zjawił.

Choć popędzał konia, droga wlokła się niemiłosiernie. Policzki piekły go od podmuchów lodowatego wiatru, na brwiach osiadła gruba warstwa szronu. Wreszcie znalazł się na wzniesieniu, skąd mógł dostrzec kuźnię.

Od razu obudziła się w nim czujność zaprawionego w bojach rycerza.

Przed szopą stał osiodłany koń. Biedne zwierzę przywarło do drewnianej ściany, żeby osłonić się od wiatru. Keelin nigdy nie zostawiłaby wierzchowca na mrozie. Wprowadziłaby go do środka, skoro już znalazła schronienie.

Marcus wyciągnął miecz i po cichu podjechał do kuźni. Skoro koń nie należał do Keelin, to musiał być własnością złodzieja.

Był już blisko, kiedy usłyszał krzyk. Ten głos wszędzie by rozpoznał. Należał do Keelin.

Bez namysłu wbił pięty w boki konia, wjechał na podwórko i z mieczem w garści zeskoczył z siodła. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi. W migoczącym świetle płomieni zobaczył Keelin w poszarpanych szatach, rozciągniętą na twardej ziemi. Szamotała się, lecz przeciwnik był silniejszy.

Złodziej ryknął gniewnie na widok Marcusa. Szarpnął dziewczynę ku sobie, jakby chciał się posłużyć nią niczym tarczą. Nie dała mu się.

- Marcus! - zawołała. Drżącymi rękami usiłowała zakryć nagie piersi porozrywaną suknią.

Jak ten łajdak śmiał jej dotykać swoimi brudnymi łapami?! Marcusa ogarnęła wściekłość.

Keelin usiłowała umknąć w kąt kuźni, ale Bren na to jej nie pozwolił. Szeroko rozpostarł ramiona i z wilczym uśmiechem popatrzył na Marcusa.

- Tylko ostrożnie, milordzie. Jeden nieopatrzny ruch z twojej strony i mogę jej zrobić wielką krzywdę.

- Wypuść ją - groźnie warknął Marcus. Nie chciał używać miecza, bo Bren nie miał przy sobie broni. Gdyby jednak zaszła taka potrzeba, nie będzie się wahał.

- Ani kroku, milady - rozkazał Bren. Szybkim spojrzeniem ogarnął sytuację. Nie mógł uciec - i w gruncie rzeczy nie mógł też zranić ani zabić dziewczyny, bo w ten sposób skazałby się na pewną śmierć.

Nagle pochylił się i błyskawicznym ruchem porwał z ziemi bogato zdobiony sztylet. Jak wściekły pies rzucił nim w Marcusa, mierząc prosto w serce.

Sztylet obrócił się w powietrzu, odbił trzonkiem od piersi rycerza i upadł na klepisko. Bren jednak nie zamierzał dać za wygraną. Skoczył, pochwycił go z powrotem i pchnął z dołu.

Marcus uniknął podstępnego ciosu w brzuch, ale przeciwnik uderzył znowu, tym razem celując w nogi. Ostrze sztyletu zagłębiło się w miękkie ciało, lecz w tej samej chwili miecz earla na wylot przeszył tułów Brena.

W kuźni zapanowała głucha cisza. Dopiero chwilę później rozległ się cichy szloch. Marcus powoli uniósł głowę, podszedł do Keelin, pochwycił ją w ramiona i rąbkiem płaszcza otarł łzy z policzków.

- Och, Marcusie... - zaszlochała, kryjąc twarz na jego piersi. - Nigdy w życiu tak się nie bałam.

- Cicho, maleńka - odparł i przycisnął usta do jej czoła. - Już po wszystkim. Jesteś bezpieczna.

- Tak. - Pociągnęła nosem. - Ale co z tobą? Twoja noga...

- To nic takiego - odpowiedział cicho, choć jeszcze dygotał po niedawno stoczonych walce.

Najgorsze minęło. Tak, najgorsze, ale nie dla niego. Keelin odzyskała cenną włócznię, mogła więc wracać do Kerry.

Marcus milczał, żeby ani słowem nie zdradzić burzliwych uczuć. Jego ukochana była bezpieczna, trzymał ją w ramionach. Na razie musiało mu to wystarczyć.

Koń parsknął głośno. Oboje drgnęli, a Keelin roześmiała się przez łzy.

- Wpuściłam go do środka, bo nie chciałam, żeby zamarzł.

Marcus pokiwał głową. Keelin znowu wybuchnęła płaczem. Po cichu gładził ją po plecach i szeptał kojące słowa.

- Och, Marcusie, czy zdołasz mi kiedyś wybaczyć? Ujął jej twarz w obie dłonie i spojrzał jej prosto w oczy.

- Najważniejsze, że nic ci się nie stało - powiedział poważnym tonem.

- To dzięki tobie. Nie powinnam była wyjeżdżać z zamku. Bałam się, że na zawsze stracę Ga Buidhe an Lamhaigh, a ciebie nigdzie nie mogłam znaleźć.

Marcus nie chciał więcej słyszeć o tej przeklętej włóczni.

- Keelin... - zaczął i zaraz umilkł. Nie wiedział, co ma jej powiedzieć. Ściągnął rękawicę i przesunął dłonią po policzku stojącej przed nim dziewczyny. Lekko położył palec na jej ustach. - Zaczekaj tutaj. Mam jeszcze coś do zrobienia.

Odwrócił się i podszedł do trupa leżącego obok paleniska. Bezceremonialnie chwycił go za rękę i wywlókł na zewnątrz.

Wepchnął zwłoki pod pagórek śniegu i przykrył deskami, żeby wilki nie poszarpały ciała. Co prawda, Bren był zwykłym łotrem, ale w końcu to chrześcijanin.

Usłyszał za sobą jakiś hałas, zaniepokojony odwrócił więc głowę. Przekonał się, że to Keelin wprowadzała konie do kuźni.

Keelin popatrzyła na krwawe plamy na śniegu. Dreszcz wstrząsnął jej zziębniętym ciałem. Zabrała konie do kuźni, zamknęła drzwi i dorzuciła dREW do ognia. Potem zebrała wszystkie swoje rzeczy: broszkę, sztylet i sakiewkę z pieniędzmi. Złożyła je w jednym kącie, razem z Ga Buidhe an Lamhaigh.

Rozkulbaczyła konie i uwiązała je do ściany po drugiej stronie. Stały spokojnie, grzejąc się nawzajem.

W jukach Brena znalazła chleb i duży kawał sera. Były też dwie flaszki piwa i trochę suszonych jabłek. Łącznie z tym, co przywiózł Marcus, mieli zapasów na kilka dni.

To aż nadto, pomyślała. Z samego rana Tiarnan zobaczy, że mnie nie ma, i zapewne będzie spodziewał się najgorszego. Nie pozwolę mu się zamartwiać. Muszę jak najszybciej wrócić do zamku.

A Marcus? Cóż, po tym wszystkim, co razem przeszli, nie mogła go przecież opuścić. Wszak ryzykował dla niej życie, zresztą ona też by się nie zawahała w razie potrzeby.

Postanowiła oddać włócznie starszyźnie klanu i jak najszybciej wrócić do Anglii. Resztę życia zamierzała spędzić przy Marcusie jako jego prawowita żona.

Oczywiście, o ile on ją zechce, bo ostatnio zachowywała się wyjątkowo nierozważnie. Jeśli był na nią zły, to nie powinna mieć o to pretensji. Przysporzyła mu kłopotów i niepokoju. Najwyraźniej nie chciał z nią rozmawiać. Chodził spięty i groźnie strzelał oczami.

Skrzypnęły drzwi. Marcus wszedł do kuźni, ściągnął mokry płaszcz i tunikę. W samej koszuli stanął przy ogniu.

Nagle zaczęli mówić oboje:

- Marcusie...

- Keelin... Jednocześnie zamilkli.

- Mów pierwsza - cicho poprosił Marcus. Keelin zaczerwieniła się aż po korzonki włosów.

Podeszła bliżej.

- Myliłam się - powiedziała z prostotą, patrząc mu prosto w oczy. Zerknął na nią ze zdziwieniem, ale nie wyrzekł ani słowa.

Wyciągnęła rękę i odgarnęła mu włosy z czoła.

- Nie mogę wrócić do Carrauntoohil - wyszeptała. - A jeśli już, to tylko z tobą, Marcusie.

- Keelin, co powiedziałaś? - Chwycił ją za ramię.

- Że kocham cię całym sercem - odparła, nie podnosząc głosu. - Nie chcę nawet myśleć o tym, że mogłabym cię opuścić.

Marcus nie pozwolił jej dokończyć. Chwycił ją w ramiona, przygarnął do piersi i obsypał pocałunkami.

Keelin wtuliła się w jego objęcia i westchnęła z nieopisaną ulgą. Był jej, a ona należała do niego. Rozchyliła usta.

- Keelin, Keelin - powtarzał Marcus w przerwach pomiędzy pocałunkami.

- Tak, milordzie? - spytała.

- Tyle długich dni czekałem, żeby to usłyszeć - powiedział. Szybkim ruchem rozwiązał tasiemki okrywającego ją płaszcza. Po chwili zdjął z niej poszarpaną suknię.

- Cóż to takiego? - spytał na widok rzemyka, który nosiła na sercu.

- To twój, Marcusie. Zawsze mam go przy sobie, żeby mi ciebie przypominał. Żebyś był przy mnie podczas podróży.

- Powtórz - zażądał błagalnym tonem. - Powtórz, proszę, że nie wyjedziesz.

- Och, Marcusie, nie potrafiłabym się z tobą rozstać.

- Weźmiemy ślub, jak tylko minie żałoba po Eldredzie - powiedział z mocą, kładąc ręce na jej ramionach.

- Tak - zgodziła się bez wahania.

- Ale już teraz ci przyrzekam, że będę czcił cię, kochał i szanował całą duszą i ciałem, póki mi tchu w piersiach starczy.

Odszedł na chwilę, sięgnął do juków i rozłożył koło paleniska parę grubych koców. Oboje ułożyli się na pościeli.

- Kocham cię, Keelin O'Shea - powiedział uroczystym tonem Marcus. - Zrobię dla ciebie wszystko, czego tylko ode mnie zażadasz.

- W takim razie kochaj mnie, Marcusie - szepnęła i pocałowała go. Uśmiechnęła się, widząc, że zadrżał ze skrywanej rozkoszy. - Uczyń mnie swoją żoną.

Mocno przywarli do siebie.

- Chyba powinnam się choć trochę bać, lecz wcale się nie boję - wyznała Keelin, całując złote włosy na piersiach Marcusa.

A potem ogarnęła ją niewysłowiona radość. Marcus wpatrywał się w jej zamglone oczy i wraz z nią przeżywał chwile uniesienia. Nawzajem odkrywali siebie, złączeni w miłosnym uścisku.

- Och, tak - szepnęła Keelin, gdy poczuła go wewnątrz siebie.

Nawet wicher, który wył na dworze, wydawał się wietrzykiem w porównaniu z prawdziwą burzą uczuć, szalejącą we wnętrzu zrujnowanej kuźni.

Żadne z nich nigdy nie zapomniało tej nocy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Ogień płonął spokojnie, a Keelin smacznie spała, wsparłszy głowę na piersi Marcusa. Pod grubą warstwą koców było im bardzo ciepło. Młodzieniec trzymał w dłoni kawałek rzemienia, który Keelin tak długo nosiła przy sobie. Och, jak rozkosznie było wiedzieć, że jednak go kocha. Słońce już dawno wstało, ale oni wcale się nie spieszyli z powrotem do zamku. Wczorajsza śnieżycą ustąpiła marznącej mżawce, smętnie bijącej w dach kuźni.

Marcus przyglądał się śpiącej ukochanej. Podziwiał jej długie rzęsy, zgrabny podbródek, lekko wystające kości policzkowe,

Nagle szarpnęła się, gwałtownie poruszyła nogami i jęknęła.

Marcus uśmiechnął się. Nie przywykł jeszcze dzielić łoża z niewiastą, ale wiedział, że szybko i z ochotą do tego się przyzwyczai.

- Łaski! - krzyknęła Keelin, nie otwierając oczu.

- Cicho, kochanie - uspokajał ją Marcus. Delikatnie pocałował ją w czoło. - To tylko sen. Śpij spokojnie.

- Uważaj, spadniesz! Stój! Postanowił ją jednak obudzić.

- Keelin - powiedział łagodnie.

- Nie! To niemożliwe! - zawołała, już nie śpiąc, lecz jeszcze nie w pełni obudzona. - Boże, błagam, niech to... - Szeroko otworzyła oczy i popatrzyła na Marcusa. Usiadła. - To... Beatrice! - krzyknęła.

- Beatrice?

- Tak - potwierdziła roztrzęsionym głosem. - Biegła wysokim brzegiem. Uciekała przed kimś. Bała się. - Zmarszczyła brwi. - Chciała się schować, lecz pośliznęła się na oblodzonych kamieniach i... i...

- Co się stało, kochanie?

- Biedaczka. - Keelin westchnęła z głębi piersi i nakryła usta dłonią. - Spadła. Do rzeki.

- Znam to miejsce - powiedział Marcus. - Spadła z klifu?

Dziewczyna skinęła głową.

- Tak, Marcusie - szepnęła cicho. - Nie żyje.

Marcus nie zdradził się przed Keelin, iż podejrzewa Beatrice o zaplanowanie zbrodniczej intrygi. Miał nadzieję, że uda mu się w pełni wyjaśnić tę sprawę po powrocie do Wrexton. Nie wątpił jednak, że jej wizja była w pełni prawdziwa. Widocznie stara dwórka znalazła sposób, żeby wydostać się z wieży, i próbowała uciec. W drodze zginęła, spadając z wysokiego brzegu.

Źle się stało, ale Marcus przypuszczał, że to właśnie ona była odpowiedzialna za wszystkie przykrości, które spotkały Keelin.

- Mam takie uczucie... - zaczęła dziewczyna.

- Wiem - nie pozwolił jej skończyć. Pocałował ją w czoło. - Ja też.

- Ty też? Pokiwał głową.

- Wczoraj dowiedziałem się kilku ciekawych rzeczy od złodziei, którzy uciekli z sokołami.

- Niby czego?

- To Beatrice namówiła ich, żeby ukradli ptaki. W ten sposób chciała mnie wywabić z zamku, żebyś sama pojechała na poszukiwanie włóczy - odparł. - Zawzięła się na ciebie.

- Ale dlaczego? - ze zdumieniem zapytała Keelin. - Z jakich to powodów?

- Dobrze wiedziała, że cię kocham i pragnę pojąć za żonę.

- Ale... Och, Isolda.

- Właśnie. Chociaż to nie ona chciała cię usunąć, tylko Beatrice.

- Bez wątplenia. Isolda mogła być złośliwa, lecz nie posunęłaby się do oszustwa i kradzieży.

- Wspomniałem, że znajdę dla niej odpowiedniego męża.

Ktoś głośno zabębnił w drzwi kuźni. Na zewnątrz dały się słyszeć głosy. Marcus owinał Keelin kocem, narzucił na siebie koszulę i podszedł do progu.

- William? - spytał przez drzwi.

- Tak, milordzie - rozległo się pełne ulgi potwierdzenie.

Marcus otworzył drzwi i zobaczył swojego ulubieńca, a za nim kilku innych rycerzy z Wrexton.

- Ściągnąłem ludzi, żeby... - zaczął William, lecz w tej samej chwili dostrzegł lady Keelin stojącą za Marcusem, owiniętą jedynie pledem, i zakasłał. - Eee... to znaczy... nie byłem pewny, czy ci się na coś nie przydamy, panie.

Marcus z trudem powstrzymał się od śmiechu. - Nic nam nie trzeba, Will - powiedział. - Daj nam chwilę, byśmy mogli zgotować wam lepsze powitanie. Musicie nieco ogrzać się przy ogniu, zanim wyruszyście w powrotną drogę do Wrexton.

Przez dwa dni pobytu w starej zrujnowanej kuźni Keelin miała wrażenie, że przebywa w raju. Marcus odesłał na zamek sir Williama i

jego ludzi z wiadomością, że nic mu się nie stało. Powiedział im też, gdzie powinni szukać ciała Beatrice.

Kiedy wracał z Keelin do rodzinnych włości, wciąż było zimno, lecz przestało padać. Droga zajęła im zaledwie parę godzin.

- Milordzie - powiedział sir Robert tuż po przywitaniu w wielkiej sali - chciałbym z tobą pomówić na osobności.

Isolda stała u jego boku, zgarbiona, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Keelin spojrzała na nią ze współczuciem. Biedna młódka, na pewno przeżywała teraz bardzo ciężkie chwile.

- W moim gabinecie - krótko odparł Marcus, wziął Keelin pod rękę i wstąpił z nią na schody. - Pozwól jednak, że najpierw zajrzemy do Adama i lorda Tiarnana.

Chcieli z nimi porozmawiać o wspólnej podróży do Kerry.

Na odchodnym Marcus rozejrzał się po wielkiej sali.

Wciąż koczowało w niej wielu ludzi, lecz niektórzy z nich zbierali się do drogi. Baron Selby z rodziną rano opuścił gościnne progi zamku Wrexton. Kolędnicy także ruszyli w dalszą turę.

- Bill - zawołał Marcus do przechodzącego służącego - sprowadź mi ojca Pygotta.

Poszli dalej.

Tiarnana zastali w komnacie Adama. Chłopiec siedział na niskim stołku, tuż obok kominka, zatopiony w poważnej rozmowie ze starcem.

- Marcus! Keelin! - zawołał na widok wchodzących.

Keelin pochyliła się i pocałowała Tiarnana w policzek. Drugim całusem obdarzyła Adama.

- Widzę, że beze mnie całkiem wyzdrowiałeś! - zauważyła z ogromną radością.

- Tak, trzeba przyznać, że dobrze się sprawowałem - powiedział Tiarnan i zwrócił na swą bratanicę spojrzenie niewidzących oczu. - A ty, Keely? Co z tobą? Przeżyłaś śnieżycę.

- I nic złego jej się nie stało - pospieszył z zapewnieniem Marcus. - Spełniła swój obowiązek.

- Ty zaś uratowałeś ją z rąk złoczyńcy - zgadł Tiarnan. - Prawda, mój Marcusie?

- Tak - odparła Keelin, biorąc rycerza pod ramię. - Ocalił mnie przed losem gorszym od śmierci.

Poczuła, że Marcus wyprostował się lekko.

- Lady Keelin zgodziła się zostać moją żoną, lordzie Tiarnanie - oznajmił oficjalnym tonem, chociaż Adam aż zapiał z radości. - Jeśli nie jest formalnie zaręczona...

- Nie, Marcusie - z szerokim uśmiechem odpowiedział Tiarnan. - Kontrakt nie został spisany. - A przy odrobinie szczęścia, dodał w myślach, stary Fen dawno już umarł i leży teraz w grobie.

- To dobrze. Nie zamierzam czekać z ogłoszeniem zaręczyn - oznajmił Marcus. - Jestem pewien, że ojciec Pygott w pełni zgodzi się ze mną i czym prędzej z tobą porozmawia.

- Przyślij go do mnie - odparł starzec. - Bez trudu uzgodnimy warunki małżeństwa.

Adam i Tiarnan uściskali Keelin i złożyli jej najlepsze życzenia.

Keelin i Marcus wyszli na galerię. Przez chwilę byli zupełnie sami. Marcus pocałował narzeczoną.

- Przez cały dzień czekałem na tę chwilę - rzekł.

- Tylko na tę?

- Nie - odparł szczerze. - Chciałbym cię widzieć nagą w moim łóżu.

Przyciągnęła go bliżej siebie.

- Ja też mam pewne ukryte marzenie.

- Jakie? - wyszeptał.

- Gdybym ci powiedziała, to już nie byłoby tajemnicą.

- Sam muszę domyślić się, o co chodzi?

- Spróbuj. Nie trać zbyt wiele czasu na rozmowę z Isoldą i sir Robertem - dodała kusząco.

Marcus wszedł do swego gabinetu i zastał Roberta w chwili, gdy ten delikatnie ocierał łzę z policzka młodej kasztelanki. Chrząknął. Odskoczyli od siebie jak oparzeni.

To ciekawe, że nigdy dotąd nie zauważyłem, iż mają się ku sobie, pomyślał.

- Lordzie Marcusie - zaczaj: Robert, nerwowo zacierając ręce - przyszliśmy tutaj, żebyś wyraził zgodę... eee... na mój ślub z lady Isoldą.

Earl popatrzył na niego ze zdumieniem.

- Wiem, że jesteś zaskoczony - ciągnął Robert. Isoldą wzięła go pod ramię. - Już od dawna pałałem uczuciem do tej damy. Od tak dawna, że nawet trudno w to uwierzyć.

Ależ ja byłem głupi! - pomyślał Marcus. Dopiero teraz uświadomił sobie, co znaczyły niektóre słowa i czyny Roberta. Domyślał się, że dzielny rycerz skrywał swoje uczucia, bo nie wiedział, czy pan zamku nie ma własnych planów wobec kasztelanki.

- A co na to lady Isolda? - spytał Marcus. Młoda dama wbiła wzrok w podłogę.

- Zawsze podziwiałam sir Roberta - powiedziała cichym, ale pewnym głosem. - Dopiero jednak po zniknięciu Beatrice... - Łzy potoczyły się jej po policzkach, lecz mimo to mówiła dalej. - Mieliśmy nawet małą sprzeczkę. Och, Marcusie! - wybuchnęła szlochem. - Tak mi wstyd! Zupełnie nie wiedziałam, do czego ona jest zdolna!

- Tak jak się pewnie domyślałeś, milordzie, to Beatrice zepchnęła kamień z wieży, by zranić lady Keelin

- dorzucił Robert.

- I podpaliła stóg siana za stajnią - dodała Isolda.

- Wyznała mi to tuż przed ucieczką. Nie miałam o tym wszystkim pojęcia. Marcusie, musisz mi uwierzyć.

- Ale dlaczego? - zapytał Marcus, nie posiadając się ze zdziwienia. - Co sprawiło...

- Chciała odsunąć cię od lady Keelin. Podczas pożaru uderzyła ją w głowę. Czy chciała zabić, czy tylko przestraszyć, tego zapewne już nigdy się nie dowiemy - powiedział Robert.

- Potem wysłała ją w śnieżną zamieć. Sądziła, że po jej śmierci zwrócisz większą uwagę na mnie - ze smutkiem dokończyła Isolda.

Marcus pokręcił głową. Wciąż nie rozumiał, dlaczego stara dworka zapałała do Keelin taką nienawiścią. Przecież wyraźnie dawał wszystkim do zrozumienia, że w żadnym razie nie zamierza poślubić Isoldy.

- Mój ojciec jest już bardzo stary, Marcusie - powiedział Robert.

- Chciałbym zabrać Isoldę do rodowych włości, jeżeli tylko zwolnisz mnie z obowiązków.

- Isoldo - spytał Marcus - czy to także twoje życzenie?

- Tak, milordzie - odparła bez wahania. - Zależy mi na Robercie. Gdyby nie...

- Cicho, słodka - przerwał jej Robert. - To nie twoja wina.

- Wstyd mi - powtórzyła z uporem. - Źle się zachowałam wobec lady Keelin. Beatrice zapewniała mnie, że nic jej się nie stanie, a tymczasem...

- Już po wszystkim - uspokajał ją Robert. - Przeprosiłaś lorda Marcusa i lady Keelin.

- Macie moje błogosławieństwo - z roztargnieniem powiedział earl, wciąż zdumiony przewrotnością i zbrodnicznymi planami Beatrice.

Ktoś zapukał.

- Wejść! - krzyknął Marcus. - Ach, to ojciec Pygott.

Keelin nie wiedziała, w jaki sposób Marcus przekonał ojca Pygotta do pominięcia wszelkich formalności. W każdym razie już trzy dni później miała stanąć na ślubnym kobiercu. Ze względu na żałobę po ojcu Marcusa zaplanowano skromną ceremonię. Zaproszono jedynie najważniejszych rajców z Wrexton. Dopiero później Marcus zamierzał rozesać gońców z wiadomością o zawartym ślubie po całym hrabstwie.

Niewiele czasu pozostało do świąt Bożego Narodzenia. Wielka sala była udekorowana jedliną i ostrokrzewem. Nad drzwiami wisiały pęki jemioly i Marcus nie pominął niemal żadnej okazji, by tradycji stało się zadość.

- Lady Keelin!

Dziewczyna stała akurat na stołku, w słonecznej komnacie, przymierzając ślubną suknię. Pomagała jej w tym Isolda i dwie pokojówki.

Keelin zerknęła, kto ją woła.

- Jacyś ludzie zjechali na zamek! - od progu krzyknęła zdyszana służąca. Chyba biegła po schodach, pomyślała Keelin. - Irlandczycy! Pytają o ciebie, pani, i o lorda Tiarnana!

Keelin oczekiwała, że zaraz spłynie na nią przecucie czegoś bardzo złego. Nie doczekała się. Zobaczyła za to coś innego: spokojne Carrauntoohil i tłum rozbawionych ludzi, przygotowujących się do świętowania.

- Sprowadź natychmiast lorda Marcusa.

- Już tam poszedł, milady - odparła służąca. - To właśnie on mnie po ciebie przysłał!

Keelin, zaintrygowana takim obrotem sprawy, zdjęła suknię i w zamian włożyła inną, niebieską. Potem poszła za służącą.

Przed kominkiem stało czterech ludzi z rodu O'Shea, Marcus i dwóch nieznanym jej rycerzy w barwach Wrexton.

- Connor? Donncha? - zapytała z niedowierzaniem na widok starszych klanu Ui Sheaghda.

- Tak, dziewczyno! - odpowiedział najpoważniejszy z nich, choć w tej chwili uśmiechał się szeroko. - Przywieźliśmy ze sobą Donalą i Laoghaire'a.

Marcus objął ramieniem narzeczoną. Keelin była mu za to bardzo wdzięczna.

- Tuż po przyjeździe do Wrexton wysłałem dwóch moich ludzi do Kerry - wyjaśnił. - Mieli dowiedzieć się czegoś więcej o Mageeanie i rodzinie O'Shea.

- Podróż była wręcz wyjątkowo łatwa i przyjemna - odezwał się jeden z rycerzy. - W tamtą stronę mieliśmy dobrą pogodę. Wracaliśmy o wiele dłużej.

Donncha ujął Keelin za rękę.

- Rad jestem, że cię widzę w dobrej kondycji i zdrowiu. Nie zmarniałaś nam przez te wszystkie lata.

Keelin jeszcze nie otrząsnęła się ze zdumienia, jakie wywarł na niej widok kuzynów. Z niepokojem spojrzała na Marcusa, chcąc się upewnić, że to wszystko prawda.

- Tak - odpowiedziała zduszonym głosem. - Jakoś udało nam się przeżyć.

- Wojna naszego klanu z Mageeanem dobiegła końca - oznajmił Connor.

- Końca? To znaczy, że Mageean...

- Właśnie. W całym Kerry nastały mroczne dni, kiedy zamordował Cormaca - opowiadał Donncha.

- Na szczęście Eric O'Shea zabił łotra, zanim ciało Cormaca na dobre wystygło w grobie.

- Mageean nie żyje?

- Tak, dziewczyno - powiedział Connor. - To właśnie chcemy ci przekazać.

- Wodzem jest teraz Eric - dodał Laoghaire. - Po śmierci Mageeana odbudował Carrauntoohil. Twierdza, kościół, miasteczko - wszystko kwitnie pod jego panowaniem.

- I po odejściu Ruairca Mageeana - uzupełnił Donal.

Keelin nareszcie zrozumiała, co znaczyła jej ostatnia wizja.

- Siostra Erica ma ten sam dar, co ty, Keelin - powiedział Connor. - Jest wróżbitką i potrzebna jej Ga Buidhe an Lamhaigh. Rada starszych doszła do wniosku, że już wystarczająco długo służyłaś sprawie klanu.

- A ponieważ zamierzasz wyjść za mąż za lorda Wrexton - wtrącił Donal, patrząc spod oka na olbrzymiego Anglika, stojącego tuż obok Keelin - zabierzemy włącznie do Kerry i oddamy ją w ręce kuzynki.

Keelin przymknęła oczy z niewysłowioną ulgą. Wprost nie mogła uwierzyć swemu szczęściu. Bez żalu rozstawała się ze świętą włóczęgią.

Zanim zdążyła jednak cokolwiek odpowiedzieć, wszyscy spojrzeli w stronę schodów, po których schodził stryj Tiarnan, prowadzony przez wiernego Billa. Starzec uśmiechał się z zadowoleniem.

Irlandczycy podeszli, żeby go przywitać. Tymczasem Marcus nachylił się do dziewczyny.

- Nie szkoda ci oddawać włóczęgi? - szepnął jej wprost do ucha.

- Ani trochę - odpowiedziała. - Z radością ją przekażę Connorowi.

- Adam jest uszczęśliwiony, że stryj Tiarnan postanowił zostać razem z nami, we Wrexton. - Marcus zapalił jeszcze jedną świecę stojącą u łoża.

- Wiem - powiedziała Keelin, patrząc na męża. Podziwiała jego oszczędne i eleganckie ruchy. Przed chwilą zdjął odświętną tunikę i paradował teraz z nagim torsem. W migotliwym blasku świec wyglądał na herosa przybyłego z odległej przeszłości, z czasów znanych jedynie z legend i podań.

Keelin westchnęła z zachwytem.

- O czym myślisz? - zapytał Marcus.

- O tym, że stanowczo za grubo się ubierasz! - odpowiedziała z tłumionym chichotem.

Uśmiechnął się i na to wezwanie szybko ściągnął cizmy i rajtuzy.

- A co z tobą? - zagadnął. - Wszak ciągle jesteś w ślubnej sukni.

- Wiesz przecież, że sama jej nie zdejmę - odparła, udając urażoną.

- Zatem pozwól, że ci pomogę - odparł, całując ją w usta.

- Mówiłem ci, że kiedyś podejrzewałem cię o czary? - zapytał po dłuższej chwili.

- Nie - odpowiedziała szeptem, tuląc się do męża. - Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie?

- A kto powiedział, że zmieniłem?